



# *Kristin Hardy*



*Zawsze walentynki*

# Rozdział 1

Larkin Hayes wyjrzała przez przeszkloną ścianę pokładu „Alaskan Voyager”. Wokół rozciągała się zatoka Vancouver Bay. Gdy opuściła tego ranka Los Angeles, słupek rtęci sięgał powyżej dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Tutaj, w Vancouver nie sięgnął nawet sześćdziesięciu. Jej rozmyślania przerwały strzępki piosenki z serialu „Lost”. Zanurzyła rękę w torebce i wyciągnęła swój mały, kieszonkowy komputer.

- Halo? - odezwała się.

- Właśnie opuszczam lotnisko - bez słowa wstępu odezwał się głos w słuchawce.

Minęło już pięć lat, odkąd ona i jej ojciec ze sobą rozmawiali, ale najwyraźniej Carter Hayes nie miał wątpliwości, że rozpozna jego głos. I tak właśnie było. Nie mogła jedynie uwierzyć w słowa, które usłyszała.

- Właśnie opuszczasz lotnisko?

- Lot z Tokio się opóźnił - skwitował krótko.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że odpływamy już za jakieś pół godziny?

- Myślę, że nie ma najmniejszego kłopotu.

- Być może, pytanie tylko, czy uda ci się dotrzeć na statek w odpowiednim czasie.

- Przecież nie popłyną beze mnie - powiedział pewnym siebie głosem.

Zawsze osiągał to, czego chciał, no, może oprócz trwałego małżeństwa.

- Jeśli będziesz miał szczęście...

- Będę miał.

Uśmiechnęła się pod nosem. Jakie to było dla niego typowe, w ogóle się nie zmienił przez te lata. Za to zabukowanie dla nich tego rejsu w biurze turystycznym nie było w jego stylu. Gdyby wyczarterował lub kupił jacht, wcale by się nie

zdziwiła, chociaż pewnie taki samotny rejs we dwoje pozostawiałby im zbyt wiele czasu na sytuacje pełne kłopotliwego milczenia.

Kątem oka dostrzegła, jak jakaś duża trzypokoleniowa rodzina zarekwirowała dwa stoliki i urządziła przedstawienie przerywane głośnymi wybuchami śmiechu. Zastanawiała się, nie bez odrobiny zazdrości, jakby to było należeć do tej wesołej grupki ludzi, uczestniczyć w płątaninie relacji międzyludzkich, mieć z kim wdawać się w słowne potyczki i z kim podróżować? No i kogoś, kto przemówiłby Carterowi do rozumu. W zamian za to Larkin miała garstkę marudnego, przybranego rodzeństwa. Nikt z nich nie chciał się zadawać z Carterem i darzyli go raczej niechęcią, no, chyba że chodziło o jego pieniądze. Westchnęła. Po co zawsze traciła czas na takie bezcelowe rozważania?

- Pierwszy port po drodze to Juneau - powiedziała. - Tam będziesz nas mógł dogonić.

- Co tam Juneau, taksówkarz twierdzi, że dotrzemy za dwadzieścia minut. Zaraz będę.

- W takim razie znajdziesz mnie na pokładzie.

- Świetnie, zamów butelkę szampana, wzniesiemy toast za przyszłość.

Za przyszłość... Znała ten ulubiony toast Cartera. Nic dziwnego, skoro zbił fortunę na kontraktach, które zawsze dopinał w ciemno i wszystko zależało od tego, co przyniesie przyszłość.

Larkin wyszła na otwarty pokład. Sama nie wiedziała, czy bardziej jest rozbawiona, czy wkurzona. Carter miał niesłychany wpływ na ludzi, choć potrafił być nie tylko hojny i zaskakujący, wspaniałomyślny czy szarmancki, ale także irytujący, okropnie uparty, a czasem nawet głupi. Jako mąż zawiódł na całej linii i to nie raz, ale, jak się domyślała, dwa, trzy albo i cztery razy. Jako ojciec był jak typowa drużyna piłkarska - miewał dobre sezony, ale i złe, a jeśli chodzi o ostatnie pięć lat, to jego drużyna po prostu nie grała, a więc nie było żadnych sezonów... ani dobrych, ani złych.

Twierdził, że ta ich podróż to z okazji jego sześćdziesiątych urodzin, ale wiedziała, że to tylko pretekst. Nie miała pojęcia, co się wydarzy przez ten tydzień.

Kołysali się między wysepkami zatoki, gdy nagle dostrzegła na niebie niewielki samolot, który po chwili usiadł na wodzie, by mknąć dalej wśród fal. Ciekawe, jakie to uczucie lądować na wodzie, na chlupoczących falach, zamiast na twardym betonie pasa startowego. Nie wiedziała dlaczego, ale skojarzyło się to jej z kolejnymi żonami Cartera, wciąż nowymi, a w konsekwencji - w ogóle z jej życiem.

- Stój!

Larkin usłyszała za sobą ostry krzyk. Odwróciła się i zobaczyła małą dziewczynkę wybiegającą przez drzwi na pokład. Była roześmiana i mocno rozbawiona. Potem wszystko potoczyło się jakby w zwolnionym tempie. Mała potknęła się i gdyby nie refleks Larkin, z całym impetem upadłaby na pokład. A tak obie zatoczyły się i po chwili razem leżały na deskach.

- Sophia, co ty wyprawiasz, do cholery! - zawołał ktoś zirytowanym głosem i po chwili wyrósł nad nimi zadyszany mężczyzna. - Wiesz, że nie wolno ci tu biegać!

- A mama mówi, że „cholera” to brzydkie słowo.

- Więc go nie używaj.

Larkin spojrzała na mężczyznę, który teraz przykucnął obok nich. Jego krótko ostrzyżone włosy były równie ciemne jak włosy jego córeczki. Twarz miał naprawdę sympatyczną, okoloną ciemnym zarostem. I ten dołeczek w brodzie... Szczęśliwa mama, pomyślała Larkin.

Postawił małą na nogi i wyciągnął rękę do Larkin.

- Pomóc pani?

Może i miał twarz modela, ale jego ręce zdradzały ciężką pracę. Były muskularne i pokryte zadrapaniami. Kiwnęła głową. Przygotowała się na mocny uścisk dłoni, ale nie na falę ciepła, która przeszła ją na wskroś. Zakreśliło jej się w głowie.

- Powoli - powiedział mężczyzna. Wokół jego ust i w czarnych oczach malowała się wesołość. - Christopher Trask - przedstawił się. - A ta mała diablica, która za chwilę panią przeprosi, to moja siostrzenica Sophia.

Siostrzenica... a nie córka.

- Już przeprosiłam - zaprotestowała Sophia.

- Co mówiła ci mama na temat biegania? - Obrzucił ją surowym spojrzeniem.

- Że nie powinieneś mi pozwolić. - Dziewczynka spojrzała na niego zuchwale.

- A ty powiedziałeś brzydkie słowo.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak zawodnicy, którzy szacują swoje siły.

- Ile ty właściwie masz lat? - zapytał.

- Wiesz przecież, sześć.

- I już próbujesz mnie szantażować? Przepróż!

Oczy Sophii zrobiły się duże i okrągłe.

- A nie powiesz mamie, że biegałam?

- Jeśli przeprosisz, nie powiem. I przeproś grzecznie panią...

- Hayes - przedstawiła się. - Larkin Hayes.

Sophia stanęła przed nią, przebierając nerwowo nóżkami.

- Przepraszam, że panią potrąciłam. Nie powinnam biegać - powiedziała i rzuciła Christopherowi spojrzenie pełne samozadowolenia. - Czy mogę teraz już iść do Keegana i Kelseya i powiedzieć im o wypchanych pingwinach?

- Dobrze, ale bez biegania.

Przez chwilę patrzył za Sophią, a potem zwrócił się do Larkin.

- Widzi pani, jak się mnie słucha?

Larkin obdarzyła go rozbawionym spojrzeniem.

- Nie ulega wątpliwości, że rozegrał to pan po mistrzowsku.

- Tego się właśnie obawiałem! Ale to trudniejsze, niżby się wydawało, zwłaszcza gdy się zbierze cała gromada tych dzieciaków.

- Rodzinne wakacje?

Christopher przytaknął.

- Na początku sądziłem, że to dobry pomysł...

- To normalne, pewnie nie ma pan doświadczenia z dziećmi. - Larkin podeszła do barierki.

- Nie mam, jestem wujkiem kawalerem.

- Taki dobry wujek czasami nie ma wyjścia, ale ważne, żeby opanować te dzieciaki, dopóki są jeszcze małe. Widzę jednak, że dobrze sobie pan radzi. Może powinien pan wrócić do środka? Wyobrażam sobie, że bez pana rodzice czują się kompletnie bezradni.

- Szczerze mówiąc, wątpię. Dobrze mi zrobi odrobina słońca - powiedział i oparł się o drewnianą barierkę.

- Nawet, gdy jest zachmurzenie?

- Jestem niepoprawnym optymistą.

Larkin uśmiechnęła się szeroko.

- Z iloma więc musi się pan uporać?

- Z całą piątką, wszystko poniżej siódmego roku życia. Jeśli więc znajdzie mnie pani wieczorem przy barze popijającego whisky, to znaczy, że zawiodłem.

- Zamówię panu wtedy orzeszki.

Nad ich głowami rozkrzyczały się mewy. Silny podmuch wiatru przyprawił Larkin o gęsią skórkę. Christopher, mimo że miał na sobie tylko szorty i koszulę, nie wyglądał na zmarzniętego.

- Nie jest panu zimno?

- Nie, prowadzę farmę w Vermont. Ten wiaterek to nic w porównaniu z tym, co mam na co dzień.

- Vermont kojarzy mi się z syropem klonowym.

- Uszczęśliwiłaby pani mojego kuzyna Jacoba, który ma wielką plantację i robi syrop klonowy.

- Poważnie?

- No tak, ktoś to przecież musi produkować. Chyba pani nie należy do osób, które są przekonane, że jedzenie pochodzi ze sklepu?

- Oczywiście, że nie, wszyscy wiedzą, że jedzenie przygotowywane jest w kuchni w restauracji.

Teraz na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Bystra z pani rozmówczyni, pani Hayes.

- Jeszcze się nie rozkręciłam. A czym pan się zajmuje na swojej farmie?

- Obecnie głównie rachunkami.

- Ale z tego chyba pieniędzy nie ma?

- Dla moich wierzycieli? Owszem, są. Podróżuje pani sama czy z rodziną?

- Nawet w przybliżeniu moja rodzina nie jest taka kolorowa jak pana.

Podróżuję z ojcem, dziś są jego urodziny.

- To miło, że tak oryginalnie je obchodzicie.

- Owszem... - Byłoby jeszcze bardziej miło, gdyby Carterowi udało się wejść na pokład, dodała w myślach.

- A gdzie on jest teraz?

- Niedaleko - powiedziała niepewnie.

- Jeszcze nie wypłynęliśmy, a pani ojciec już potrzebuje wytchnienia?

- Jeszcze go tu nie ma, ale twierdzi, że zdąży. Mieliśmy się spotkać na pokładzie, bo nie mieszkamy w tej samej okolicy. - Odwróciła się i ruszyła wzdłuż bariery.

Christopher dogonił ją po chwili.

- To skąd pani jest?

- Z Los Angeles.

- A więc aktorka...

Larkin roześmiała się.

- A to dlaczego?

- Bo na gladiatora jest pani za drobna.



- W Los Angeles chodzi bardziej o zręczność i znam sztuczki, które doprowadziłyby pana do rozpacz.

- Skoro tak, to może mi pani którąś pokaże, żebym mógł się bronić przed dziećmiakami.

- Swojej mocy używam tylko w dobrej sprawie. - Rzuciła mu chytre spojrzenie.

- Bardzo panią proszę, przyda mi się każda pomoc.

- Przykro mi, ale tak brzmi kodeks gladiatora.

- Nie wyglądała pani na tak okrutną, gdy pomagałem pani wstać.

- Pozory często mylą.

- A więc jednak jest pani aktorką?

- Czy nie każdy z nas jest aktorem? - Larkin, patrząc przez jego ramię, dostrzegła Sopię chichoczącą w drzwiach. Obok niej stał mały chłopiec z ciemną czupryną. - Albo mi się wydaje, albo jest pan potrzebny...

Odwrócił się do machających mu dzieci.

- Chyba musi pan już wracać do swoich obowiązków, ale miło mi było pana poznać.

- Statek nie jest aż taki duży, jakby się mogło wydawać - powiedział i rzucił jej niedwuznaczne spojrzenie. - A więc do zobaczenia.

Larkin Hayes była najciekawszą osobą, jaką spotkał do tej pory na statku. Co tam, była najciekawszą kobietą, jaką spotkał od lat, a dokładniej od czterech lat. Miała w sobie coś, co przykuwało wzrok, jakąś niespotykaną energię. Z jej smukłej, wyprostowanej sylwetki emanowała niesłychana pewność siebie. I te pełne, obiecujące usta i burza jasnych włosów na głowie... Aż się miało ochotę zanurzyć w nich dłonie. Ale tak naprawdę wcale nie o to chodziło, lecz o jej niepowtarzalną błyskotliwość. Nie było nic bardziej seksownego niż błyskotliwa kobieta. Dobrze wiedziała, jak wykorzystać swoją inteligencję i jak podkreślić swoje walory. Świetnie skrojony płaszcz, maleńkie brylanciki w uszach i koszmarne drogi zegarek



marki Patek Philippe. Takie rzeczy zauważało się od razu po jedenastu latach pracy z ludźmi z branży finansowej. Znał bodaj wszystkie pułapki bogactwa czyhające między Waszyngtonem a Wall Street, co ostatecznie kazało mu powrócić do życia na farmie, gdzie się wychował. Ale to była zupełnie inna historia. Larkin Hayes także miała swoją ciekawą historię, to było widać w jej oczach, zielonych, lśniących wesołością, choć jednocześnie patrzących ostrożnie. Nie dowiedział się o niej zbyt wiele, a to sprawiło, że nabrał ochoty na więcej. Miejsce na statku było ograniczone, a więc wcześniej czy później - wcześniej, jeśli miał w tej kwestii coś do powiedzenia - musieli się przecież spotkać. Tak, był pewien, że pod koniec tygodnia będzie znał lepiej panią Hayes.

- Płyniemy! - zawołał radośnie mały chłopiec, który wdrapał się na krzesło.

- Adasiu, nie stajemy na krzesłach pokładowych,

- Ale ja chcę widzieć - upierał się Adam.

- Twoja kolej już była - zwrócił się do niego Jacob, podnosząc do góry jego siostrę bliźniaczkę Sophię i ich brata Gerarda. Wysoki i krzepki jak drwal, sprawiał wrażenie, że mógłby unieść ich wszystkich na raz. - Jak wróci mama, pójdziemy na górny pokład, skąd wszystko będzie widać.

To rodzinne, pomyślała Molly. Adam senior, jej mąż, zawsze był niecierpliwy w pracy, w życiu, w miłości... i jak się okazało, także w oczekiwaniu na śmierć. Upłynęło już dziesięć lat, odkąd odszedł niespodziewanie. Dziesięć długich lat, a wciąż jeszcze wydawało się jej, że to było zaledwie wczoraj. Od tamtej pory skupiła się na rodzinie, wspierała swoich synów i dopilnowała, by rozpoczęli własne życie. Adam wprost uwielbiał, kiedy otaczała go gromadka dzieci, turlał się z nimi i przewracał po podłodze i niemiłosiernie rozpieszczał. Ale ona sama też nie była wiele lepsza, zresztą tak jak i ich synowie. Zabrali ją na ten luksusowy rejs po wodach Alaski tylko dlatego, że po przeczytaniu ogłoszenia o tej wycieczce w dodatku podróżniczym do codziennej gazety zaczęła głośno marzyć o podróży na Alaskę. No, to my chętnie pojedziemy z tobą, bo bardzo chcemy obejrzeć tamtejsze

lodowce, postanowili jej synowie, ale tak naprawdę wiedziała, o co chodzi. Wypadała dziesiąta rocznica śmierci Adama i chcieli zabrać ją gdzieś, gdzie będzie otoczona rodziną, a jej uwagę pochłoną niecodzienne atrakcje. To naprawdę bardzo miło z ich strony, pomyślała z czułością. Nigdy o tym nie mówili, ale wiedziała, jak bardzo było im przykro, że nie wyszła ponownie za mąż. Jednak nie wiedziała, jak ma im wytłumaczyć, że miłość, która łączyła ją z Adamem, nie pozostawiła wiele miejsca dla kolejnej.

Stała teraz przed swoją luksusową kabiną i uważała się za najszczęśliwszą kobietę w okolicy. Nie chodziło jednak wcale o ten luksus, ale o to, że miała najcenniejszą rzecz pod słońcem - kochającą rodzinę.

- Chodź, Adasiu, zabiorę cię na górny pokład - powiedziała, ujmując małego za rączkę.

Nagle poruszenie statku wyrwało Larkin z rozmyślań. Przed chwilą jeszcze popijała drinka, plotkując bez troski z pewną młodą parą przy barze, a teraz nagle przystań była już daleko. Jednak Carter nie zdążył, a oni odbili już od brzegu. Właściwie nie powinno jej to dziwić, bo kiedy zadzwonił, wiedziała, że nie ma szans dotrzeć na czas. I nie był to pierwszy raz, gdy nie dotrzymał słowa. Czemu więc czuła takie rozczarowanie? Może dlatego, że jednak tęskniła za nim? Żałowała tych pięciu długich lat, kiedy nie mieli ze sobą kontaktu, ale nie była w stanie po raz kolejny patrzeć, jak idzie do ołtarza wzdłuż nawy kościoła, zwykle zupełnie nieprzygotowany. Być może, kiedy miała trzynaście lat i wciąż jeszcze opłakiwała utratę matki, widok ten był szczególnie bolesny. Z biegiem czasu nabrała wprawy, dzięki czemu wszystko wydawało się trochę łatwiejsze. Po prostu przyzwyczaiła się do tego cyklicznego toku wydarzeń i nie przywiązywała się już do nowych kobiecych twarzy w domu.

Jeśli chodzi o małżeństwo, Carter nauczył ją nieustającej nadziei, ale także i cynizmu. Z jej mamą wszystko wydawało się doskonałe, ale potem wielkie emocje, biała koronka i szeleszcząca tafta zbyt szybko przekształcały się w kłótnie i

nienawiść, w uprzejme, ale złowrogie milczenie, po którym następowało kilka miesięcy ciszy, nim kolejna kobieta przyciągnęła uwagę Cartera. Larkin obserwowała to wciąż na nowo - pochopne, nieprzemyślane decyzje podejmowane często w gorączkowym pośpiechu, a potem rozczarowanie połączone z pozbawieniem wszelkich złudzeń. To było jak przyspieszone fazy księżyca: pospieszne śluby, a potem odkręcanie ich w sądzie. Pomyślna bitwa prawna, by unieważnić ten związek, trwała dłużej niż samo małżeństwo. Kiedy miała dwadzieścia dwa lata, odmówiła przyglądania się temu spektaklowi po raz kolejny. Powiedziała mu o tym wprost. Nie przyjął tego wtedy zbyt dobrze, a jego gorzkie słowa odbijały się echem w ciszy, która dzieliła ich przez pięć lat. Obecnie nie słyszała żadnych plotek o jakiejś nowej pani Hayes na horyzoncie. Być może Carter, wdowiec i czterokrotny rozwodnik, dobijając sześćdziesiątki chciał wreszcie trochę odetchnąć. Jego głos w słuchawce tamtego gorącego, sierpniowego popołudnia kilka tygodni temu sprawił, że omal nie upuściła komórki. „Jedź ze mną”, powiedział wtedy, „będziemy się dobrze bawić”.

Pomyślała, że to może ostatnia szansa, żeby do niego dotrzeć, żeby wszystko naprawić. Bo przecież ciężko było naprawić coś z kimś, kogo nie było. Dopiła drinka i wstała.

- Myślałem, że zamówisz szampana - odezwał się głos za jej plecami.

Przepełniona radością, odwróciła się, by spojrzeć ojcu prosto w twarz po raz pierwszy od pięciu lat. Nic się nie zmienił, pomyślała zaskoczona, co najwyżej przytył kilogram albo dwa. Może ubyło mu trochę włosów, ale wciąż miał w oczach tę iskrę entuzjazmu, a jego ruchy naładowane były energią. Nie, zdecydowanie nie można było o nim powiedzieć, że jest stary.

Carter przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Myślałam, że nie zdążyłeś - wymamrotała, wtulając się w jego ramię.

- Przecież mówiłem ci, że zdążę, powinnaś mi w końcu zaufać. - Jeszcze chwilę trzymał ją w objęciach, a potem spojrzał pytająco. - No i gdzie są nasze powitalne bąbelki?

- Popatrz no, popatrz - powiedział Christopher, zaglądając do kabiny swojego kuzyna Gabe'a. - Zmieściłyby się tu trzy moje kabiny i wciąż jeszcze byłoby wolne miejsce.

- Czy to nasza wina, że wiemy, jak żyć? - Gabe zszedł z tarasu.

Pomieszczenie mieniło się w kolorze brzoskwiniowym i złotym, kontrastując z błękitem oceanu. Lustra na jednej ze ścian powiększały optycznie i tak już bardzo przestronnąabinę. Poniżej dumnie rozpościerało się łoże ze śnieżnobiałą pościelą i mnóstwem poduszek. Na przeciwległej ścianie ustawiona była czteroosobowa sofa okalająca spory szklany stolik. Uzupełniały ją wygodne fotele. Ale to ściana okien z widokiem na taras była uwieńczeniem luksusu tego miejsca. To właśnie te okna pozwalały cały czas obcować z oceanem.

- Uważasz więc, że masz za małąabinę? - zapytał Gabe.

- Nie, dlaczego, jest w końcu co najmniej taka, jak twoja łazienka.

- Tak to jest, jak przejmuje sięabinę po na wpół zrujnowanym urzędniku państwowym. - Ta uszczypliwa uwaga dotyczyła jego brata Nicka, który był strażakiem i musiał odwołać swój udział w wycieczce, gdyż jego żona niespodziewanie zaszła w ciążę.

- Może powinienem był zaczekać, licząc na to, że udostępnisz mi swoją.

- Chyba byś się nie doczekał.

- A jak ma się Sloane?

- Jest wielka jak dom, tak ostatnio słyszałem.

Wyszli na taras.

- Cześć, Christopher - przywitała go Hadley, żona Gabe'a. Ich synowie, Keegan i Kelsey, bawili się u jej stóp. Szczupła blondynka sprawiała wrażenie

bardzo kruczej. - Czy widzieliście kiedyś coś tak wspaniałego? - zapytała, wskazując na wysepki porośnięte sosnami.

Gabe podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

- Owszem.

Hadley przewróciła oczami.

- Zabiorę chłopców na dół, żeby pobawili się z innymi dziećmi. A was zostawiam, odprężcie się. Krążą jakieś plotki o wypchanych pingwinach na statku.

- Nie, mam lepszy pomysł - zaproponował Gabe. - Wujek pójdzie z dziećmi polować na pingwiny, a ty mi pomożesz odnaleźć telefon.

- Zgubiłeś telefon? A kiedy go ostatnio używałeś?

- Chyba w łóżku...

- Ja znajdę, tato! - zawołał Keegan i zaczął zrzucać poduszki z łóżka w stronę brata.

Po chwili rozgorzała wojna.

- No, już, już, wystarczy, chłopcy - skarciła ich Hadley. - Posprzątajcie to i idziemy szukać pingwinów.

W jednej chwili wszystkie poduszki wróciły na łóżko.

- Bawcie się dobrze - rzuciła na pożegnanie Hadley.

Gabe wszedł na taras z dwoma butelkami piwa.

- Szczęściarz z ciebie - powiedział Christopher. - Taka kobieta...

- Prawda, tylko szkoda trochę, że dzieci psują romantyczny nastrój w czasie tego rejsu.

- Wcale nie, wystarczy poprosić wujka Christophera, żeby zabrał je na spacer. Na naprawdę długi spacer... - zawiesił głos i spojrzał spod oka na Gabe'a. - A ile to dla ciebie jest warte?

- Nie zamierzasz chyba... A kto ci załatwił randkę z Lulu Simmons?

- I co z tego mam?

- Nie moja wina, że przytrzasnąłeś jej w drzwiach spódnicę, a tym samym bezceremonialnie rozebrałeś.

- Musimy tu gadać o najbardziej frustrujących momentach z okresu liceum? Gabe uśmiechnął się.

- Kiedy to takie zabawne.

- Zabawne? Lepiej powiedz, jak się czujesz jako magnat hotelowy i wyzuty seksualnie do cna ojciec dwojga dzieci?

- No cóż, jakby nie było, w hotelu masz nieskończoną liczbę łóżek...

- Podejrzewam, że i tak mam bardziej urozmaicone życie seksualne niż ty.

- Pewnie masz rację. A co słychać u Nicole?

- Nie spotkałem się z nią od czasu rozvodu. Widuję ją jedynie w czasopismach.

- Ile to już minęło... cztery lata? Kiedy ty właściwie byłeś ostatnio na randce?

- Jakieś... cztery lata temu? - Christopher uśmiechnął się blado. - Ale jałóweczki coraz lepiej wyglądają...

- Ty perwersyjny staruchu...

- Widzisz, na farmie żyje się dobrze.

- Więc masz dochody?

- Nie mogę powiedzieć, że mam powody, by narzekać na przesadne opływanie w dostatkach.

- Bo wszystko sprzeniewierzasz na imprezy na sianie.

Kiedyś pieniądze nie stanowiły problemu, kiedy jeszcze pracował w Waszyngtonie, w centrum władzy, z olśniewającą żoną modelką w wymyślnym architektonicznie kondominium na wodzie, apartamentem na Manhattanie i giełdowym portfolio, którego mu niejeden zazdrościł. I jaki to wszystko miało cel i sens? Przez całe lata gonił za szczęściem, które okazało się znikającym punktem. I wtedy zrozumiał, że chce zostać farmerem, że nie odpowiada mu tamten styl życia.

Próbował to uzmysłwić Nicole, przekonać ją do swojego pomysłu, ale ona nie tego pragnęła, i nie jego... Ich drogi powoli zaczęły się rozchodzić.

Coraz częściej wyjeżdżała na pokazy i sesje jako modelka, weekendy spędzała w Waszyngtonie i w Nowym Jorku z przyjaciółmi, aż zaczęła znikać na całe tygodnie. Długo to trwało, nim pojął, że to koniec, że niewiele ich już łączy. Ciągłe wyjazdy, uroczyste kolacje, imprezy - ten szalony pęd stwarzał jak w żonglerce iluzję czegoś istotnego. A gdy pęd ustał, pozostało jedynie kilka porzucanych piłeczek... lub raczej noży, pomyślał, jeśli wziąć pod uwagę zjadliwy koniec ich związku.

- A tak poważnie - zapytał Gabe, widząc troskę na twarzy Chrisa - dajesz jakoś radę?

- Jak wrócę, wezmę się ostro do roboty, podrasuję to miejsce...

- A co z Pure Foods, miałeś mieć z nimi jakiś układ?

- Minęło półtora roku, a my wciąż nie zawarliśmy umowy. - Wstał i podszedł do barierki. - Chcieli, żebym podwoił liczebność mojego stada, by móc zaopatrywać sklepy w Nowej Anglii. A teraz się okazało, że muszę zdobyć jakiś certyfikat, bez którego nie da się nic zrobić. A to oznacza kolejnych parę tysięcy i kolejne miesiące czekania. Mam już powyżej uszu koziego mleka...

- Może weź pożyczkę...

- Gabe, nie rozumiesz, nie mogę, jestem skończony w banku. Nawet jeśli dostałbym teraz zielone światło, może być już za późno. Jestem kompletnie bez kasy.

- Pożycz od rodziny.

- Od kogo? Mama i tata są na emeryturze, a Molly i Jacob sami ledwo ciągną po tamtej zarazie drzew. Ty też musiałeś ostatnio wywalić masę forsy. Skończyły mi się opcje, Gabe. Spójrzmy prawdzie w oczy.

- A co z...



- Daj już spokój. - Wypuszczając powoli powietrze, liczył do trzech. - Chcę tu po prostu spędzić miły tydzień, odprężyć się i nie myśleć o tym wszystkim, okey? Na chwilę zapomnieć, wyluzować.

Gabe kiwnął głową.

- Jasne, ale jeszcze tylko jedna sprawa...

- Co znowu?

- Do tego potrzeba nam jeszcze kilka piwek.

Christopher odprężył się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- To mi z pewnością nie zaszkodzi.

RS

## Rozdział 2

- Jak to zrobiłeś - nie mogła się nadziwić Larkin - że wpuścili cię na pokład? -  
Z nieskrywanym podziwem patrzyła na Cartera.

Zbliżył się do nich kelner w białej marynarce, by ponownie napełnić im kieliszki. Siedzieli na rufie statku, gdzie znajdowała się główna sala jadalna. Z sufitu zwisały kryształowe żyrandole, migocące w świetle świec. Znaczna część ścian była przeszklona, dzięki czemu można było obserwować zmieniające się na horyzoncie krajobrazy wybrzeży Alaski.

- Całkiem zwyczajnie - odparł, jakby nigdy nic. - Wsunąłem dokerowi do ręki jego dzienną stawkę, żeby wniósł moje bagaże i sprawa załatwiona.

- A co z odprawą i ochroną?

Carter uniósł do góry kieliszek.

- Ciekawe, jak kilka napiwków może wszystko zmienić. Zdążyłem i to jest najistotniejsze.

- Widzę, że się dobrze bawiłeś. - Jego oczy lśniły, tym mocniej, że na stole pojawiła się przystawka w postaci langusty w szafranie w puszystym cieście. - Więc skąd tym razem cię przyniosło?

- Z Shenzen. Chiny - wyjaśnił. - Mają tam fabrykę, na którą chciałem rzucić okiem.

- Fabrykę?

- W ostatnich latach bawię się trochę w coś, co się zwie venture capital.

- Jeszcze niedawno twierdziłeś, że bezpośrednia współpraca z firmami jest dobra dla frajerów.

- Wszystko się z czasem nudzi, nawet robienie pieniędzy.

- Zaraz, czy ja na pewno mam do czynienia z moim tatą? Nie jesteś przypadkiem oszustem, podającym się za mojego ojca?

- Nie zrozum mnie źle, wciąż działałam na giełdzie i nigdy z tego nie zrezygnuję, ale potrzebowałam odmiany. Skoro już mowa o pieniądzach - powiedział, upijając łyk wina - rozmawiałem kilka tygodni temu z Walterem...

Larkin uniosła wzrok, słysząc nazwisko prawnika ojca, który dbał także i o jej sprawy finansowe.

- Podobno topnieją ci fundusze.

- Bez przesady. - Larkin zarumieniła się. - Daję sobie radę. - Fundusze, które otrzymała, gdy miała osiemnaście lat, nie były zbyt duże, ale fakt, że mogła nimi lepiej zarządzać. Większość pieniędzy poszła na przeprowadzki z jednego miasta do drugiego, aż wreszcie któregoś dnia zdała sobie sprawę, że nie poszukuje domu, ale samej siebie.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Jeszcze niedawno mówiłeś, że powinnam sobie znaleźć pracę. I znalazłam.

- Słyszałem, jesteś modelką. Zawsze lubiłaś się bawić.

- Cieszę się, że mogę się dobrze bawić za tysiąc dolarów za godzinę. Trzeba trzymać pewien poziom, gdy się jest córką człowieka, który co jakiś czas figuruje na liście najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi.

- Miło wiedzieć, że mogę się przydać.

Przez chwilę w milczeniu grzebali widelcem w swoich talerzach. W końcu Larkin odezwała się pierwsza.

- Powiedz, co sprawiło, że odebrałeś telefon?

- Pomijając fakt, że nie widzieliśmy się przez ostatnie pięć lat?

- Nigdy nie chciałam, żeby tak się stało. - Larkin nie odrywała wzroku od talerza.

- Ja też nie.

Mijały długie sekundy.

- Jak mniemam, słyszałaś, że nie jestem już z Celine...

Larkin milczała.

- To ci nie daje spokoju...
- Co takiego?
- Że mogłabyś powiedzieć: „a nie mówiłam”.

Larkin spojrzała mu prosto w twarz.

- Nigdy mi o to nie chodziło.
- A o co?

- Nie chciałam patrzeć, jak popełniasz kolejny błąd. Chciałam, żebyś choć raz był wobec siebie uczciwy, żebyś spojrzał na swoją przyszłą żonę, tak jak to robisz na giełdzie...

- Wybacz, to nie miejsce ani czas... - Wolał jej przerwać, nim powiedziała zbyt wiele. - Dorosłaś. - Spojrzał na nią poważnie.

- Cóż, pięć lat robi swoje.
- Żałuję, że to przegapiłem.
- Mogłeś zadzwonić...
- Ty też.
- Celine... - powiedziała beznamiętnie.

Carter westchnął i wyjrzał przez okno.

- Gorzkie słowa i gorzkie czasy, przez które ciężko przebrnąć.

Larkin zamyśliła się. Przypomniała sobie wzrok wlepiony w zaproszenie zapowiadające zbliżający się ślub Cartera z kobietą, której nie ufała od pierwszego wejrzenia. „Nie rób tego”, zaklinała go wtedy, „choć raz daj sobie czas”. Kłótnia eskalowała i obróciła się przeciwko niej. Jakim prawem go poucza, krzyczał, ona, która sama nigdy niczego nie dociągnęła do końca i nie stworzyła niczego konstruktywnego. Ta awantura odbijała się głuchym echem w ich życiu przez ten cały czas, aż do dziś, choć minęło przecież tyle lat. Nagle okazało się jednak, że pokonanie tej przepaści nie było takie proste, jak oboje się spodziewali czy może raczej łudzili.

Cisza dłużyła się. Zjawił się kelner i ustawił przed nimi talerze z głównym daniem. Chateaubriand dla Cartera i homar w maśle dla Larkin. W tle ktoś grał na pianinie „Blue moon” Z drugiego końca sali dobiegał śmiech. Siedziała tam ta duża rodzina, którą obserwowała tego popołudnia. Tak to powinno wyglądać, pomyślała. Nie cisza, lecz śmiech. Wszyscy byli razem, bracia i siostry, ojcowie i córki. Srebrnowłosa przywódczyni stada odrzuciła w tył głowę, śmiejąc się rozkosznie. Larkin dostrzegła kątem oka, że Carter również ich obserwuje. W jego oczach odbijała się jej własna zaduma. Kiedyś stanowili właśnie taką rodzinę, kiedyś, kiedy jej matka jeszcze żyła.

Larkin wstała raptownie.

- Przepraszam cię, zaraz wracam.

W toalecie umyła ręce zimną wodą i chłodne dłonie przytknęła do rozpalonych policzków. Poprawiła na szyi wiązanie rubinowej sukienki bez pleców. Piętnaście lat minęło, odkąd Beth Hayes śmiertelnie potrącił samochód. Larkin potrafiła całymi miesiącami o niej nie myśleć, ale raz na jakiś czas osaczały ją wspomnienia, zalewała ją fala poczucia straty. Nie wolno jej było myśleć, co by było, gdyby...

Carter robił, co mógł i to był wyłącznie jej problem, że nie umiała podejść z ufnością do jego kolejnych związków. Przeczesała ręką włosy i ruszyła z powrotem, właściwie mając zamiar wrócić do stolika. Ale nogi same ją poniosły schodami do góry, na dziób statku. Głęboko zaciągnęła się chłodnym powietrzem. Po obu stronach statku wyłaniały się góry pokryte drzewami, zbyt dzikie, by mogli zamieszkiwać je ludzie. Słońce zachodziło już, rzucając na pokład rudawe światło. Otaczała ją całkowita pustka i cisza, przerywana jedynie porywami wiatru. Carter potrzebował zmian, dobrze wiedziała, co czuł. Znowu od miesięcy narastał w niej niepokój. Zwykle, gdy ją atakował, przeprowadzała się do innego miasta. Ale ile jeszcze mogła to ciągnąć? Zmiana scenerii nie była skutecznym lekiem. Potrzebowała czegoś więcej.

Usłyszała za sobą jakiś szelest i odwróciła się.

- Tak myślałem, że to ty - powiedział Christopher.

Dzisiejszego popołudnia wyglądał zwyczajnie, był uroczo wymięty. Teraz stał przed nią w czarnych eleganckich spodniach i grafitowej jedwabnej koszuli. Efekt był piorunujący. Mimo oszczędnych środków w niczym nie przypominał tamtego mężczyzny, lecz raczej kogoś żywcem wyjętego z ekskluzywnego klubu nocnego. Uśmiechnął się.

- Mówiłem, że statek nie jest na tyle duży...

- Miło wiedzieć, że przetrwałeś ten dzień.

- A ciebie znowu widzieć. - Dobrze ci w tym wieczorowym stroju.

- Ty też wyglądasz niczego sobie... Jak ci minął ten pierwszy dzień na pokładzie?

- Hm... interesująco.

- Nie może być aż tak interesująco, skoro stoisz tu sama. Zdaje się, że twój ojciec jednak zdążył, bo to chyba z nim cię widziałem.

- Tak, jest w jadalni. Chciałam się urwać na minutkę. Dziwnie jest wciąż z tym słońcem...

- To prawda, takie jasne noce są trudne dla dzieciaków. Żadnego wykradania...  
- dodał z uśmiechem.

- Mam nieodparte wrażenie, że był to nieodłączny element z okresu twego dzieciństwa. - Spojrzała na niego spod rzęs.

- To nieodłączna część lata - powiedział, podchodząc bliżej - Jak baseball czy arbuz. Nie powiesz mi, że nigdy nie wykradałaś się z domu, kiedy wszyscy spali, choćby po to, żeby poczuć wolność i przekonać się, jak to jest, gdy znajdziesz się po drugiej stronie, samemu, kiedy nikt o tym nie wie.

Larkin do dziś jeszcze czuła tę wolność pulsującą za oknem, zapierającą dech w piersiach wizję przygody. Ale być może miało to coś wspólnego z nim, z

Christopherem, może brakowało jej tchu, bo był na tyle blisko, że czuła bijące od niego ciepło.

- Teraz też się wykradłaś, czyż nie? - powiedział znizonym głosem.

- Ja tylko... chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale czemu ty tu jesteś?

- Ujrzałem ciebie.

Zachód słońca pociemnił jego spojrzenie i nie mogła oderwać od niego oczu.

Na moment wezbrało między nimi szalone pożądanie. Na statku z ponad trzema tysiącami pasażerów poczuli się nagle całkiem sami.

W nim mogłabym się zatracić, pomyślała nagle Larkin. Przełknęła nerwowo.

- Powinnam już wracać - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi.

Statek zakołysał i Larkin zachwiała się. Christopher chwycił ją za rękę.

- Ostrożnie.

Czuła dotyk każdego jego palca z osobna, przyjemnie ciepły dotyk, kontrastujący z coraz chłodniejszym powietrzem.

- Nie chcesz chyba upaść - dodał łagodnie i pogładził jej dłoń, a potem uniósł ją do ust.

Larkin poczuła w sobie żar, który w ułamku sekundy przerodził się w pożądanie. To ją sparaliżowało. Stała zapatrzona w jego oczy, w których było coś hipnotyzującego. Ciepło jego warg na jej dłoni sprawiło, że nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, jak by to było poczuć je na swoich ustach. Wcale nie miała zamiaru przysuwać się do niego, ale stało się to jakoś wbrew jej woli. Miał wyjątkowo miękkie usta. Ich delikatne muśnięcie przyprawiło ją o rozkoszny dreszcz.

Aż strach pomyśleć, co byłoby dalej, skoro taka drobna pieśczoła wywołała tak silne emocje. Nie objął jej, nawet nie dotknął, a mimo to uaktywnił każdy neuron jej ciała, wzmagając pożądanie. To muśnięcie było zaczepne, zachęcające i zarazem obiecujące. Niepokój zamienił się w głód, choć rozsądek mówił jej, że



czegokolwiek szuka, nie należało tego szukać w drugiej osobie. Podobnie jak cztery żony nie pomogły jej ojcu. Lecz pragnęła tego mężczyzny, pragnęła całą sobą.

Nagle otworzyły się drzwi i na pokład weszła spora grupa roześmianych pasażerów.

- Oj - wyrwało się jednej z pań - chyba przeszkadzamy.

Larkin odsunęła się i otworzyła oczy, ale wciąż miała wrażenie, że śni.

- Cóż... - zaczęła zbita z tropu. Potrząsnęła głową, jakby chciała w ten sposób odzyskać trzeźwość zmysłów. - Chyba powinnam już...

- Napić się ze mną drinka - dokończył Christopher.

Co tam drink, pomyślała, pragnęła przecież jego. Pamiętała jednak o swoich zobowiązaniach.

- To pierwszy wieczór... Ostatnio widziałam ojca wieki temu, dlatego muszę wracać.

Christopher kiwnął ze zrozumieniem głową i przejechał dłonią po jej smukłych plecach, a potem skierowali się razem do drzwi.

- Więc odłóżmy to na później.

Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by znowu ogarnęło ją to szaleństwo pożądania. Ale nie mogła tego zrobić Carterowi. Poza tym nie była już nastolatką, która wypatruje faceta, żeby rzucić mu się na szyję. Tylko że to nie był zwykły facet.

Gdy przechodzili przez drzwi prowadzące do jadalni, nagle zatrzymała się w miejscu.

- Co się dzieje? - zapytał Christopher.

- Mój ojciec zniknął.

- Nie pomyliłaś stolików?

- Naturalnie, że nie.

- Więc może jednak się napijemy? - zaproponował. - Zapraszam cię do naszego stołu.

- Ale mój ojciec...

- Dopóki nie wróci - uspokoił ją Christopher. - Ochronisz mnie przed dziećmiakami i będziesz miała okazję zaprezentować mi swoje tricki.

Ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku stołu, zanim zdołała zaprotestować. Z bliska panująca tu aura wesołości była jeszcze bardziej uderzająca. Traskowie właśnie zaczęli deser, ale wydawali się być bardziej zainteresowani rozmową niż jedzeniem. Wysportowany młody chłopak trzymał na kolanach dziewczynę lub żonę, sądząc po pocałunkach, które raz po raz składał na jej włosach. Kilku młodych mężczyzn, będących prawdopodobnie braćmi Christophera, prowadziło burzliwą dyskusję na temat baseballa i osoby, którą nazywali papi. Sophia była zajęta swoim ciastkiem, a obok niej siedział chłopczyk, który był jej lustrzanym odbiciem. Droczył się wesoło z zadziornie wyglądającą kobietą z burzą brązowych loków. Panował tu uroczy chaos, w którym wszyscy ci ludzie, mimo różnego wieku, rozkoszowali się swoim towarzystwem.

- Cześć, Larkin - przywitała ją Sophia.

Larkin uśmiechnęła się do małej i kiwnęła głową.

- Kochani, przyprowadziłem wam na deser pewną pasażerkę. Poznajcie Larkin. Larkin, to moja siostra Lainie i jej mąż J.J. - Christopher wskazał na jasnowłosego chłopaka z dziewczyną na kolanach. - Sopię już znasz, a chłopiec, z którym się bawi, to Kelsey, syn Hadley, która siedzi... o tam, a ten obok... to jej mąż Gabe.

Jeden z mężczyzn uniósł do góry dłonie.

- Ten obok niego, to mój drugi kuzyn, Jacob, i jego żona Celie... to ta, która rozmawia z Hadley.

- Stop, Christopher! - zaprotestowała Celie, zadziorna brunetka. - Dziewczyna zaraz ogłupieje. Daj biedaczce usiąść.

W jej słowach pobrzmiwał francuski akcent.

- A gdzie ciotka Molly? - zapytał Christopher.

- Poszła do łazienki, w sumie już ładną chwilę temu, jak się zastanović.
- Już wróciła - dobiegł ich rozbawiony głos.

Larkin odwróciła się i oniemiała. Już wiedziała, po kim Traskowie odziedziczyli swoją urodę. Molly Trask była wyjątkowo piękną kobietą.

- Nazywam się Larkin Hayes, bardzo mi miło.
- Ach, to pani uratowała Sopheię! Dziękuję - powiedziała ciepło, ściskając jej dłoń. - A to...

- Carter Hayes - powiedzieli Larkin i Christopher niemal jednocześnie.
- Co tu robisz? - zapytał Carter.
- Nie było cię przy stoliku, więc pozwoliłam się uprowadzić.
- To moja córka Larkin - wyjaśnił Carter, zwracając się do Molly.
- Chyba potrzebujemy większego stołu - wtrącił się Gabe.

Wkrótce zapanowała na sali przyjemna cisza, gdyż wszyscy goście rozeszli się do swoich kabin. Tylko Traskowie wciąż jeszcze siedzieli przy kawie i przy drinkach, aż w końcu dzieci zaczęły ziewać, zmęczone dniem pełnym wrażeń. Jacob wziął na ręce swojego najmłodszego synka, podczas gdy Hadley i Celie zagarnęły pozostałą gromadkę.

- Jutro rano mamy zarezerwowany lot na lodowce - zwrócił się Carter do wszystkich, gdy wysiedli z windy. - Są cztery wolne miejsca, więc jeśli ktoś chciałby się zabrać, to zapraszam.

Christophera nie zdziwiło, że Carter i Larkin mają kabiny w klasie lux. Cartera było z pewnością stać na to, by wynająć najlepszą kabinę na statku. Teraz odprowadzał Molly do jej kabiny, co bacznie kątem oka obserwował Jacob.

- Zdaje się, że zostaliśmy sami... - szepnął Christopher. - Rozumiem, że tu jesteście ulokowani.

- Ja tutaj, a Carter śpi w drugim korytarzu. Dopiero niedawno zrobiliśmy rezerwację, więc musieliśmy wziąć to, co zostało.

- No, tak. - Christopher kiwnął głową. - Jest jeszcze wczesnie. Co z naszym drinkiem?

- Sama nie wiem...

Była dziwnie spięta, całkiem inna niż tam, na dziobie. Ale tu nie chodziło o niego, dobrze wiedział, kiedy kobieta go pragnie. Ten nastrój wkradł się wraz z pojawieniem się Cartera. Coś tu było nie tak, choć nie wiedział jeszcze co. Nie był typem faceta, który by to tak zostawił.

- To duży statek, nie musimy iść do baru. Kasyna, piano-bar, show... jak myślisz?

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - zapytała Larkin chłodno.

- Że to bardzo dziwne, kiedy farmer z Vermont rozpoznaje taką osobę jak Carter Hayes.

- Dlaczego cię to dziwi, to znany człowiek.

- Ale tylko w pewnych kręgach. Carter nie prowadzi zbyt bujnego życia towarzyskiego, nie pojawia się w mediach.

- Myślę, że go nie doceniasz.

- Przede wszystkim nie doceniam farmerów z Vermont. Sądziłam, że bliższe są ci rozmowy na temat cen zboża, a nie tematy z branży finansowej i inwestycji.

- Zanim wziąłem się za prowadzenie farmy, takie rozmowy nie były dla mnie niczym szczególnym. To była moja praca.

- Twoja praca?

- Swego czasu byłem lobbystą w branży finansowej, przecież wspominałem ci już o tym.

Podjęzliwość Larkin zamieniła się w złość i poczucie zdrady. Ruszyła w stronę swoich drzwi.

- Śledziłem ten rynek, a Carter stanowił jego część. Nie bardzo rozumiem, w czym jest problem...

- Byłeś więc szycią w Waszyngtonie, a potem nagle któregoś dnia wszystko rzuciłeś, bo pomyślałeś, że jednak wolisz zostać farmerem?

- Może nie wszystko tak od razu rzuciłem - powiedział, czując narastający dyskomfort. - Po prostu doszedłem do wniosku, że nie bawi mnie już takie życie.

- Chyba ci to nie wyszło na dobre... myślę o twoim koncercie.

Twarz Christophera drgnęła.

- Gdybyś wiedziała cokolwiek więcej o rolnictwie, wiedziałabyś również, że to dość powszechne zjawisko w naszym kraju... Obecnie wielu farmerów ma kłopoty finansowe...

- Nie sądzisz, że w tej sytuacji to bardzo szczęśliwy dla ciebie zbieg okoliczności, że akurat mnie przypadkiem spotkałeś?

- Słucham? Nie rozumiem...

Larkin posłała mu szyderczy, bezlitosny uśmiech.

- Zabawne, jak to działa, kiedy jest się córką takiego wpływowego i bogatego człowieka jak Carter. Cały świat chce się z tobą zaprzyjaźnić i każdy facet z ambicjami chce się z tobą umówić. Co tam umówić, najchętniej od razu ślub, jeśli tylko przypadnie mu kawałek tortu. Oferowano mi już pięciokaratowe pierścionki zaręczynowe. - Przytknęła kartę magnetyczną do drzwi. - A ty myślałeś, że uda ci się to załatwić jednym lub dwoma pocałunkami...

Przekroczyła próg, ale on złapał ją za rękę.

- Mówisz jakieś bzdury, to jakaś paranoja...

- Chcesz pełną listę takich przypadków? - Odwróciła się raptownie, wyrywając mu dłoń.

Poznała sporo takich cwaniaków, którzy chcieli jej użyć, aby zbliżyć się do Cartera, a raczej do jego pieniędzy. Nie spodziewała się, że Christopher będzie jednym z nich.

- Chcesz przez to powiedzieć, że pocałowałem cię z powodu twego ojca?

- A ty chcesz mi powiedzieć, że ten pocałunek nie miał z nim nic wspólnego?  
- Co prawda czuła tę chemię, kiedy się do siebie zbliżyli, ale cała przepaść dzieliła ten niewinny flirt dzisiejszego popołudnia od buzującej namiętności pod koniec dnia. A w ciągu dnia Christopher miał okazję zobaczyć ją razem z Carterem.

Wiedział dokładnie, kim jest i jaki jest bogaty.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że go rozpoznałaś?

- Bo nie rozpoznałam. Masz mnie za takiego naciągacza?

W jego postawie coś się zmieniło. Gdyby dokładniej się przyjrzała, pewnie by to zauważyła. Ale zaaferowana własną złością, nie dostrzegła, że zanosi się na sztorm.

- Ty mi to powiedz! Wiem tylko, że to dość zabawne, jak się nagle wszystko zmieniło. Na początku byłeś tylko sympatycznym współpasażerem, który zamienił ze mną raptem kilka słów. Następnie widzisz mnie z Carterem... wybacz, z tym niezidentyfikowanym mężczyzną, który przypadkowo jest moim ojcem - syknęła zjadliwie - a już przy pierwszej nadarzającej się okazji stajesz się nad wyraz szarmanckim i uroczym amantem, całujesz mnie i zaglądasz mi głęboko w oczy...

- I co?

Zarumieniła się.

- I nic. Jeśli chcesz dotrzeć za moim pośrednictwem do Cartera, będziesz musiał zrobić trochę więcej niż tylko ucałować moją rączkę.

- Z przyjemnością. - Christopher przyciągnął ją niespodziewanie do siebie i namiętnie pocałował.

To był prawdziwy atak na jej zmysły. Ten władczy dotyk jego ust i pożądlivość rąk, męski zapach odebrały jej rozum. Całował ją z niemal arogancką zaborczością, jakby należała już do niego, jakby dokładnie wiedział, jak należy jej dotykać. Stała tak, trzymając się kurczowo jego ramion, z ustami wciąż przytkniętymi do jego warg, jakby pragnęła ich bardziej niż powietrza. Cały świat zawęził się do jego ust, dłoni, do jego ciała.

Nie wiedział, czy postępuje słusznie, czy ma do tego prawo, ale sprowokowała go i nie był w stanie dłużej się powstrzymać od tego, o czym marzył od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczył. Chciał też, żeby przyznała, że jest między nimi jakieś magiczne przyciąganie. Musiała przecież to czuć... Jedwabiste kosmyki jej włosów muskały jego twarz. Smakowała tak słodko i grzesznie, jak niedozwolona uczta. Całował ją zachłannie, a ona, drżąc rozkosznie, odrzuciła do tyłu głowę. Łapczywie wdychając jej zapach, zaczął pieścić ustami jej delikatną szyję. Huczało w nim pożądanie, potrzeba zaspokojenia tego wilczego głodu. Larkin oplotła go swoim ciałem, żarliwie odwzajemniając jego pocałunki. Wiedział, że może ją teraz mieć. Byli już w środku, w jej pokoju, a łóżko stało zaledwie o krok od nich. Mógł zanurzyć się w niej, w jej żarze namiętności, przenieść się z nią w całkiem inny wymiar. A jednak odsunął się powoli. Stała przez chwilę z szeroko rozwartymi oczami, opuchniętymi ustami, bez tchu.

- Och... ja...

- Zaufaj mi, Larkin - powiedział. - Cokolwiek wydarzy się między tobą i mną, nie ma i nie będzie to miało żadnego związku z Carterem. - Odwrócił się i czym prędzej wyszedł, dopóki jeszcze potrafił.



## Rozdział 3

Juneau było wyjątkowo wąskie, chyba najwęższe ze wszystkich miast, jakie dotąd widziała. Uparcie przylegało do pasma ziemi pomiędzy kanałem Gastineau i górami wznoszącymi się w głąb lądu. Juneau nadrabiało więc długością, rozciągając się po obu stronach zatoki.

Larkin wyszła na pomost. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio w tak szalony sposób rozpoczynała dzień.

- Lot nad lodowcami - usłyszała za sobą głos Cartera - nie spotyka cię co dzień. Dzięki temu zobaczymy rejony Alaski, gdzie nie dotrze się na piechotę. - Zafascynowany tą wizją Carter wynajął specjalnie prywatny samolot i pilota, bo uznał, że wycieczki grupowe są do niczego. Będą więc mogli zobaczyć, co tylko zechcą, oni i ich goście.

- Mam dziś raczej ochotę na kolejkę górską - powiedziała Larkin.

Molly z uroczymi rumieńcami od zimna czekała już na przystani za pomostem.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się na powitanie.

Świetnie, oto nowy obiekt pożądania Cartera. Larkin nie była zachwycona.

- Gotowa na wycieczkę po lodowcach?

- Muszę być szalona, wczoraj z trudem chodziłam po pokładzie, a dziś chcę się wybrać na spacer po lodzie.

- Posłużę z chęcią pomocnym ramieniem.

Larkin poczuła złość. Odwróciła się w kierunku stromych wierzchołków widniejących na horyzoncie. Czy zawsze musiał ją tak irytować?

- Tu jest piękniej niż w moich rodzinnych stronach.

- To znaczy? - dopytał.

- W Vermont.

- To całkiem niedaleko od moich rodzinnych stron.

- Naprawdę? A gdzie one są, jeśli można spytać?
  - Na Manhattanie.
  - No, to jednak niezbyt blisko.
  - Jak to? Można powiedzieć, że prawie jesteśmy sąsiadami.
  - A więc następnym razem, gdy zabraknie panu cukru, proszę wpaść do mnie.
- Uśmiechnęła się.

- Trzymam za słowo. Czy ktoś oprócz pani będzie nam towarzyszył?

- Christopher powinien się zjawić lada chwila.

Oczywiście, Christopher!

Larkin zagryzła zęby.

- A co robią pozostali?

- Gabriel i Jacob wraz z rodzinami wybierają się dziś na przejażdżkę psim zaprzęgiem. Dzieci cieszą się na to już od tygodni. Lainie i J.J. poszli na kolejkę górską.

- A co to takiego?

Larkin też miała na to ochotę.

- Lepiej niech pan nie pyta - powiedziała, dotykając jego ręki.

Carter spojrzał karcąco na Larkin, która zrobiła niewinną minę.

- Ale pani wcale nie powiedziała, że to nie jest dobra zabawa - zaprotestowała Larkin.

- Gdzieś tu powinien czekać już mikrobus, który zabierze nas na pas startowy. My pójdziemy go znaleźć - zwrócił się do córki - a ty zaczekaj tu na Christophera.

- W takim razie proszę mi opowiedzieć, jak wygląda pani dzień w Vermont - zaczął, podając Molly ramię.

Larkin westchnęła ciężko, widząc, jak Carter odchodzi z Molly. Wiedziała, że gdy ma ochotę na romans, nic go nie powstrzyma. Lepiej było odpuścić sobie to, na co i tak nie miała wpływu. Na tym polegała między innymi dorosłość.

Co do Christophera Traska, kołysana przez fale, całą bezsenną noc wyobrażała sobie, że bierze na nim odwet, choć czuła, że od środka wypala ją namiętność. Za to przeklinała go najbardziej. Sprawił, że tęskniła do niego, a co gorsze, nie umiała mu się oprzeć, i oboje o tym wiedzieli. Że też nigdy nie ma pod ręką laleczki woodoo, kiedy jest potrzebna.

Czuła przez skórę, że on już się zbliża. Charakteryzował go beztroski, zrelaksowany i pewny siebie krok sportowca. Miał na sobie dzinsy, kremowy gruby sweter i sztormówkę, a na głowie klasyczną wełnianą czapkę.

Na jej widok uśmiechnął się zabójczo.

Larkin automatycznie odpowiedziała uśmiechem, zanim zdołała sobie przypomnieć, że go nienawidzi.

- Cześć - powiedział, zatrzymując się tuż przed nią. - Gdzie jest reszta?

- Molly i Carter poszli rozejrzeć się za mikrobusem - odparła sztywno. -

Poprosili, żebym zaczekała na ciebie.

Christopher uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo mi miło.

Ona jest na serio na mnie wściekła, pomyślał Christopher. Zdradzało to jej całe ciało. Zresztą on też był na nią wkurzony, a więc byli kwita. Pytanie tylko, co dalej. Larkin stała w długim czarnym płaszczu i dzinsach, a na głowie miała białą futrzaną czapkę, w której wyglądała jak caryca na emigracji. Do tego miała w uszach srebrne, niewielkie kolczyki w kształcie łezek. Wiatr rozwiewał jej miodowe włosy i wymalował na jej policzkach wesołe rumieńce. Może i błysk w jej oczach mówił, że najchętniej posłałaby go do diabła, ale był w stanie to zaakceptować, bo wyglądała naprawdę urokliwie. Poszedłby o każdy zakład, że bez trudu pokonałby tę jej złość.

- To jest Juneau?

- Na to wygląda, ale zaraz zobaczymy więcej - odparła.

- Nie mogę się już doczekać lodowców. Gdzie jest nasz mikrobus?

- Gdzieś tam na końcu, tak mówił Carter. - Ruszyła przed siebie, nie patrząc, czy podąża za nią.

Wyraźnie widział, że tłumi ziewanie.

- Jak się spało? - zapytał.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Bardzo dobrze. A tobie?

- Ujdzie - powiedział, choć zajęło mu kilka godzin, nim zasnął. - To prawie jak spanie w hamaku, z tym ciągłym kołysaniem. I nagle się budzę, bo ktoś puka do drzwi, i wnoszą kawę.

- Żyć, nie umierać. Jestem pewna, że jak teraz wrócisz do swojej kabiny, znowu ktoś ci przyniesie kawę. Może pójdziesz i sprawdzisz?

- Widzę, że jesteś na mnie wściekła. Ale za co, jeśli można zapytać? Że cię wczoraj wieczorem pocałowałem, czy może bardziej za to, że ci się to spodobało?

- Powiedz, czy ta twoja strategia jaskiniowca naprawdę robi wrażenie na kobietach? - zapytała ze sztucznym rozbawieniem.

- Nie jest to może moja zwykła taktyka, ale doszedłem do wniosku, że zasługujesz na coś wyjątkowego.

- Wybacz więc, że nie doceniłam twoich wysiłków.

- Zdaje się, że potrzebowałaś dowodu na siłę mojej namiętności.

Postanowiłem więc być posłuszny. - I wcale nie przyszło mi to z trudem, dodał w myślach, przypominając sobie zapach jej skóry i smak ust. Wyjście wczoraj z jej pokoju, gdy była tak rozpalona i drżąca, było jednym z najtrudniejszych przeżyć, których w życiu doznał. Ona również dobrze zapamiętała tę chwilę, tego był pewien.

- Nie wiem, po co właściwie tracę czas na rozmowę z tobą - syknęła nieuprzejmie.

- Bo to wspaniały poranek. Otaczają nas niezwykle krajobrazy, a ty na dodatek jesteś zbyt mądra, żeby dąsać się przez cały dzień.

- Wcale się nie dąsam - powiedziała Larkin rozzłoszczona.

- Przepraszam więc za tę pomyłkę - odparł. - To chyba nasz mikrobus? -

Wskazał na samochód, w którym siedzieli Carter i Molly.

Obok pasa startowego stał niezbyt ładny budynek, na którym widniał napis:

Taku - wyprawy na lodowce.

Gdy tylko mikrobus się zatrzymał, otworzyły się drzwiczki i do środka zajrzała agentka, która wyglądała najwyżej na czternaście lat.

- Witam wszystkich - powiedziała z uśmiechem. - Mam na imię Amy.

Carter wstał.

- To ja wynająłem samolot na dziś, nazywam się Carter Hayes. Są z nami dwie dodatkowe osoby, ale mam nadzieję, że nie będzie to stanowić problemu.

Powiedziano mi, że są dwa wolne miejsca.

- Właściwie to... - Amy była trochę zakłopotana - jest pewien problem.

- Problem, ale jaki?

- Bo... nie mam samolotów w bazie.

Carter zmarszczył brwi.

- Co to znaczy, że nie ma samolotów? Przecież moja asystentka zarezerwowała i opłaciła ten lot przed miesiącem.

Dziewczyna zakasłała nerwowo.

- Kilku alpinistów zaginęło w Denali. Trwają cały czas poszukiwania i dlatego odwołano wszystkie samoloty, również ten, którym państwo mieli lecieć na lodowce. Udało się jednak zdobyć zastępstwo - dodała pośpiesznie. - Jest nim tutejszy pilot helikoptera Buck Matthews i to on państwa zabierze w tę podróż.

Larkin spojrzała na płytę, na której stały helikoptery przypominające ważki z metalu i szkła organicznego.

- Może dajmy sobie spokój, tato - powiedziała Larkin.

- Dlaczego? Myślę, że się państwu spodoba. To nawet lepsze niż samolot - wyjaśniła - bo można zawisnąć w powietrzu nad wszystkim, co chce się zobaczyć.

Buck od lat jest naszym pilotem i doskonale zna ten teren. Mam nadzieję, że nie macie państwo nic przeciwko zwierzętom?

Gdy zdziwieni pokręcili głową, szybko ciągnęła dalej.

- Świetnie, zatem dam państwu specjalne buty i zaprowadzę na płytę.

Buty były czarne i miękkie i zakładało się je na swoje własne.

Christopher pochylił się do ucha Larkin i szepnął:

- Do twarzy ci w tym, słowo daję, wyglądasz bardzo stylowo.

Rzuciła mu groźne spojrzenie i podążyła za Amy.

- Czuję się prawie jak astronauta - powiedział Christopher. A gdy nic nie odpowiedziała, przysunął się bliżej i znowu szepnął: - W końcu będziesz musiała się złamać i czasem zamienić ze mną słowo.

- I tu się mylisz - odparła bez zastanowienia, lecz już po chwili pożałowała.

- A nie mówiłem? - Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, po czym mrugnął okiem i odszedł na bok.

Im bliżej byli helikoptera, tym bardziej Larkin była niespokojna. Spodziewała się, że polecą zgrabnym dwusilnikowym samolotem, a nie małym helikopterem, którym przeprowadzano akcje ratownicze. Pilot czekał już obok maszyny. Był krępej budowy i wydawało się, że bez trudu sam jeden mógłby wypełnić przestrzeń w środku helikoptera. Przez otwarte małe drzwiczki widać było z tyłu miejsca siedzące, które raczej nie zasługiwały na to miano. Na pasie zieleni rozgraniczającym pas lądowania i startu włączył się jakiś szarobury kundel, zapewne drugi pilot, pomyślała złośliwie. Cóż można było więcej dodać na temat profesjonalizmu tej wyprawy?

- To jest nasz Buck - przedstawiła pilota Amy.

- Gotowi do lotu? - zapytał Buck.

- Tym czymś? - zapytała Larkin. - Jest pan pewien, że wszyscy się zmieszczą?

- Siedzenie z tyłu było tak ciasne, że z trudem pomieściłoby dwie osoby, a co dopiero cztery.

- Trochę się ściśniemy i damy radę - mruknął Carter.

Larkin spojrzała ze zdziwieniem na ojca, a potem na Molly i Christophera.

- Molly, chce pani zająć miejsce z przodu? - spytał Carter.

- Nie, nie - Buck potrząsnął głową. - To jest miejsce Scouta. - Zagwizdał i kundel biegnący po trawie już po chwili stał koło nich z wywieszonym językiem i psim uśmiechem na pysku.

- Nie, tego już za wiele - zdenerwował się Carter. - Miejsce z przodu zajmie ktoś z nas, a pies zostanie.

- Nie ma mowy, Scout zawsze ze mną lata. Jeśli więc chcecie lecieć, musicie się z tym pogodzić, że pies będzie siedział z przodu.

Molly poczochnęła psa za uszami.

- Chętnie mu odstąpię przednie siedzenie. Taki lot nad lodowcami w takim towarzystwie, to dopiero przygoda! - powiedziała.

- Buck zna tu każdy kąt, będzie w stanie pomóc państwu tam na miejscu - wtrąciła się Amy.

- W takim razie spróbujemy - mruknął Carter.

- Jeżeli nie będą państwo zadowoleni z wyprawy, zwrócimy pieniądze - przekonywała Amy.

- Zobaczymy, jak to będzie - burknął pod nosem Carter, choć widok Molly, która zaprzyjaźniała się właśnie ze Scoutem nieco go udobruchał.

Larkin żałowała, że nie ma w sobie równie pozytywnych emocji.

- Ja zostaję - powiedziała - nie ma co się kisić we czwórkę na tym tylnym siedzeniu.

- Miejsca wystarczy, nikt z was nie cierpi na otyłość - odezwał się Buck. - Będzie cieplej i bardziej swojsko.

Swojsko... Nie tego teraz potrzebowała. Usłyszała stłumiony śmiech Christophera. Patrzył się na nią badawczo.

- Ja usiądę w środku - zaproponował Carter - a pani zajmie miejsce przy oknie.



- Nie ma mowy, ta wycieczka to pana pomysł, więc pan powinien siedzieć przy oknie.

- Jestem wysoki i nic nie będzie pani widziała.

- Zgoda - skrzyżowała ręce - ale tylko wtedy, jeśli zajmie pan miejsce przy oknie w drodze powrotnej.

- Ale się pani targuje...

- Lepiej niech się pan przyzwyczaja - odparła z promiennym uśmiechem.

- Wygląda na to, że będę musiał.

Christopher spojrział znacząco na Larkin, a potem powiedział:

- Ja ci również odstąpię miejsce przy oknie, żebyś nie wątpiła w to, że rycerskość ma się dobrze na Alasce.

- Kamień spadł mi z serca.

Z niejaką satysfakcją patrzyła, jak kuli się, zostawiając jej miejsce wielkości znaczka pocztowego tuż obok drzwi.

- Pomóc? - zapytał.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Larkin wdrapała się do kabiny i zajęła miejsce obok Christophera. Nie było ucieczki, nawet gdyby wtopiła się w ścianę helikoptera, nie było metody, żeby nie dotykała jego ciała.

- No, widzi pani, wszyscy się zmieścili - powiedział Buck. - Zamykam drzwi.

Nie zamierzała spojrzeć na mężczyznę, który siedział dosłownie przyklejony do niej. Z pewnością miał bardzo rozbawioną minę. Małe drzwiczki się zatrzasnęły i tym samym ostatecznie zaklinowały ją na tym skąnym miejscu. Nie sposób było uwolnić się od myśli, że przylegają do siebie jak para kochanków. Czowała jego silne, rozgrzane ciało mimo wielu warstw ubrań.

Po chwili Buck wskoczył za ster i gwizdnął przeciągle.

- Scout, chodź!

Scout wskoczył na swoje siedzenie i Buck zapiął mu specjalną uprząż z szelkami, a potem przez chwilę ustawiał coś na desce rozdzielczej.

- Włóżcie wszyscy słuchawki, te tutaj - odwrócił się i wskazał głową - inaczej nic nie będziecie słyszeć, tylko warkot. - Uśmiechnął się z przekąsem. - A jak będziecie chcieli zobaczyć coś z bliska, krzyczcie. A teraz startujemy... - Obracające się śmigło zagłuszyło jego ostatnie słowa.

Poderwali się do góry i Christopher spojrział zatroskany na Larkin.

- W porządku? - krzyknął.

Siliła się na beztroski uśmiech, ale gdy wszystko zaczęło dygotać, przeraziła się na dobre. Miała na swoim koncie wiele lotów, ale czymś takim jeszcze nie latała. Nie mogła pojąć, dlaczego wszyscy są tacy spokojni. Uważała ich za skończonych szaleńców. Normalne skrzydła wzbudzały w niej znacznie większe zaufanie niż śmigło, zwłaszcza że skrzydła miały także ptaki, ważki, a nawet komary. Nie mogła sobie skojarzyć żadnego stworzenia, które poruszałoby się przy pomocy śmigła wokół głowy.

Warkot silnika stał się jeszcze głośniejszy i Larkin poczuła, że zaciska jej się gardło. Wbiła paznokcie w dłonie, próbując opanować nerwy, gdy po chwili poczuła krzepiący uścisk ręki Christophera. Zdziwiona spojrzała na niego, a on puścił do niej oko.

- Wszystko jest pod kontrolą - próbował przekrzyczeć huk śmigła.

Kiwnęła głową, powtarzając sobie w duchu, że jakoś przetrwa ten lot, nawet jeśli będzie ją to kosztować sporo emocji. Zerknęła przez okno i ku jej zaskoczeniu, ogarnęła ją autentyczna euforia. To było jak prawdziwe latanie, poczuła się jak ptak, jakby szybowała ponad tymi niekończącymi się polami śnieżnymi i górami. Nagle w oddali zamigotał w słońcu grzbiet wyższy od innych. Buck leciał dokładnie na wprost niego.

Serce Larkin zaczęło walić młotem. Była jednocześnie zafascynowana i przerażona. Wbiła mocniej palce w dłoń Christophera, a on odwzajemnił ten uścisk.

Góra wydawała się zbyt wysoka, by helikopter mógł ponad nią przelecieć. Nieodparte było wrażenie, że za moment roztrzaskają się o nią i runą w dół.

W tej chwili jednak Buck, jednym ruchem ręki, jakby od niechcienia, pociągnął za dźwignię i helikopter wzbił się lekko w górę. Larkin odetchnęła z ulgą i natychmiast zapomniała o strachu, bo przed nimi ukazał się ogromny lodowiec, który rozciągał się pomiędzy grzbietami wzgórz. Wydawał się niewiarygodnie gładki wśród tego skalistego pejzażu.

- Pod nami lodowiec Taku - powiedział Buck. - To jedyny lodowiec, który wciąż się rozrasta. Wszystkie pozostałe powoli zanikają. - Przechylił maszynę, zniżając się do lądowania.

- Tylko na to spójrzcie! - zawołała podekscytowana Larkin.

Lodowiec jakby rozpękł się na pół, otwierając przed nimi gigantyczną szczelinę w ciemnym, niebieskim kolorze. Aż trudno było uwierzyć, że w przyrodzie występują tak intensywne, lśniące barwy. Nie mogła oderwać od tego widoku oczu i wciąż jeszcze oglądała się za siebie, gdy minęli to niezwykle miejsce.

- Możemy jeszcze raz tędy przelecieć? - zapytał Christopher, wyjąwszy jej to z ust.

Kątem oka widziała, że patrzy na nią, nie na lodowiec, i poczuła ten charakterystyczny ścisk w żołądku, który tym razem nie miał wiele wspólnego z krajobrazem.

- Popatrz tylko! - powiedział nagle.

Wszystko przez ten ścisk, tłumaczyła sobie, za dużo ludzi, za mało tlenu. Ciężko wciągnęła przez nozdrza powietrze i spojrzała przed siebie. To pozwoliło jej trochę ochłonąć, a raczej znowu się na chwilę zapomnieć. Oszłamiająco lśniący i gigantyczny lodowiec wyrósł przed nimi dosłownie jak spod ziemi, a oni opuszczali się wciąż niżej i niżej, by po chwili lekko i beztrąsko usiąść na tej zadziwiająco gładkiej powierzchni.

## Rozdział 4

- No, to jesteśmy! - zakomunikował Buck, wyłączając śmigła. - Tylko tutaj trzeba bardzo uważać, nawet w tych butach łatwo się pośliznąć. Szczególna ostrożność obowiązuje w pobliżu szczelin. Jeżeli będziecie chcieli do nich zajrzeć, robicie to na samym początku, inaczej możecie je zobaczyć z bliższej perspektywy, niż byście tego chcieli. A ani ja, ani Scout nie wskoczmy za wami, żeby was ratować.

Larkin wysunęła nogę przez drzwiczki i po chwili stanęła na lodzie. Zrobiła kilka kroków, trzymając się helikoptera, a potem zerknęła na Christophera. Cały czas się jej przyglądał.

- No co?

- Spadła ci z głowy czapka i Scout pomyśli, że to królik.

- Nie śmieję się z mojej czapki, lubię ją.

- Ja też ją lubię, bo ślicznie w niej wyglądasz. Wyobrażam sobie siebie, jak siedzisz na Placu Czerwonym i...

- Masz szczęście, że tu nie ma śniegu, bo dostałbyś kulą.

- Co ty wiesz o lepieniu kul ze śniegu? Przecież mieszkasz w LA!

- Niektóre rzeczy wie się całkiem naturalnie - powiedziała zalotnie i podeszła nieco bliżej szczeliny w lodowcu. Chciała przyjrzeć się temu niezwykłemu, lśniącemu niebiesko-zielonemu kolorowi, który widoczny był z góry. Był tak nieziemski, że pozwalał wierzyć w istnienie aniołów. Na początku widziała tylko szarobury, gruzełkowaty lód, lecz gdy zrobiła jeszcze kilka kroków, wyłoniła się jasna, lśniąca błękitem, gładka ściana. Wyciągnęła szyję i dopiero wtedy zamarła na dobre. Jej oczom ukazał się głęboki błękit, a w chwilę później ciemny turkus rozświetlający całą przestrzeń pomiędzy ścianami lodowca. Usłyszała za sobą kroki. Była pewna, że to Christopher się do niej zbliża, a mimo to stała jak zahipnotyzowana intensywnością tych barw. - To niewiarygodne - wyszeptała

zauroczona. - Czy widziałeś kiedykolwiek coś choćby podobnego? - zapytała, nawet się nie odwracając. Była pewna, że to on. - Mogłabym tak patrzeć i patrzeć bez końca.

W ciszy dał się słyszeć nagle głuchy trzask i poczuła, że lód pod nią zaczyna pękać. W sekundę później otoczyły ją mocne ramiona. Z piersi, mimowolnie, wyrwał jej się okrzyk przerażenia. Christopher najpierw pociągnął ją do tyłu, a potem razem przewrócili się na lód. Było to jak zmontowana sekwencja z jakiegoś filmu - klatka po klatce. Larkin przez dłuższą chwilę nie mogła się poruszyć z miejsca. Była jak sparaliżowana i tylko wtulała się jak wystraszone dziecko w ramiona swego wybawcy.

- Chryste, wszystko w porządku?

- Tak - kiwnęła głową, ale cała się trzęsła.

- Co też ci przyszło do głowy? - powiedział i wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wstać. - Słyszałaś przecież, co mówił Buck, nie wolno podchodzić do krawędzi, a ty prawie weszłaś do środka.

Przez moment patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi ustami.

- Wcale nie, powiedział przecież, że można podchodzić do szczeliny w miejscu, gdzie się kończy.

- Niewiele brakowało, a bylibyśmy świadkami, jak kończy się twoje życie. Musisz być bardziej uważna.

- Nie mów mi, co muszę. - Larkin uniosła dumnie głowę, ignorując jego wyciągniętą rękę.

Wstała i starannie się otrzepała.

Podbiegł do niej Scout, szczekając zajadle, a zaraz za nimi Carter i Molly.

- Co się stało? - zapytał Carter.

Larkin ukryła trzęsące się ręce w kieszeniach.

- Nic, ja tylko...

- Larkin pośliznęła się - wyjaśnił Christopher. - Pośliznęła się i upadła na lód.  
- Te buty wcale nie są takie dobre - skwitował Carter - i trzeba naprawdę uważać.

- To moja wina, byłam nieuważna.  
- Więc bądź ostrożna, tu nie ma żartów.  
- Uważaj na Larkin, Chris - poprosiła Molly.  
- Oczywiście, nie będę jej już odstępował ani na chwilę.  
- Wcale nie chcę, żebyś deptał mi po piętach - powiedziała urażona, gdy tamci odeszli. - Dzięki - dodała po chwili - doceniam to, co zrobiłeś, nie myśl sobie, ale nie musicie od razu wszyscy na mnie wsiadać.

- Jeżeli tylko nie będziesz próbowała wskoczyć w szczeliny, obiecuję, że nie będę cię prześladował.

- Nie chciałam do niej wcale wskoczyć.  
- A ja nie chciałem być nieprzyjemny. Wybacz, jeżeli się uniosłem.  
Zauważyła, że nie tylko jej trzęsą się ręce.  
- Przepraszam, że cię wystraszyłam, masz rację, uratowałeś mi tyłek.  
- Całkiem niezły, zresztą, więc szkoda by było zostawić go tu w szczelinie lodowca.

- Postaram się trzymać go przy sobie.  
- Nie gniewaj się, ale jednak będę miał na ciebie oko.  
- Wsiadamy! - zawołał Buck.  
- Chodź, pora na kolejną turę helikopterem. A może masz już dość na dziś przygód?

- Kto, ja? - Larkin wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Ja dopiero zaczęłam.  
O zmroku mikrobus odstawił ich z powrotem na przystań. Na nabrzeżnym bulwarze było mnóstwo sklepów oferujących najróżniejsze upominki. Christopher uścisnął Carterowi dłoń.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie.

- To był cudowny dzień - dodała Molly rozpromieniona. - Jestem panu taka wdzięczna, było po prostu wspaniale.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Carter spojrział na zegarek. - Jest jeszcze dosyć wcześnie - zwrócił się do Molly - może zechce mi pani towarzyszyć w spacerze po Juneau. - Nadstawił ramię i ruszyli przed siebie.

Christopher patrzył przez chwilę, jak odchodzą, a potem zapytał:

- A co będzie z nami? Może też masz ochotę przejść się po bulwarze albo pojechać kolejką na Mount Robert.

- Kolejką? - Larkin odwróciła się i zobaczyła czerwony wagonik wspinający się pod górę.

- Nawet w przybliżeniu nie jest taka groźna jak helikopter.

- Helikopter nic mi nie zrobił...

- Zauważyłem właśnie. Ja tam się trochę bałem i dlatego byłem szczęśliwy, że trzymasz mnie za rękę, kiedy startowaliśmy.

- Cieszę się, że ci mogłam pomóc - odparła z zalotnym uśmiechem.

Christopher ujął jej dłoń i przytknął do ust.

- Doceniam to - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Znowu poczuła przyływ pożądania.

- To jak, kolejka czy statek?

- Kolejka - powiedziała i zwilżyła usta. Miała nieodparte uczucie, że jak wróca na statek i wejdą do którejś z kabin, nigdy już z niej nie wyjdą.

- Och, jakie to urocze. - Molly stała przed wystawą kryształów Swarovskiego i wskazywała palcem figurkę niedźwiedzia polarnego. Obok znajdowały się naszyjniki z kutego złota i topazów, a także ręcznie robione figurki naitów. Wyroby pięknie się komponowały z ciemnym kolorem ścian i pluszowym dywanem.

- A czy nie czuje się pani tutaj, jakby urlop spędzała pani w domu?

- Nie, ten sklep w niczym nie przypomina naszego. Nasz jest znacznie mniejszy i więcej w nim wyrobów rzemieślniczych niż artystycznych.

- Ma pani na myśli, że jest mniej ekskluzywny?

- A więc wyglądam na kogoś, kto nie odnajduje się w ekskluzywnym sklepie?

- Nie, raczej na kogoś, kto czuje się ze sobą niezwykle komfortowo.

Molly uśmiechnęła się promiennie.

- To chyba najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

- W takim razie nie zadawała się pani z odpowiednimi ludźmi. Do głowy przychodzi mi jeszcze mnóstwo innych, miłych komplementów pod pani adresem, które wydają mi się nadzwyczaj trafione.

- Och, jaki pan uprzejmy... - Molly, jakby nieco zawstydzona, wbiła wzrok w kolejną wystawę. Była tam dziwna maszyna, na której widniał napis, że drukuje dowolny, wybrany widok z Juneau za jednego jedyne centa.

Carter sięgnął do kieszeni i wyjął kilka monet.

- To co wybieramy?

- Oczywiście lodowce, jako pamiątkę z dzisiejszego dnia.

Carter wrzucił monetę i uruchomił dźwignię. Coś zgrzytnęło i zabręczało, a po chwili wypadła widokówka, którą wybrali.

- Proszę, oto pani pamiątka - powiedział, wręczając jej pocztówkę.

- Jest pana...

- Nie, teraz już jest pani. To prezent ode mnie z okazji walentynek.

- Ale przecież to nie dzisiaj! - roześmiała się.

- Ach nie? To proszę przechować ją do walentynek, a wtedy ją pani wyciągnie i pomyśli o mnie.

- Stąd wszystko wygląda całkiem inaczej. - Larkin i Christopher stali oparci o balustradę tarasu widokowego na Mount Roberts i patrzyli na port rozciągający się



poniżej. Statki w porcie wyglądały jak zabawki. - Ta góra jest większa, niż mi się wydawało.

- Wszystko ciągle się zmienia - rzucił nieco zaczepnie Christopher. - Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Zbocza góry były pokryte wiecznie zielonymi roślinami, niektóre rosły na wyciągnięcie ręki. Ale nawet w sierpniu tu i ówdzie ziemię pokrywały plamy śniegu i lodu. Nad ich głowami krążył łowny ptak, jakby podziwiał wraz z nimi z góry pejzaż.

- Ciekawe, jak to jest mieszkać w tak niezwykłym miejscu - powiedziała.

- Chyba zimno, jak sędzę - odparł Christopher.

- Mówię poważnie - szturchnęła go lekko w bok. - Budzisz się rano i widzisz przed oknem o to... - Wskazała ręką na krajobraz dokoła nich.

- Pewnie gdy tu się mieszka, patrzy się na to inaczej, zawsze tak jest. Są zbyt zajęci codziennymi sprawami, pracą, dziećmi, zakupami... Choć na pewno od czasu do czasu i oni podziwiają piękno otaczającej ich przyrody. I wtedy mówią: O Boże, mieszkamy w raju. A może zdarza im się to częściej niż innym ludziom.

- Nie sądziłam, że jesteś taki cyniczny. - Larkin przechyliła głowę na bok.

- Nie cyniczny, ale realista. Myślę, że tak to po prostu działa. Szczęście to sztuka dostrzegania...

- I to dlatego opuściłeś Waszyngton? Bo nie było tam rzeczy, które zapierałyby dech w piersi?

Christopher wzruszył ramionami.

- To może trochę zabawne, bo na początku tak właśnie było. Wchodziłem do Senatu, rozmawiałem ze znanymi osobami i przyprawiało mnie to o dreszczyk emocji. Ekscytowała mnie sama świadomość, że jestem tak blisko centrum wydarzeń. - Przez chwilę śledził wzrokiem tor lotu jastrzębia. - I nagle przestało to być dla mnie ważne, przestałem rozumieć, po co to robię, i jedynym argumentem stały się pieniądze.

- Coś jednak musiało być tym momentem przełomowym. Co to było?

- Pojechałem na kilka dni do Vermont, żeby spotkać się z rodziną.

Odwiedziłem ciotkę Molly i Jacoba, i gdy wyszedłem z domu o poranku i zobaczyłem wschodzące słońce, nagle wiedziałem, że nie chcę wracać do Waszyngtonu. Półtora miesiąca później kupiłem farmę.

- I to jest to, o czym marzysz?

- Jeśli nie zapomnę dostrzegać jej piękna... Jestem takim samym człowiekiem jak ludzie mieszkający tutaj.

Na tarasie oprócz nich nie było już nikogo. Po pełnym wrażeń dniu coś kojącego miało w sobie to odosobnienie.

- A jednak myślę sobie - powiedziała Larkin, patrząc na ulice Juneau - że musi być dziwnie żyć tu jak w zamknięciu.

- Co masz na myśli?

- Nie słyszałeś o tym? Nie ma tu dróg prowadzących poza miasto. Nie można tu dojechać ani wyjechać samochodem, a jedynie statkiem albo samolotem.

- To taki kompromis, mieszkasz w rajku, z którego nie możesz uciec.

- Myślę, że może się znudzić po jakimś czasie, jak Adamowi i Ewie - powiedziała Larkin. - Chyba wolę jednak miejsce mniej doskonałe, doskonałość nudzi... A ty co o tym sądzisz?

- Wolę raj - uśmiechnął się. - Zbudowałbym po prostu drogę. - Kiedy życie, które prowadził, mu nie odpowiadało, robił ruch, żeby je zmienić.

- Ciekawe, co ci ludzie robią, kiedy chcą trochę zaszaleć. Mnie na przykład pomaga świadomość, że gdy zbudzę się w środku nocy i nie będę mogła spać, mogę w każdej chwili wsiąść w samochód i jechać przed siebie, na pustynię, w góry lub jeśli zechcę, nawet do samej Kanady czy Vermont.

Christopher przybliżył się do niej.

- Jeśli faktycznie dojechałabyś kiedyś do Vermont, nie zapomnij mnie odwiedzić.

- Nie zapomnę.

- Dużo jeździsz po nocy?

- Czasami, gdy jestem niespokojna. - Odwróciła się do niego. Stał bliżej, niż się spodziewała. - Czasami budzę się w nocy i... sama nie wiem, jakby mi czegoś brakowało, ale nie potrafię powiedzieć, co to dokładnie jest. Wtedy wyruszam w drogę. - Nieco zakłopotana wzruszyła ramionami. - Może to brzmi dla ciebie dziwnie, pewnie ci się to nigdy nie zdarza. Nie przyłapujesz się nigdy na jakiejś nie do końca jasnej tęsknocie za czymś bliżej nieokreślonym?

- Owszem, ciągle czegoś pragnę, czasem dzieje się to tak nagle... - Ujął jej dłoń.

- Czego? - szepnęła.

- Dobrze wiesz. - Wyjął jej z ręki gałązkę, którą się bawiła, i przejechał nią delikatnie po jej szyi.

Larkin dostała gęziej skórki i westchnęła cicho.

Nie odrywając od niej wzroku, wyrzucił gałązkę. A wtedy ona zarzuciła mu rękę na szyję i przyciągnęła go do siebie. Teraz moja kolej, pomyślała. Zbliżyła usta do jego warg, by zaspokoić swój głód. Tylko teraz, przemknęło jej przez myśl, w tej chwili, w końcu to tylko kolejny mężczyzna. Lecz gdy Christopher zaczął odwzajemniać jej pocałunki, zdała sobie sprawę, że nie jest jednym z wielu. Spodziewała się, że znowu wzbudzi w niej to pożądanie, ale tym razem w zupełnie inny sposób poruszył jej zmysły. To było coś, przed czym nie potrafiła się bronić. Całkowicie straciła kontrolę nad sytuacją.

Poczuła, jak Christopher wsuwa ręce pod jej rozpięty płaszcz, przyciąga ją do siebie i przesuwa dłońmi po jej ciele. Westchnęła z rozkoszy. Kręciło jej się w głowie, traciła grunt pod nogami, czuła, jakby miała spaść za chwilę w przepaść, która nie miała końca, choć przecież za nią była stabilna barierka, a w ramionach trzymał ją silny mężczyzna. Każdy jego dotyk od nowa wzbudzał w niej ogień

namiętności i rozżarzał zmysły, a otaczający świat i rzeczywistość skurczyły się do tego jednego punktu w czasoprzestrzeni.

To było jak burza. Christopher jęknął. Pożądanie przyprawiło go o niemal fizyczny ból. Każda jego komórka pragnęła tego jedyne w swoim rodzaju spełnienia. Znów musiał zwalczać w sobie tę falę namiętności, która nieustannie wzbierała, odkąd poznał tę kobietę. Jego usta łapczywie przesuwają się wzdłuż szyi Larkin. Jej skóra była ciepła, delikatna i gładka, a jej słodkie westchnienia i przyspieszony oddech doprowadzały go do szaleństwa. Powoli udało mu się zapamiętać nad emocjami i przywrócić nad sobą kontrolę. To było jak tortura, ale wszystko w swoim czasie... Nie tutaj i nie tak... ale już niebawem.

- Ostatni przewóz do „Alaskan Voyagers” - rozległ się głos w megafonie.
- Słyszałeś? Musimy wracać - powiedziała Larkin zmieszana.
- Nie możemy utknąć przecież w tym raju, nie byłabyś tu szczęśliwa. - Jeśli pragnęła swojego niedoskonałego życia, chciał je spędzić właśnie z nią.

## Rozdział 5

Larkin zapaliła zapałkę i wpatrzona w płomień, powoli przytknęła ją do czerwonej świeczki na małym torciku. Wzięła go ostrożnie ze stołu i ruszyła w stronę werandy, na której siedział Carter w chłodnym, porannym powietrzu. Odchrząknęła, po czym zaintonowała „Happy Birthday”.

- A to co? - Carter spojrział przez ramię i roześmiał się.

- Happy Birthday... - zaśpiewała głośno i urwała. - Wszystkiego najlepszego! - powiedziała i podała mu kieliszek z szampanem. - Musisz pomyśleć sobie życzenie.

- Z przyjemnością, proszę pani. - Carter, zadowolony, zdmuchnął świeczkę i pociągnął łyk szampana.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu na słońcu, patrząc, jak ośnieżone fiordy majestatycznie przesuwiają się obok nich.

- Naprawdę sprawiłaś mi dużą niespodziankę - powiedział Carter. - I to miłe śniadanie, i torcik ze świeczką, i szampan...

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wypijmy za koniec pierwszej połowy i za początek drugiej połowy życia.

- Początek drugiej? Chyba nie oczekujesz, że będę żył sto dwadzieścia lat? - Uśmiechnął się.

- A czemu nie?

- Z całą pewnością nie, jeśli co rano będę jadł takie śniadanie. - Z lubością wsunął do ust ostatni kawałek bekonu, samotnie leżący na półmisku.

- To twoje urodziny, dziś masz na wszystko dyspensę.

- Skoro tak, to na obiad zjem dziś krwisty stek z zasmażanymi ziemniakami i tłustym sosem.

- W porządku, zrobię rezerwację na ósmą.

- Widzę, że już zaplanowałaś całe moje życie.

- Ktoś musi przejąć tę działkę, skoro zostawiłeś swoją asystentkę w Nowym Jorku. Chętnie się tego podejmę.

- Bardzo ci dziękuję i dziękuję, że przyjechałaś.

- A ja, że mnie zaprosiłeś.

- Naprawdę cieszę się, że tu jesteś. - Carter uścisnął mocno jej rękę.

Było jak za dawnych dobrych lat, włącznie z tym, że znowu musiała się przyglądać temu, jak Carter na łeb, na szyję rzucał się w objęcia kolejnej kobiety. Musiała jednak przyznać, że Molly Trask wraz ze swoją rodziną różniła się od poprzednich jego zauroczeń. Właściwie to ich zasługa, że udało jej się poczuć swobodnie w towarzystwie Cartera, bo początek nie wróżył zbyt dobrze. Szkoda tylko, że odkąd opuścili Juneau, nie było śladu po Christopherze.

- Co dziś robimy? - zapytał Carter.

Larkin sięgnęła po codzienną pokładową gazetkę.

- Zdaje się, że będziemy podziwiać zatokę i okoliczne lodowce.

- A więc żadnych wypadów kaskaderskich?

- Żadnych - odparła Larkin.

- Świetnie. - Carter wstał. - Zatem znajdziemy dobry punkt widokowy.

Hol był zatłoczony ludźmi zmierzającymi do windy, a w powietrzu wisiała aura ekscytacji. Wokół zatoki, do której przybił statek, piętrzyły się ogromne lodowce, będące niewątpliwie największą atrakcją tej podróży. Dali się więc ponieść temu strumieniowi ludzi i po chwili byli już na górnym pokładzie. Tam niespodziewanie niemal zderzyli się z Traskami. Larkin dostrzegła Christophera. Dziwnym trafem zmienił się z Casanovy w kogoś zupełnie niewidzialnego. No cóż, był tu w końcu z rodziną, więc nic dziwnego, że nie dotrzymywał jej towarzystwa. Ona też spędzała czas wyłącznie z Carterem. Nic jej przecież nie obiecywał, a to, że miała wrażenie, że coś między nimi zaiskrzyło, to już tylko jej prywatna sprawa. Dla niego nie była nikim ważnym, bo by tak nie zniknął bez słowa. Zresztą, w sumie, dla niej też nie miało to przecież większego znaczenia.

- No i kogo my tu mamy - powiedział zadziornie. - Ależ ten świat jest mały.
- To statek nie jest taki duży - odparła chłodno.

Nawet nie spojrzała w stronę Cartera, wołała nie widzieć, jak znowu przymila się Molly.

- Idziecie obejrzyć lodowce?
- Tak jak połowa pasażerów - odparła.
- Chyba głównie po to tu przyjechaliśmy.

Larkin machinalnie odwróciła wzrok i dostrzegła kątem oka roześmianą Molly, z lekkimi wypiekami na policzkach.

Jacob trzymał młodszego synka na rękach, a Celie starszego za rękę.

- Daj wujkowi Chrisowi rękę - zawołała do Sophii.
- Nie potrzeba - zaprotestowała mała.
- Sophio Amelie, powiedziałam coś do ciebie - rzuciła Celie ostrzegawczo.
- Dobrze, mam - poddała się Sophia.

Larkin zdziwiła się, gdy po chwili poczuła w swojej dłoni małą, ciepłą rączkę.

- Jesteś ładniejsza niż wujek Christopher - powiedziała dziewczynka i uśmiechnęła się do niej rozbrajająco.

- To prawda - potwierdził Christopher i wziął małą z drugiej strony za rękę, a ta natychmiast zaczęła podskakiwać z nogi na nogę.

Larkin jednak postanowiła nie reagować na komplement dziewczynki.

- I co - ciągnął dalej Christopher - dobrze bawiliście się wczoraj w porcie?
- Owszem, świetnie.

- Miło to słyszeć, bo my nie mieliśmy tyle szczęścia. Zdecydowaliśmy się na lot do White Horse i powrót koleją. Pociąg zepsuł się gdzieś w głuszy. Dokoła nic, tylko pustka. Siedzieliśmy tam uwięzieni chyba ze trzy godziny. Niewiele brakowało, a nie zdążylibyśmy na czas do portu. Byli już gotowi odpłynąć bez nas.

- Dobrze, że udało się wam wrócić, inaczej przegapilibyście najlepszą część całej wyprawy.

- Tym większa nasza radość - powiedział uwodzicielskim tonem.

Odwróciła się w stronę lodowców, w końcu po to tu przyjechała, żeby je podziwiać. Irytowało ją, że znowu tak szybko zapomniała o swojej złości na tego faceta.

Mimo że był sierpień, ich oddechy na zimnym powietrzu natychmiast zamieniały się w parę. Niemal wszyscy pasażerowie statku wylegli na pokład, żeby podziwiać ten niezwykły spektakl. Z wnętrza otaczających ich lodowych gór wydobywały się niepokojące trzaski, które przypominały im, że to coś jak żywy organizm, który jest w ciągłym ruchu i miażdży wszystko, co spotyka na swojej drodze. Sophia przycisnęła się do balustrady z wypiekami na twarzy. Zresztą na wszystkich twarzach malowała się fascynacja.

- Ciasno tu - powiedziała Larkin, spoglądając na Christophera. - Masz jakiś pomysł?

- Chodźmy na rufę, tam jest luźniej.

Na rufie mogli stanąć przy samej balustradzie i bez przeszkód chłonąć oczami niecodzienny widok. Nie znajdowała słów, żeby go opisać. Piękny, niewiarygodny, zachwycający, zapierający dech w piersiach. Wszystkie te określenia zostały już użyte w stosunku do znacznie mniej spektakularnych, choć również wspaniałych krajobrazów. Strome skały sterczały nad gładką, lśniącą taflą wody, a nad nimi górowały gigantycznych rozmiarów lodowe wierzchołki. Ściany lodu przypominały abstrakcyjne rzeźby genialnego artysty. Porozrywane były i poszarpane i sterczały z nich jakby kolumny, a raczej kły ogromnego drapieżnika. Biały kolor, wpadający chwilami w modry, wewnątrz szczelin przechodził w lśniący niebieski. U podnóża lodowca widoczna była kręta, szara linia, przypominająca, że przed laty lodowiec pochłonął w tym miejscu ziemię, zamieniając ją w grubą warstwę lodu.

Rozległ się głuchy trzask, a zaraz po nim cała seria drobniejszych, lecz równie wyraźnie słyszalnych odgłosów. Potem zapanowała cisza, aż nagle olbrzymia ściana lodu odpadła od góry i z hukiem zaczęła się osuwać do wody. Woda niczym



gigantyczna fontanna rozprysła się na boki, zawirowała, po czym znowu nastąpiła cisza, którą zakłócały jedynie krzyki przerażonych mew i szmery ludzkich głosów.

- Gdyby ludzie częściej mieli możliwość podziwiania takich spektakli, może mniej byłoby przemocy i nienawiści i pełnych gwałtu gier komputerowych dla dzieci - powiedziała Larkin i głęboko westchnęła.

- Niekoniecznie, raczej wykorzystano by te niecodzienne warunki do bardziej spektakularnej strzelaniny.

- Cynik - skwitowała Larkin.

- Realista - odparł Christopher.

- Więc może chociaż staraliby się zmniejszyć emisję gazów do atmosfery...

- Żeby jej nie zwiększać, musieliby tu chyba przy płynąć kajakiem, ale zgadzam się, że to niezwykle widowisko.

- Wyobraź sobie, że kapitan i załoga tego statku mogą podziwiać te widoki prawie każdego dnia.

- Sądzę, że im to dawno spowszedniało.

- Cynik.

- Realista.

- Moim zdaniem są widoki, które nie mogą się znudzić.

- W pełni się z tobą zgadzam - powiedział, nie odrywając od niej oczu.

- Ale wcale nie patrzysz na lodowce...

- Bo to za tobą tęskniłem wczoraj...

- To kara za to, że wybrałaś stary, niesprawny pociąg. - Larkin poczuła falę ciepła.

- Wiem i słono za to zapłaciłem. Zjedz dziś ze mną kolację. - Stał tak blisko, że ich ciała niemal się stykały. Nie mogła oderwać oczu od jego ust. Koniuszkiem języka zwilżyła wargi.

- Dziś nie mogę, bo są urodziny Cartera i jesteśmy umówieni.

- Na cały wieczór? - zapytał, odgarniając jej kosmyk włosów za ucho, po czym zatrzymał na chwilę dłoń na policzku Larkin, całkowicie rujnując jej wszystkie postanowienia.

- Co robisz? - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

- Chciałbym cię pocałować, wciąż o tym myślę - szepnął i przeciągnął kciukiem wzdłuż jej podbródka i szyi.

Larkin poczuła na całym ciele falę znajomego już ciepła.

- Może rozchyliš trochę płaszcz - dodał po chwili, szepcząc wprost do jej ucha.

- Przecież tu są ludzie... - Poczwała, jak miękną jej nogi.

- Wszyscy patrzą na lodowiec.

Miał gorący oddech.

- Pocałuj mnie - poprosił - masz cudowne usta.

- Nie możemy...

- Możemy... - Pociągnął ją lekko za rękę i po chwili stali w ukryciu.

Oparł ją o ścianę i z rozpaczliwą pożądlivością wpił się w jej wargi.

Oboje drżeli z podniecenia. Czuli w sobie wielki żar, pomimo że otoczeni byli przez góry lodowe.

Christopher wiedział, że to bez sensu, ale nie potrafił się pohamować. Wsunął dłonie w jedwabiste włosy Larkin i całował ją z pasją i zapamiętaniem.

Rozkoszował się jej smakiem i zapachem i pożył jeszcze bardziej niż poprzedniej nocy. Wiedział, że w każdej chwili ktoś może ich nakryć i choć powinno to mieć znaczenie, wszystko było mu obojętne.

Larkin nie była w stanie się bronić. Całowała się już z niejednym facetem, ale żaden z nich nie sprawił, że utraciła do tego stopnia kontrolę. Miała wrażenie, że usta Christophera nie mogły się nią nasycić. To było takie podniecające.

Takie proste wydawało się zaspokojenie tej palącej żądzy, wystarczyło przecież przejść kilka schodów i korytarzy i zapomnieć o całym świecie. Ale byli tu

razem z rodzinami i wiedział, że wbrew pozorom wcale nie było to takie proste. Ta dzika żądza, choć tak dokuczliwa, nie mogła stać się jedynym i najważniejszym celem. Łączyło ich coś więcej niż tylko pragnienie spełnienia, coś, co wzmagало w nim to szalone pożądanie. Nie chodziło tu tylko o te cudowne, ponętne usta czy wspaniałe krągłości jej ciała, tu chodziło o nią, pragnął być częścią jej życia, spędzać z nią czas, a ten nieubłaganie uciekał, przybliżając ich każdego dnia do chwili, gdy przybiją do portu w Vancouver i się pożegnają. Zrobił krok do tyłu, mimo że każda komórka jego ciała błagała, by posunął się dalej. Patrzył, jak Larkin otwiera oczy i jak ulatnia się gdzieś namiętność, zastąpiona zdrowym rozsądkiem.

- Powinniśmy... - zaczęła Larkin, z trudem łapiąc powietrze.

- Iść i obejrzeć lodowce - dokończył za nią.

Zapiął jej płaszcz i wrócili na pokład, gdzie ocuciło ich rześkie powietrze.

- Znowu płyniemy...

- To oznacza, że zaraz pojawi się kolejny lodowiec - wyjaśnił - choć znacznie bardziej wolałbym patrzeć w twoje oczy.

- Muszę spędzić dziś dzień z Carterem, oczywiście jeśli będzie tego chciał.

- Jasne, rozumiem. A jakie macie plany?

- Przyjęcie u samego kapitana.

- My także.

- Możemy się więc spotkać przed przyjęciem, bo znając Cartera, będzie chciał spędzić trochę czasu z twoją ciotką.

- W takim razie będzie musiał znieść również nas, bo mamy już pewne plany...

- No to nie mamy szczęścia.

- Niekoniecznie, jesteś również zaproszona. - Christopher uśmiechnął się szeroko. - Zaufaj mi, spodoba ci się.

## Rozdział 6

- Bingo? - Larkin stała wpatrzona w elektroniczną tablicę informacyjną.

- Nie mów, że nigdy nie grałaś.

- Może w przedszkolu, nie pamiętam.

- No chodź, odrobina szaleństwa w życiu nikomu nie zaszkodzi.

- Nie jestem pewna, szczerze mówiąc, czy te dwa słowa bingo i szaleństwo mają ze sobą coś wspólnego.

- Jasne że tak, wszystko zależy od tego, jak grasz. Powiedzmy, że jeśli będę miał więcej trafionych niż ty, będziesz musiała postawić mi drinka.

- Przecież postawiłam ci drinka po wyprawie do Juneau.

- To co innego, to było za to, że uratowałam ci ty... - Christopher spojrzał na Keegana i Kelseya. - Życie - dokończył. - Ale dobra, więc inna propozycja: do końca podróży nie będzie ci wolno spojrzeć na twojego Black Berry.

- Na mojego Black Berry? Ale dlaczego nie mogę tego zrobić, odbieram w nim przecież służbowe maile.

- A czy to kwestia życia i śmierci? Jesteś chirurgiem?

- Nie, ale...

- To tylko dziś i jutro, dobrze ci to zrobi.

Black Berry jakby wyczuł, że o nim mowa i niskim dźwiękiem zasygnalizował wyczerpanie baterii.

- To bateria, prawda?

Larkin kiwnęła w odpowiedzi głową, a on zrobił usatysfakcjonowaną minę.

- Okey, więc robimy tak: jeśli wygram, pozwolisz mu się rozładować i oddasz mi ładowarkę.

- Co takiego? - jęknęła Larkin.

- Przecież ci ją zwrócę, gdy wyjdziemy na ląd.

- Świetnie, w takim razie jeśli ja wygram, ty zabierzesz Sopię i jej braci na długi spacer po pokładzie.

- Nie żartuj, Sopię?

- I jej braci - powtórzyła z uśmiechem.

- Niech będzie.

- Mam jakieś dziwne przeczucie, że będziesz kantował.

- Ja, kantował? Chyba żartujesz!

- Po prostu się boisz, bo wiesz, że wygram.

- Jeszcze zobaczymy. A zatem umowa stoi.

Sala teatralna, w której toczyła się gra w bingo, wyglądała jak egipska świątynia urządzona przez Tiffany'ego. Ściany wykładane były kolorowymi płytami z metalu łączone czarną linią. Sala była wypchana niemal po brzegi. Rodzina Trausków zajęła wolne miejsca i Hadley rozdała wszystkim plansze do gry.

- Kto wygra, stawia dziś kolację - powiedziała.

- Ależ kochanie, jesteśmy na rejsie i kolacja jest w cenie - przypomniał jej Gabe.

- W takim razie sprawa jest jeszcze prostsza - rzuciła z przekorą. - Nagrodą są zabiegi w SPA.

- Zabiegi w SPA? - powtórzyła Lainie zachwycona.

- Spokojnie - powiedziała Hadley - to ja zamierzam dziś wygrać.

- Ach tak? No to najpierw będziesz musiała zmierzyć się ze mną.

- Co ty na to? - powiedziała Lainie do J. J., na co on uśmiechnął się szeroko.

- Jeżeli tylko wolno mi będzie się temu przyglądać...

- Ja się przyłączam - odezwał się Gabe - jeśli użycie olejku do masażu.

- Zachowujcie się - skarciła ich Molly.

- Nic takiego nie zrobiłem - bronił się Gabe.

- Uspokójcie się - uciszyła ich Celie - zaczyna się.

- Pierwszy numer to B 12 - powiedział prowadzący.

- Jaka figura? - Christopher trącił lekko J.J.
- Litera „V”.
- Dzięki. Mam! - ucieszył się i zaznaczył numer na planszy, a potem zerknął

Larkin przez ramię.

- Niestety - pokręciła głową.
- Tak mi przykro.
- Jasne...
- N 45 - rozległ się głos.

Christopher zaznaczył kolejne pole.

- O 63!

Znowu zerknął na planszę Larkin.

- I jak?
- Nie twoja sprawa - syknęła, zasłaniając planszę.
- N 50.
- N 50 - powtórzył Christopher śpiewnie i zaznaczył kolejne pole.
- B 6 - ogłosił prowadzący.
- Nie sądziłam, że taki z ciebie gracz - powiedziała Larkin i raz jeszcze

spojrzała na planszę, czy na pewno nie ma tego pola.

- Chodzę co roku z Sophie do szkoły na rozgrywki.
- G 38.
- Wreszcie - powiedziała Larkin, uderzając dłonią w planszę.
- Gratuluję, nic się nie martw, masz ode mnie raptem trzy punkty mniej.
- I 24.
- Bingo! - krzyknął ktoś z tyłu sali.
- Spójrz - powiedział Christopher i zaznaczył I 24 - chyba wygrałem?
- Na pewno oszukiwałeś.
- Niby jak?
- Skąd mam wiedzieć?

- Spójrz prawdzie w oczy, Larkin, po prostu przegrałaś.
- Zaczynamy drugą grę - odezwał się prowadzący. - Plansza niebieska, litera „X”.

Larkin przesiadywała w najmodniejszych klubach na trzech różnych kontynentach. Znała pasy startowe Paryża, Mediolanu i Nowego Jorku, ale siedząc w tej komfortowej sali na statku i grając w bingo z tą dużą grupą ludzi, naprawdę dobrze się czuła. I to ją zdziwiło i zaniepokoiło nie na żarty. Może dzięki potyczkom słownym Trasków, może dzięki zabawnemu prowadzącemu, a może dzięki temu, że siedział obok niej Christopher. Uśmiech nie zniknął jej z twarzy, mimo że wcale nie szło jej dobrze. Sama gra nie miała znaczenia, ponieważ...

- Bingo! - Molly Trask zerwała się na równe nogi, wymachując entuzjastycznie swoją planszą.
  - Co zrobisz ze swoją wygraną? - zapytał Carter.
- Molly i Carter siedzieli pod arkadami i patrzyli, jak dzieci grają w ping-ponga.
- Masz na myśli te sto trzydzieści siedem dolarów? - Molly spojrzała na niego rozbawiona. - Część dam wnukom, a resztę pewnie zwyczajnie przepuszczę.
  - Nie zaoszczędzisz na kolejny rejs, by spędzić dzień w Vancouver?
  - Nie sądzę. Było naprawdę miło, ale muszę wracać. Już tęsknię za domem i sklepem... Chyba nie jestem stworzona do eleganckiego życia.
  - Chciałbym lubić swoje życie jak ty - powiedział Carter.
  - I to mówi mężczyzna, który odniósł tak wiele sukcesów? Aż trudno w to uwierzyć.
- Piłeczka ping-pongowa spadła ze stołu i poturlała się im pod nogi.
- Co masz na myśli? Dopisywanie kolejnych zer do stanu konta czy zadowolenie z życia? Po jakimś czasie sukces już nie cieszy, staje się rutyną.
  - Wszystko, co powtarzamy wiele razy, staje się rutyną - powiedziała Molly.

- Tak myślisz? Nie sędzę, żeby dotyczyło to ciebie. Nie robisz rzeczy tylko po to, żeby je robić.

- Tak i nie. Może nie robię tego, co robię, rutynowo, to znaczy tylko po to, żeby się czymś zająć, jeśli ci o to chodzi. Dla mnie ważne są czynności dnia codziennego: gotowanie obiadu, praca w ogrodzie, rozwieszanie prania. To jest jak... sama nie wiem... może mój własny sposób na modlitwę.

- Na modlitwę? - zdziwił się.

- Co w tym złego?

- I uważasz, że w twoim życiu nie ma nic szczególnego?

- No cóż, żyję jak wielu innych ludzi.

- Tym większe moje szczęście - powiedział Carter - że jesteś tu akurat ze mną.

- Właśnie tak wyobrażałam sobie zawsze prawdziwe, uroczyste przyjęcie. -

Lainie zanurzyła truskawkę w czekoladowym fondue w oczekiwaniu na rozpoczęcie przyjęcia u kapitana.

Spora grupka osób kręciła się po przestronnej, przeszklonej poczekalni. Panował tu nastrój jak w wiktoriańskiej bibliotece czy może raczej w angielskim klubie dżentelmenów. Lśniący mahoń i podświetlane regały z książkami i czasopismami oraz wygodne skórzane fotele.

- To jest przepyszne - westchnęła Lainie, wsuwając kolejną truskawkę do ust.

- Może tylko jeszcze pyszniejsze by były maczane w czekoladzie z orzechami.

Celie odchrząknęła.

- Jesteś nienormalna.

- A może zapomniałaś nam powiedzieć, że jesteś w ciąży? - zapytał

Christopher. - Czy ona zawsze była taka ekscentryczna?

J.J. pociągnął łyk piwa.

- No cóż, życie z Lainie jest podróżą pełną nieustających niespodzianek.

- Skarbie, od samego początku wiesz, jak jest, i kochasz to we mnie, prawda?



- Masz absolutną rację. - J.J. pochylił się, by ją pocałować.

- Czy można zrobić kilka zdjęć? - zapytała energiczna, rudowłosa piękność, pełniąca rolę fotografa na statku.

- Świetnie - zawołała Lainie, obejmując Hadley i Larkin - babska foto!

- A my? - Celie podbiegła, pociągając za sobą Molly. - My też chcemy na niej być.

Rozbłysnął flesz, po czym pani fotograf rozejrzała się dokoła.

- Proszę kolejne osoby. - Uśmiechnęła się czarująco, pstrykając wszystkich po kolei w najróżniejszych pozach.

- Jeszcze my - upomniał się Christopher, przytulając Larkin.

- Oj, przepraszam, proszę o uśmiech. Jeszcze ktoś?

- Może my. - Carter przysunął się do Larkin.

Oboje uśmiechnęli się do obiektywu i wtedy Hadley pstryknęła palcami.

- Już wiem, skąd cię znam! Cały czas się głowiłam, gdzie cię widziałam i wiem! Jesteś modelką, prawda? Widziałam kiedyś twoje zdjęcia w czasopiśmie.

- Jesteś modelką? - zdziwił się Christopher.

- Nie do końca, ale czasami się tym zajmuję. - Nigdy nie wiedziała, co powinna odpowiadać w takiej sytuacji. Zawsze się czuła jak oszustka. To nie była przecież prawdziwa praca w charakterze modelki, tylko raczej przypadek, coś, co się nawinęło, ponieważ była, kim była i znała, kogo znała. Jak wszystko, co wydarzyło się w jej życiu, to także nie było czymś, co sama sobie wypracowała.

- A więc nie jesteś...

- Nie jestem.

Takie przyjęcie po wieloletniej pracy w lobbingu nie było dla Christophera niczym nowym. Wystarczyło obserwować mowę ciała uczestników oraz potrenować podrasowane uśmiechy i potakiwanie w odpowiednich momentach. To był klucz do kariery, dzięki któremu niejednokrotnie udało mu się przekonać do siebie któregoś z kongresmanów w czasie rozmowy z nim. Teraz włączając się do konwersacji,

poczuł, jak uruchamia mu się ten autopilot sprzed lat, choć tylko połowicznie, bo cały był jednocześnie myślami przy Larkin. A więc jest modelką, jak jego była żona...

„Wyszłam za męża dla słodczy sukcesu, a nie dla smrodliwego stada kóz”. Słowa te do dziś rozbrzmiewały mu w głowie. Nicole miała obsesję na punkcie trzech rzeczy: imprez, swojego Black Berry i pieniędzy. O Larkin wiedział dotąd tyle, że pochodziła z Los Angeles, chętnie włączyła się po imprezach i co pięć minut zaglądała do swojego Black Berry'ego, dokładnie tak jak Nicole. Jak mógł dotąd tego nie zauważyć? To fakt, że coś między nimi zaiskrzyło, ale on oszukiwał się przez cały czas, że Larkin jest inna. Przemierzył trzy tysiące mil, żeby spotkać kobietę, o której nie mógł przestać myśleć, a która do złudzenia przypominała kobietę, z którą się dopiero co rozwiódł. Lub może raczej, która się z nim rozwiodła. Trudno było nie nazwać tego złośliwością losu.

- Wszystko w porządku? - Larkin spojrzała na niego pytająco.
- Oczywiście - kiwnął głową, zerkając kątem oka na jej usta, których smak tak dobrze wciąż jeszcze pamiętał.
- Muszę iść się przebrać na kolację - powiedziała.
- W takim razie do zobaczenia później.
- Nie zapomniałeś o czymś? - zapytała. - O ładowarce... Proszę bardzo i gratuluję wygranego zakładu.

Christopher spojrzał na nią uważnie.

- I jesteś pewna, że dasz radę? To w końcu dwa dni... Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czym się zajmujesz. Nie chciałbym sprawić ci tym kłopotu.
- Carter nauczył mnie, że nie należy się zakładać o coś, na utratę czego nie można sobie pozwolić.
- W takim razie poproszę o ładowarkę.

Christopher właśnie skończył się golić, gdy usłyszał pukanie. Starł ręcznikiem resztę pianki i ruszył do drzwi, żeby otworzyć. Nie zdążył nic na siebie wrzucić.

- Przepraszam - powiedział Jacob - nie chciałem przeszkadzać.

- Nie ma problemu, wchodź.

Wysoki, barczysty mężczyzna zapełnił niemal cały przedpokój. Był już wyszykowany na kolację. Choć silił się, by wyglądać bardzo stylowo, już na pierwszy rzut oka widać było, że czuł się w tym stroju nieswojo.

- Siadaj, proszę - powiedział Christopher i wyciągnął z szafy jasnoniebieską koszulę. - Co tam słychać?

Jacob opadł ciężko na sofę i przez chwilę oglądał swoje dłonie.

- W sumie nic, Celie mówi, że zwariowałem.

- To chyba żadna nowina. - Christopher uśmiechnął się pod nosem.

- Powiedz, wiesz coś o tym Hayesie?

- Masz na myśli Cartera?

Jacob kiwnął głową.

- Cały czas kręci się koło nas.

Christopher omal nie wybuchnął śmiechem. Facet był miliarderem, a Jacob mówił o nim, jakby był jakimś naprzykrzającym się komarem.

- Twoja mama wydaje się być nim nieźle oczarowana.

- W tym tkwi problem, pojawił się tu i zawrócił jej w głowie.

Naprawdę trudno było się nie rozeźmiać. Słowa wypowiedziane przez Jacoba brzmiały absurdalnie, jako że nie sposób było wyobrazić sobie Molly, zwykle tak twardo stąpającą po ziemi, oczarowaną niczym nastolatka. Ale coś w tym było, bo przez ostatnie dni miała ten charakterystyczny błysk w oku, którego nie widział już u niej od lat. Był zbyt skupiony na Larkin, żeby to sobie do końca uświadomić.

- Odkąd ojciec zmarł, mama nie interesowała się mężczyznami, a teraz zjawił się nagle ten cwany Casanova i namieszał jej w głowie. Nic o nim przecież nie wiemy.

- Ten cwany Casanova jest wart grube miliony albo przynajmniej był, kiedy jeszcze siedziałem w Waszyngtonie i śledziłem te sprawy.

Jacob poprawił marynarke.

- A teraz pewnie jest wart jeszcze więcej.

- Wiesz o nim coś jeszcze?

- Nic mi nie wiadomo o żadnym większym skandalu. - Postawił kołnierzyk koszuli i nałożył krawat. - Pamiętam jak przez mgłę o jakichś rozwodach, ale nie znam szczegółów.

- No właśnie, to mam na myśli, oni nie pasują do nas, to jest inny świat.

- To co, masz zamiar mu przyłożyć i powiedzieć, że ma się trzymać z dala od twojej mamy?

- Bardzo śmieszne.

- Jacob, jesteśmy na rejsie, jutro wchodzimy do portu w Vancouver.

Rozjedziemy się do domów i tyle.

„To inny świat”, powtórzył w myślach Christopher. Byłem skończonym idiotą. To przecież tylko krótki rejs, a nie zobowiązanie na całe życie, więc jakie znaczenie ma fakt, że Larkin ma ten sam zawód co jego była żona. Należy ją sobie potem wybić z głowy i to wszystko. Ale zapomnieć wcale nie będzie łatwo, tego był pewien.

- Nie sądzisz, że to nie twoja sprawa? - zaczął po chwili milczenia.

- Pomyślałem, że może potraktujesz moje słowa poważnie - powiedział Jacob i wstał.

- Traktuję to poważnie i rozumiem, że się martwisz. Jeśli chcesz, żebym z nią porozmawiał, zrobię to.

Jacobowi wyraźnie ulżyło.

- Ja bym to na pewno schrzanił.

- Mnie też to się może przydarzyć.

- Po prostu nie chcę patrzeć na to, jak ona robi sobie nadzieję. A potem facet zniknie, a ona będzie cierpieć.

Wszyscy możemy się jedynie rozejść, pomyślał Christopher, a jeśli tego nie zrobimy, wcale nie znaczy, że będziemy w lepszym położeniu. I w tym sęk

## *Rozdział 7*

Carter zawsze wstawał wcześniej. W domu nie było z tym problemu, zamawiał śniadanie, gazetę, włączał komputer i siadał do pracy. Ale tu na statku nie wiedział, co ze sobą zrobić. Miał wprawdzie laptopa i Black Berry, ale nie chciał ich włączać od rana, co wydało mu się niezwykle, niewytłumaczalne i lekko niepokojące. Dlatego też o wschodzie słońca postanowił wyjść na najwyżej położony pokład. Być może spacer w chłodnym porannym powietrzu nie rozwieje niepokoju, który nim zawładnął, ale przynajmniej dotleni sobie umysł i serce.

Gdy wszedł na górę, ujrzał znajomą postać stojącą przy balustradzie.

- Molly? - podszedł bliżej i uśmiechnął się.

Drgnęła lekko, ale nie odwróciła się od razu. Dopiero po chwili spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. Zauważył, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje?

- Nic - odparła szybko.

- Jak to nic? Powiedz, Molly, proszę, stało się coś? Spróbuję ci pomóc, jak tylko będę mógł.

- Och, Carter, nie możesz nic zrobić...

- Będę wiedział, jak powiesz, co się dzieje.

Molly odwróciła się, by raz jeszcze popatrzeć na horyzont, gdzie słońce wynurza się zza gór.

- Jest dopiero czwarta trzydzieści, czy to nie niezwykle, że wstaje już słońce?

- Molly, proszę...

- Mam chwilę słabości, dziś przypada pewna rocznica... - powiedziała i mocniej zacisnęła palce na balustradzie. - Dziesięć lat temu straciłam męża.

Carter milczał. Nie wiedział, co można powiedzieć w takiej chwili. Wszystko wydawało mu się zbyt banalne. Pozwolił więc, by kołysała ich otaczająca cisza. Potem lekko uściskał jej dłoń.

- Tak mi przykro - wydusił w końcu. - Ze wszystkich ludzi, których dotąd poznałem, ty najbardziej zasługujesz na szczęście.

- Jestem szczęśliwa, tylko chodzi o to, że czasami... - przełknęła łzy - tęsknię za nim.

- Wiem - powiedział cicho Carter - dobrze to rozumiem, bo minęło piętnaście lat, odkąd zginęła matka Larkin, a wciąż jeszcze czasem mam wrażenie, że wystarczy wejść do pokoju obok, żeby z nią porozmawiać.

- To dziwne, jak nagle to powraca - szepnęła Molly. - Czasem mija wiele miesięcy i myślisz, że masz to już za sobą, a potem nagle masz wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj. - Wytarła chusteczką oczy. - Wybacz, że mnie taką widzisz, ale musiałam to z siebie wyrzucić. Chłopcy zabrali mnie na ten rejs, żeby odwrócić moją uwagę od tej rocznicy. Nie chciałabym, żeby mieli poczucie klęski.

Carter uśmiechnął się. To była cała Molly, zawsze się troszczyła o innych.

- Potrafię dochować tajemnicy.

Jakby się umówili, oboje jednocześnie odsunęli się od balustrady i ruszyli przed siebie. Wyglądała uroczo w promieniach wschodzącego słońca.

- Dlaczego nie wyszłaś ponownie za męża? - zapytał. - Kobieta taka jak ty...

- Miałam dzieci, farmę, nie było czasu o tym myśleć.

- Ale czy to ci wystarcza?

- Jestem zadowolona, kocham swoją rodzinę.

- To nie jest odpowiedź.

- Nie jestem pewna, czy mam odpowiedź na to pytanie. Często tęsknię za mężem, czasem nawet rozmawiam z nim. - Uśmiechnęła się niepewnie. - To jedna z

zalet życia w samotności. Możesz rozmawiać z kimś, kogo nie ma, i nikt nie posyła cię z tego powodu do psychiatry.

Carter zatrzymał się przy balustradzie i spojrzał w dół na spienioną wodę.

- Ja też czasem rozmawiałem z Beth, szczególnie o Larkin. Nigdy nie zapomnę, jak obudziłem się spanikowany następnego dnia po jej odejściu, z myślą, że mam śliczną małą córeczkę i żadnego pomysłu na to, jak ją wychować bez jej pomocy.

- Ale udało ci się to doskonale - Molly uśmiechnęła się.

- Dzięki tobie zmieniła się z dziewczynki w uroczą młodą kobietę.

- Raczej pomimo mnie - poprawił ją Carter. - Zachowałem się jak dupek. Nie dawałem sobie rady, kiedy byłem sam. Chciałem odzyskać poczucie stabilności i ożeniłem się z pierwszą kobietą, w której towarzystwie czułem się dobrze. Ależ byłem durniem... Chciałem matki dla Larkin, chciałem żony... i myślałem, że to da się zrobić. Ale to okazało się znacznie trudniejsze... - Wbił wzrok w wodę. - To, co było między mną i Beth było czymś wyjątkowym, wiedzieliśmy o tym od pierwszej chwili, byliśmy...

- Wiem, wiem - przerwała mu Molly.

- Nie byłem tak mądry jak ty, nie rozumiałem wtedy, jakie to wyjątkowe.

Spotkałem kolejną kobietę, posmakowałem namiastki tamtego uczucia i pomyślałem, że to może to, że znowu to znalazłem. Ale to nie było to, próbowałem raz po raz, wciąż od nowa, a za każdym razem wciągałem w to Larkin.

- Nie obwiniaj siebie, nie możesz cofnąć czasu. Wierzę, że chciałeś dobrze.

- Nie wiem, co ja sobie właściwie myślałem.

- Chyba coś musiałeś zrobić dobrze, bo masz wspaniałą córkę, z której możesz być dumny.

- Obawiam się, że nie ma w tym mojej zasługi. Zawsze szła swoją drogą.

- A czy dzieci nie postępują tak zawsze?

- Nie mogę uwierzyć, że zapomnieliśmy kupić prezent dla Raudy - powiedziała Lainie do Christophera, gdy weszli do butik na terenie galerii na statku. Dobrze, że mamy coś dla mamy, taty i Daniela.

- O najmłodszym zawsze się zapomina.

- A co sądzisz o tym bębenku?

- Wydaje mi się, że raczej coś takiego. - Podniosła do góry totem z wytrzeszczonymi oczami i zieloną maską. - Trochę do niego podobna.

- Chyba tak - roześmiał się Christopher. - To chyba powoli kończymy zakupy - dodał zniecierpliwiony.

- Ale przecież weszliśmy dopiero do jednego sklepu. Nie wiedziałam, że ty też jesteś takim mięczakiem, jeśli chodzi o zakupy.

- Może nie mięczakiem, ale ten czas można przeznaczyć na coś znacznie ciekawszego.

- Tak, tak, na przykład na oglądanie meczu. Sport, sport i jeszcze raz sport! Może o czymś zapomniałam?

- Myślę, że dobrze się orientujesz, masz przecież trzech braci.

- Aż dziwne, że nie jestem bardziej naznaczona przez to trudne doświadczenie. Ale czekaj, musimy odebrać zdjęcie, które wczoraj zrobiliśmy dla rodziców.

Gdy weszli do fotografa, otoczyła ich przytłaczająca liczba wyszczerzonych w uśmiechu twarzy. Wszystko, ściany, regały, półki oblepione były niekończącymi się rzędami zdjęć. Zdjęcia pasażerów na karaoke, przy kolacji, gotujących w Kulinarnym Centrum Sztuki Gotowania i pasażerów pozujących z wypchanymi pingwinami.

Nieźle sobie radzą, żeby skutecznie wydoić swoich klientów, pomyślał Christopher.

Lainie przyglądała się datom widniejącym na poszczególnych fotografiach.

- No proszę - ucieszyła się - przyjęcie u kapitana! Jesteśmy na tym zdjęciu wszyscy!



- Rzeczywiście, wszyscy. - Obecność Larkin i jej ojca na zdjęciu wydawała się być całkiem naturalna. Gdy przeglądali fotografie, Christopher zatrzymał się dłużej przy tej, na której byli razem z Larkin. Patrzyli na siebie, a nie, jak inni, w obiektyw. Na jej ustach widniał promienny uśmiech, a jej oczy figlarnie lśniły. Przez chwilę znowu miał poczucie, że to jest to, kobieta, której szukał.

- Lubisz ją, co? - Nawet nie zauważył, że Lainie stała koło niego.

- Tak - pokiwał głową.

- To miło, bo już się bałam, że hormony zawiodły cię na dobre.

- Po prostu trochę mi wysiadła bateria, ale wspólne spędzanie czasu przez osiemnaście godzin dziennie na tym statku potrafi czynić takie cuda.

- Naprawdę się cieszę, że mogłeś wziąć urlop i przyjechać i że mogłam spędzić z tobą trochę czasu. Szkoda, że Nick i Sio nie dali rady.

- Tak, szkoda.

- I co, będzie coś z ciebie i Larkin? - zapytała, gdy zapłacili za zdjęcia i wyszli z galerii.

- Ale jesteś bezpośrednia...

Lainie uśmiechnęła się szeroko.

- I bardzo z tego dumna. A więc? Jak brzmi twoja odpowiedź?

- A czego się spodziewasz? Mamy już tylko dzisiejszy wieczór, jutro dopływamy do Vancouver.

- Faktycznie, w dobie telefonów, komputerów i komórek to rzeczywiście problem.

- Nie poddajesz się, co? - spoważniał nagle.

- Może bym się poddała, gdybyś odpowiedział na moje pytanie.

Wzruszył ramionami.

- To nie ta liga, Lainie, ona pozuje dla czasopism i prawdopodobnie mieszka w Beverly Hills. A ja jestem niemal doszczętnie splukanym farmerem i mieszkam

na zadupiu świata. Czy chcesz mnie może oświecić, jak to ma wypalić? I to lepiej niż poprzednio?

- A skąd wiesz, że nie pragnie innego życia?

Christopher potrząsnął głową.

- Fiasko z Nicole było dla mnie dostateczną nauką, by nie popełnić raz jeszcze tego samego błędu.

Lainie westchnęła ciężko.

- Chris, one nawet w przybliżeniu nie są podobne. Nicole niemal każde zdanie zaczynała od „ja”, a Larkin taka nie jest. A co ona teraz robi?

- Gra z ojcem w golfa i to, gwarantuję ci, nie dla własnej rozrywki. Co byś chciała usłyszeć? Że będziemy żyć długo i szczęśliwie? Daj spokój, Lainie. Dziś wieczorem będziemy się jeszcze raz dobrze bawić, a potem... koniec tej historii.

Lainie przez chwilę przyglądała się ich zdjęciu, a potem oddała je Christopherowi.

- Wszystko, co mam do powiedzenia, to: spójrz na zdjęcie, stary. Jak dla mnie, to nie wygląda na koniec historii. Raczej na jej początek.

- Fore! - krzyknęła Larkin.

Stali na skrawku murawy, serwując piłki w kierunku wody.

- Chcesz wystraszyć łososie? - roześmiał się Carter.

- Jedyną osobą, z którą gram w golfa, jesteś ty.

- Ale wcale nie musi tak być, gdybyś chciała, mogłabyś być naprawdę niezłą zawodniczką.

- Jeżeli kiedyś zdecyduję, że zostanę lekarką, przypomnę sobie o tym. -

Kolejna piłeczka wpadła z pluskiem do wody.

- A planujesz może wrócić na studia i je skończyć? - zainteresował się Carter, wyciągając się na murawie.

- Nie, jeśli nie zmusi mnie do tego życie. Nie widzę w tym sensu.

- Nie widzisz sensu zrobienia kariery i pieniędzy?
- Nie zapominaj, że jestem modelką.
- Ale to nie jest prawdziwa praca...
- Powiedz to Giselle Blumchen.
- Chodzi mi o ciebie, stać cię na więcej niż chodzenie na imprezy i atrakcyjny wygląd.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale z tego, co pamiętam, po ostatniej takiej konwersacji przestaliśmy się do siebie odzywać przez pięć lat. Jesteś pewien, że chcesz kontynuować tę rozmowę?

Carter patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem ku jej zaskoczeniu odrzucił do tyłu głowę i zaczął się głośno śmiać.

- Larkin, jestem z ciebie dumny, szkoda, że nigdy nie zajęłaś się biznesem. Zmiażdżyłabyś wszystkich!

- Nie chodzi mi o to, żeby kogokolwiek miażdżyć - powiedziała nieporuszona.  
- Już dobrze - Carter objął ją ramieniem. - Chodźmy stąd. Może wejdziemy do środka i postawisz staremu ojcu drinka.

Christopher wziął głęboki wdech i zapukał do drzwi Molly. Otworzyła niemal natychmiast.

- Christopher? Wejdz... proszę - powiedziała wyraźnie zdziwiona. - Sądziłam, że to Carter.

- Carter?

- Tak, zaprosił mnie na kolację i ma przyjść po mnie. A ciebie co sprowadza?

- Chciałbym zamienić z tobą słowo.

- Oczywiście, proszę, ale pozwól, że będę się jednocześnie szykować.

Wzięła do ręki szkatułkę z biżuterią.

- Kobieta ma prawo do odrobiny próżności.

- Masz do niego słabość, co?

Molly spojrzała na Christophera spod oka, wkładając kolczyki.

- Lubię być w jego towarzystwie, jeśli o to ci chodzi.

Christopher powoli podszedł do fotela, szukając odpowiednich słów.

- Nie chciałbym być wścibski, ale co wiesz o tym człowieku?

- O Carterze? Tyle, ile mi powiedział, a co? - Molly odłożyła kolczyk.

- Wszyscy się trochę martwimy... - zaczął po chwili wahania. - Spędzasz z nim sporo czasu. My tylko...

- Chris, to tygodniowy rejs, nie spodziewam się, że poznam całą jego biografię. Tak naprawdę niczego się nie spodziewam.

- Wiesz, siedziałem jakiś czas w Waszyngtonie. Do moich obowiązków należało między innymi śledzenie przemysłu finansowego - ciągnął z powagą.

- Znałeś Cartera?

- Wiem, jaką miał reputację. Zdajesz sobie sprawę, że jest rozwodnikiem?

- Tak i to czterokrotnym, dokładnie mówiąc - roześmiała się Molly. - Chris, on ma sześćdziesiąt lat i odpowiednio długą przeszłość, zresztą jak każdy z nas. - Wzrok Molly złagodniał. - Jesteście bardzo kochani, że się o mnie martwicie. Doceniam to, ale szczerze mówiąc, niczego nie oczekuję od Cartera... może z wyjątkiem towarzyszenia mi przy kolacji dziś wieczorem. Należymy do różnych światów. On jest milionerem, a ja się cieszyłam, że wygrałam sto dolarów w bingo. - Poprawiła naszyjnik i wstała. - Przez ten tydzień bawiłam się lepiej niż przez wszystkie ostatnie lata. Przede wszystkim zawdzięczam to wam, ale także w pewnym stopniu i jemu. To naprawdę wspaniałe móc na tydzień całkowicie zmienić swoje życie i przeżyć tak wspaniałą przygodę. Ale wierz mi, jutro będę gotowa, by wrócić do domu.

Christopher odetchnął z ulgą.

- Aż tak bardzo się martwiłeś?

- Nawet nie masz pojęcia...

- Dobrze, że to ty do mnie wpadłeś. Dla Jacoba byłaby to istna tortura.

- Wiem, sam mu to zaproponowałem.

- Więc mu przekaz, że wszystko jest w porządku - powiedziała, ale po chwili obrzuciła go pytającym spojrzeniem. - Ty i Larkin wydajecie się być sobą zainteresowani, mam rację?

Christopher wzruszył ramionami.

- Chyba sama najlepiej odpowiedziałaś na to pytanie. Jest córką milionera, mieszka w LA i jest modelką. Myślę, że to wystarczy.

Molly podeszła do niego i ucałowała go w czoło.

- Zawsze jednak możecie spędzić miło ten wieczór, a prawdę mówiąc, długie lata życia na tej dziwnej planecie nauczyły mnie, że tak naprawdę nigdy nie wiadomo, co nas jeszcze spotka.

Ciche pukanie do drzwi przerwało im rozmowę, a twarz Molly rozjaśniło radosne oczekiwanie. I nagle można było łatwo się domyślić, jak wyglądała, gdy była małą dziewczynką.

- Przepraszam cię, ale chyba zbliża się moja dzisiejsza randka.

Żyrandole, kryształ, światło świec i niekończący się strumień wspaniałych dań. Traskowie zgromadzili się przy wspólnym stole. Obok Molly siedział Carter, a u boku Christophera Larkin. Dziwne wydało się Larkin, że jeszcze tydzień temu wraz z Carterem zazdrośnie spoglądali w ich kierunku. A dziś byli tu gośćmi honorowymi Gabe postukał lekko nożem o szklanę, żeby uciszyć śmiech i rozmowy.

- Poproszę o chwilę ciszy - zaczął - mama chciałaby coś powiedzieć.

Molly wstała z uśmiechem na twarzy.

- Kochani, to olbrzymia przyjemność spędzać tu z wami czas, podziwiać wspaniałą, niezwykłą przyrodę. Wiem, że musieliście wziąć urlop, żeby tu ze mną przyjechać i chcę, abyście wiedzieli, ile to dla mnie znaczy. Ta wspólna wyprawa sprawiła mi ogromną radość, jestem bardzo szczęśliwa, że mam tak wspaniałą rodzinę. - Przeniosła wzrok na Cartera i Larkin, obdarzając ich ciepłym spojrzeniem.

- I że możemy powitać nowych przyjaciół. Naprawdę to wielkie szczęście, że was wszystkich mam. - Uniosła kieliszek.

- I nawzajem - powiedział Gabe.

Przy stole rozległ się brzęk kieliszków.

- Nie ulega wątpliwości - odezwał się niespodziewanie Christopher - że dzisiejszego wieczoru wszystko tu było bardzo smaczne, ale z utęsknieniem czekam na orzechowe ciasteczka ciotki Molly i oferuję się do pomocy, gdybyś nudziła się po powrocie do domu. Wypijmy toast za te ciasteczka!

Wszyscy zgodnie unieśli do góry kieliszki.

- A ja - powiedział Gabe - chciałbym jeszcze podziękować wszystkim naszym nianiom, dzięki którym ten wyjazd był i dla nas odpoczynkiem. Mamo, Chris, Lainie, J.J. piję za wasze zdrowie i polecam się waszej pomocy. Z całego serca się odwdzięczę, gdy tylko będziecie tego potrzebować.

- No to już się cieszę - powiedziała Lainie.

- A co, macie zamiar kupić psa?

- Nie - pokręciła głową i obrzuciła wszystkich tajemniczym spojrzeniem. - Spodziewam się dziecka - dodała po chwili z przejęciem.

- Och, Lainie! - Molly postawiła Keegana na podłodze i objęła ją czule. - Tak się cieszę!

- Wiedziałam! - zawołała Celie. - Te truskawki maczane w czekoladzie dały mi dużo do myślenia!

- Nie uważasz, że tkwi w tym jakiś potencjał kulinarny? - zapytała Lainie.

- Zapytaj mnie jeszcze raz, jak już urodzisz dziecko - roześmiała się Celie.

- Nie dziecko, a dzieci - wyjaśnił J.J.

- Co takiego?

- Lekarz twierdzi, że słyszy tam dwa serduszka i wróży nam bliźniaczki - powiedziała Lainie.

Gabe potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- No to się wkopałeś, stary.
- Przyzwyczajaj się już do braków we śnie - dodał Jacob.
- Nie przesadzajcie, to nie takie straszne - uciszyła ich Celie.
- Przecież nie mówię, że nie warto - usprawiedliwił się Jacob.
- Cóż za wspaniała wiadomość! - Molly ucałowała Lainie i J.J. - Czy rodzice już wiedzą?
- Nie chcieliśmy nic mówić, póki bez zakłóceń nie wejdziemy w trzeci miesiąc
- wyjaśniła Lainie.
- No i się udało?
- Tak. - J.J. uśmiechnął się szeroko. - Każde badanie wychodzi wprost wzorowo.
- Carter przywołał kelnera.
- Dla wszystkich szampana!
- A zatem zdrowie! - Lainie uniosła do góry kieliszek, a J.J. ucałował ją w czubek głowy.
- Deski pokładu połyskiwały w blasku księżyca.
- Molly wraz z Carterem stali na dziobie i spoglądali w dół na spienioną wodę.
- To wystarczy, żeby uwierzyć w magię - odezwała się Molly. - Mam wrażenie, że wystarczy się tylko dokładnie przyjrzeć, żeby zobaczyć wyskakującą z wody syrenę.
- Więc wierzysz w syreny?
- Po tym tygodniu wierzę we wszystko. - Molly westchnęła. - Ta podróż była jak sen i cieszę się, że spędziliśmy ten czas razem.
- To ja dziękuję, twoje słowa dały mi dużo do myślenia.
- Chyba mnie przeceniasz, sam wszystko wiesz, może co najwyżej nigdy sobie tego nie uzmysłowiłeś.
- A więc ty obudziłaś moją świadomość.

- W tym, co robię, nie ma nic nadzwyczajnego, po prostu żyję, jak potrafię najlepiej.

- I nie rozumiesz, dlaczego się zachwykam?

- Sama nie wiem. Jeśli nie podoba ci się to, jak żyjesz, zmień coś, stać cię na wszystko, czego zapragniesz, tylko...

- Tylko?

- Nie odkładaj tego na później, bo nikt nie wie, co go czeka. I jeśli chcesz zmienić swoje życie, zrób to szybko. Tobie także należy się szczęście.

- Jestem szczęśliwy - powiedział zniżonym głosem. Molly zarumieniła się.

- To był wspaniały tydzień, po prostu cudowny.

- Owszem, dla mnie również, przede wszystkim dlatego, że poznałem ciebie.

Molly nieśmiało podniosła wzrok. Przez chwilę stali tak w blasku księżyca, zapominając, ile mają lat. Wyciągnęła do niego dłoń, a wtedy on przyciągnął ją bliżej do siebie i pocałował. O dziób statku rozpryskiwały się fale w świetle księżyca, czyniąc tę chwilę wyjątkowo romantyczną.

- Naprawdę jestem pełna uznania dla twojej rodziny - powiedziała Larkin do Christophera. - Z nimi trudno się nudzić.

- To fakt, ciężko o nudę, kiedy jest nas tak wiele.

Siedzieli w barze koktajlowym na najwyższym pokładzie statku, skąd mieli wspaniały widok na wodę rozświetloną promieniami księżyca. Przed Larkin stała pusta już szklaneczka po martini. Czują, że jej trochę szumi w głowie, ale Christopher wydał jej się dziś znowu taki bliski. Ujął jej dłoń i przysunął do ust.

- Zatańczymy? - spytał prawie szeptem.

- Z przyjemnością.

Weszli na parkiet, obrócił ją do siebie i przyciągnął. Poruszali się w rytm muzyki, ona śmiała się, wykonując szybkie obroty i różne zabawne figury.



- Kto by pomyślał, że wyruszę w taki rejs i wyląduję w objęciach hodowcy bydła - uśmiechnęła się.
- Nie tylko hodowcy, ale także producenta, bo zajmuję się robieniem kozich serów.
- Co takiego? Ser kozi? Chcesz powiedzieć, że hodujesz kozy?
- Tak, mam ich całe setki.
- Niemożliwe, chyba żartujesz! - zachichotała.
- Miło, że mogę cię rozbawić - powiedział, ale wcale nie było mu wesoło.
- Przepraszam, ale w tych czasach pasterz kóz...  
Christopher zdrętwiał.
- No tak, to niepojęte, że pasterz kóz spotkał modelkę na ekskluzywnym rejsie.  
Brzmi jak początek kiepskiego żartu.
- Nie o to chodzi, sądziłam, że jesteś hodowcą bydła, a nie, że pasiesz kozy. -  
Znowu zaczęła się zanosić od śmiechu, aż zaczęły jej łzawić oczy.  
Wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku.
- Poproszę takiego drinka jak ta pani! - zawołał ktoś w rogu sali.  
Za każdym razem, gdy próbowała się uspokoić, wybuchała jeszcze głośniejszym śmiechem.
- Wybacz! - W końcu odzyskała nad sobą kontrolę. - Czasem człowiek dostaje takiej głupawki bez względu na temat rozmowy.
- Rozumiem - mruknął Christopher.
- Nie złość się, naprawdę nie śmiałam się z ciebie.
- Oczywiście, że nie. Nie masz styczności z takim światem, ale to uczciwa praca i wiele dla mnie znaczy. Jest w stanie docenić to ktoś, kto faktycznie musi pracować na swoje utrzymanie.
- W jednej chwili wesołkowatość Larkin ulotniła się.
- Nie musiałeś tego dodawać.
- Pewnie masz rację. Jak tak dalej pójdzie, to zepsujemy.

- Co to takiego? Co to ma znaczyć, Carter?

- To na pamiątkę naszego spotkania. Otwórz i zobacz sama...

- Dziękuję ci - powiedziała, rozwijając zawiniątko. - Ojej - wstrzymała oddech, widząc kryształowego niedźwiadka polarnego, który tak jej się spodobał w Juneau. - Co za niespodzianka. Jak to zrobiłeś? Przecież wróciliśmy na statek na pół godziny przed wypłynięciem z portu?

- Zawsze dobrze biegałem - uśmiechnął się.

- Nie mogę tego przyjąć.

- Oczywiście, że możesz, przecież ci się podobał. Chciałem sprezentować ci coś, co ci będzie przypominało ten rejs i nasze spotkanie. Potraktuj to jak prezent walentynkowy.

Zgodnie z oczekiwaniami, wywołał tymi słowami uśmiech na jej twarzy.

- Jesteś szalony, do walentynek mamy jeszcze pięć miesięcy.

- Uwielbiam, jak tak do mnie mówisz.

Zza rogu wyjechała taksówka. Na skinienie Cartera dokerzy zapakowali do niej bagaże.

- Miło było panią poznać - powiedziała Larkin i uściśnęła Molly.

Pożegnała się już ze wszystkimi Traskami, wystarczyło więc wsiąść do taksówki i odjechać, nie odwracając się za siebie, Trudno jej było oderwać wzrok od Christophera, ale nie było sensu silić się na jakiegokolwiek wyjaśnienia. On zresztą też śledził każdy jej ruch, czuła to. Pomachał jej, kiedy odwróciła się do niego. Tak będzie lepiej, pomyślała, zaciskając zęby.

Wsiadła do taksówki. Ciekawe, co by było, gdyby poszli ze sobą do łóżka? Pewnie teraz wymienialiby uściski i pocałunki, nie mogąc się od siebie oderwać. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Christopher miał rację, należeli do zupełnie innych światów, mieli odmienne oczekiwania i ich romans wszystko by jedynie utrudnił. A gdy zaczną się oddalać od przystani, wszystko zblednie i już wkrótce o sobie zapomną. Wrócą do swoich domów, do swojego trybu życia, a jedynym

wspomnieniem, jakie pozostanie po tym wypadzie, będzie wspólna fotografia. Takie zakończenie jest znacznie lepsze, niż łudzenie się nadzieją i pustymi obietnicami. Koniec i kropka.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie w okno. Podniosła wzrok i zobaczyła twarz Christophera. Przez chwilę patrzyła zdziwiona, po czym szybko opuściła szybę.

- Prawie bym zapomniał, mam dla ciebie mały drobiazg na pożegnanie. - Na jego dłoni leżała ładowarka do Black Berry'ego. Miłego lotu - powiedział i odwrócił się.

- Prosto na lotnisko - powiedziała Larkin do kierowcy.

## **Rozdział 8**

- Przynajmniej oddał ci twoją ładowarkę - rzuciła beznamiętnie Reyna, przykładając do talii czarną spódnicę od Prady i przeglądając się krytycznie w lustrze.

- Ten facet zapukał do okna samochodu i dał mi ją jako prezent na pożegnanie - prychnęła Larkin - i jeszcze życzył mi miłego lotu.

- No cóż, mógłby zatrzymać ładowarkę, a wtedy nie tylko byłabyś wkurzona, ale musiałabyś kupić nową. Sama oceń, co jest ważniejsze: twój Black Berry czy jakiś pajac, którego spotkałaś na rejsie. Chyba nie spodziewałaś się wielkiej miłości?

- Jasne, że nie. - Podeszła do stojaka z dzinsami.

Ostatnia rzecz, o jakiej myślała, to długoterminowy związek z Christopherem Traskiem czy też z kimkolwiek innym, szczerze mówiąc. Chodziło jedynie o to, że tak nagle wszystko się zepsuło. Dobrze się bawili, a on nagle stał się taki drażliwy. Oczywiście, mogła się wtedy nie śmiać, ale on mógł też nie robić uwag na temat samodzielnego utrzymywania się z ciężkiej pracy. Mogli tylko tańczyć i cieszyć się sobą, a potem... o rany, pomyślała niemal z trwogą, uprawiać szalony seks. Mogli

się po prostu dobrze bawić, pomyślała po chwili, gdyby nieoczekiwanie wszystko się nie posypało. Takie małe nieporozumienie i koniec. Ale nie powinna się dziwić, czyż nie z drobiazgów składało się życie? Tak przecież było zawsze z Carterem i jego kolejnymi żonami. Jedno głupie nieporozumienie doprawione jeszcze kłamstewkami zamieniało się w nieustające kłótnie, by ostatecznie zakończyć się zerwaniem związku. Zawsze pozostawały potem tylko cierpienia i tęsknota, i to ją przerażało.

Wkurzył ją, a jednak tęskniła za nim, za rozmową, żartami, a przede wszystkim za tą specyficzną więzią, która się między nimi od samego początku wytworzyła. Złościło ją, że już zawsze będzie myśleć o tym, co by było, gdyby... Musiała zamknąć ten rozdział, było i minęło. Christopher Trask się nie liczył. Był jeszcze jedną twarzą na fotografii, którą miała na zawsze schować do szuflady. Kolejnym wspomnieniem do roztrząsania podczas długich bezsennych nocy, bo tak zwany zdrowy, głęboki sen w ostatnich dniach nie był jej najmocniejszą stroną.

- Razem będzie trzydzieści osiem dolarów i siedemdziesiąt centów - powiedziała Molly do otyłej blondynki po drugiej stronie lady, gdy ta podała jej kartę kredytową. - Proszę tylko jeszcze o podpis.

W sklepie z upominkami, który znajdował się na farmie Trasków, podłogi były zrobione z szerokich klonowych desek, wypolerowanych na wysoki połysk, a okna zdobiły zasłony z kraciastej bawełny. Na półkach stały pamiątkowe kubki i talerze, ale także puzzle, pluszowe zwierzaki obok papierowych ręczników, kremu cytrynowego i żelek. No i oczywiście wszystko z klonu, poczynając od syropu, przez różne słodczyce po klonowe lody i pieprz. Filozofią Molly było: dla każdego coś miłego. Bardzo się zawsze starała o przyjazną atmosferę.

- Nie mogę się doczekać chwili, kiedy sprezentuję siostrze tę rękawicę kuchenną - powiedziała blondynka. - Zbiera wszystko z żabami, na pewno się jej spodoba.

- A skąd pani jest? - zapytała Molly.

- Minnetonka w Minnesocie.

- Słyszałam, że jest tam bardzo pięknie.

- O tak, mój mąż - wskazała na przysadzistego mężczyznę w fioletowej czapce z daszkiem, stojącego przed sklepem - mówi, że nie mógłby mieszkać gdzie indziej, nawet gdybyśmy mieli się dorobić dużych pieniędzy. Ale ja kupiłabym tutaj ziemię i też prowadziłabym taki sklep. Ma pani duże szczęście.

- Też sobie to powtarzam każdego dnia, bardzo pani dziękuję.

- Proszę mi mówić Peggy.

- Miło było cię poznać, Peggy, życzę ci szczęśliwej podróży.

- Szczęście - powtórzyła cicho Molly, rozglądając się po swoim sklepie, gdy blondynka wyszła już na zewnątrz.

Zawsze miała wokół siebie kochającą rodzinę i żyła pełnią życia. Społeczność w Eastmond była ze sobą bardzo zżyta a biorąc pod uwagę, że mieszkała tu już ponad czterdzieści lat, wszyscy wydawali jej się bliscy. Tęsknotę za czymś nowym zaspokajali turyści z dalekich stron i coroczne targi rzemiosła, na które się zawsze wypuszczała. Odkąd sięgała pamięcią, postrzegała się jako osobę szczęśliwą i zadowoloną z życia. Teraz jednak coś się nagle zmieniło. Jestem taka niemądra, pomyślała, pozwoliłam, aby tydzień luksusu zawrócił mi w głowie, te wieczorowe sukienki i wymyślne fryzury, wystawne jedzenie i wesołe pogaduszki przy stole w trakcie pięciodaniowej kolacji, a do tego zaloty atrakcyjnego mężczyzny. Zniecierpliwiona, wzięła się za odkurzanie półek. Wciąż jeszcze czuła się tak, jakby ktoś nagle wyłączył światło dnia. Nie mogła przestać porównywać jednego życia z drugim. Trudno jej też było zapomnieć ten romantyczny pocałunek przy świetle księżyca.

Spójrz tylko na siebie, wymamrotała pod nosem, marudzisz jak jakaś nastolatka. Poirytowana, podniosła do góry słoje z ciasteczkami, żeby zetrzeć z niego kurz, gdy usłyszała dzwonek u drzwi, znak, że ktoś wchodzi do sklepu. Tutaj jest

moje życie, powiedziała sobie z przekonaniem, muszę znowu nauczyć się cenić to, co mam i zapomnieć o blichtrze i przepychu.

- Czy mógłbym pożyczyć trochę cukru?

Molly aż podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła Cartera. Słoik z ciasteczkami wysliznął jej się z rąk, by rozbić się z trzaskiem o podłogę.

- Och! - krzyknęła zaskoczona i przerażona zarazem.

- Tego naprawdę nie chciałem. Wybacz, Molly. - Carter postąpił krok do przodu. - Przepraszam, że cię wystraszyłem. Pozwól, że to posprzątam. - Przykucnął i zaczął zbierać kawałki szkła i ciasteczka. - Oczywiście pokryję koszty tej szkody.

- Ten słoik był już naprawdę stary - odparła Molly, kucając obok niego. - Stał tu już od lat i nie mam pojęcia, dlaczego mi się wydawało, że ktoś go wreszcie kupi.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Carter uśmiechnął się. - To, że coś od wielu lat czeka na swojego nabywcę, wcale nie znaczy, że się takowy nie znajdzie. -

Ucałował ją w policzek. - Miło cię znowu widzieć.

- Ale powiedz, co ty tu właściwie robisz? - zapytała wreszcie Molly.

- W tej chwili zbieram potłuczone kawałki słoika. Masz tu jakąś zmiotkę?

Molly zniknęła za ladą i po chwili wróciła z miotełką i szufelką.

- Mnie również jest bardzo miło cię widzieć, ale co tu robisz poza tym, że akurat sprzątasz szkło?

- Byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę do ciebie.

- W Montclair?

- Nie, na Manhattanie.

- Ale Nowy Jork oddalony jest stąd o pięć godzin. - Oparła ręce na biodrach i stała, przyglądając mu się pytająco.

- Tak? To w takim razie może chciałem się z tobą po prostu zobaczyć. - Carter wyciągnął mały kwiatek z butonierki i podał go jej.

- Co to znowu?

- Walentynki - odparł z szerokim uśmiechem.

- Ale do walentynek wciąż jest jeszcze kilka miesięcy.
- Och, znowu coś pomyliłem - powiedział i wstał z pełną śmietniczką. -

Powiedz mi, gdzie to mogę wyrzucić, a potem chętnie obejrzę twój świat.

Christopher przejechał jeszcze kosiarką pod ogrodzeniem pastwiska. Był wykończony po kolejnym dniu ciężkiej pracy i najchętniej zwałiby się prosto na łóżko. Po tym tygodniowym urlopie miał teraz robotę od świtu do zmierzchu. Na jego nieszczęście praca nie była na tyle absorbująca, żeby nie mógł myśleć w ciągu dnia. Larkin... Myślenie o niej nie miało przecież żadnego sensu. Prawdopodobnie powróciła już do swojego dawnego trybu życia prezentacji na wybiegach i wycieczek po nocnych klubach. Dwa na tyle różne światy, że tęsknota i rozpamiętywanie tego, co przeminęło, nie miało najmniejszego sensu.

Na podwórku rozległ się klakson i Christopher zobaczył znajomą ciężarówkę swojej ciotki. Podjeżdżała właśnie pod jego dom. Wyłączył kosiarkę i ruszył w jej kierunku. Roześmiana wyskoczyła z ciężarówki, a zaraz potem zobaczył także Cartera Hayesa.

- Spójrz tylko, kto do nas zawitał - powiedziała rozpromieniona.
- Widzę właśnie, ale co pan robi tutaj, na tym wygwizdowie? - zapytał, jakby powód jego odwiedzin nie był wystarczająco jasny.
- Ciebie także miło znowu widzieć, Christopher.
- Przepraszam, ale cały dzień w towarzystwie stada kóz potrafi zepsuć maniery. - Christopher uśmiechnął się uprzejmie i wytarł rękę, by podać ją Carterowi. - Miło pana widzieć, jak pan się miewa?
- Dziękuję, dobrze, podobnie zresztą jak i Larkin, gdyby miało to pana interesować.

Christopher starał się zignorować ten utajony wyrzut.

- Cieszę się, miło mi to słyszeć.



- Wpadłem, żeby odwiedzić Molly. Poczęstowała mnie zrobionym przez pana serem. Jest naprawdę doskonały i byłem ciekaw, gdzie go pan wyrabia. Miejsce wygląda wspaniale.

- Nawet nie wiesz, ile Christopher włożył tu pracy.

- Nie da się ukryć, ale wciąż jeszcze nie wiem, czy to inwestycja, czy może raczej drogie hobby. Zarysowują się jednak jakieś postępy, więc jest nadzieja.

Oprowadzić pana?

- Byłoby wspaniale - odparł Carter.

To ciekawe doświadczenie, pomyślał Christopher, zobaczyć farmę oczami kogoś innego. Zwykle jego dzień składał się z szeregu konkretnych zadań przeplatanych nadzorowaniem pracownika i sprawami organizacyjnymi. Gdy tak się rozglądał dokoła po swoich budynkach gospodarczych, po pagórkowatych pastwiskach i zagrodach dla zwierząt, wciąż widział jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Z takim utęsknieniem czekał na ten dzień, kiedy pewnego ranka wyjdzie z domu, wciągnie przez nos rześkie powietrze i wreszcie będzie mógł powiedzieć, że spełniło się jego marzenie. Ostatnio, podczas rozmowy z Larkin, nagle życie na farmie przestało mu zapierać dech w piersiach. Teraz jednak, gdy spojrzał na swoją posiadłość oczami Cartera, przypomniał sobie, co w życiu cenił najbardziej i do jakich gotów był poświęcić.

- Widzę, że jest pan farmerem całą gębą, ma pan tu nie tylko mleczarnię, ale także kury, prosięta, a nawet bydło - powiedział z uznaniem Carter, gdy opuszczali zabudowania gospodarcze. - To normalne w tych stronach?

- Nie mam pojęcia, czy istnieje jakiś wyznacznik tego, co normalne dla drobnego farmera. Hoduję po prostu kury i wieprze, żeby mieć dodatkowe przychody ze sprzedaży mięsa. Bydło mam na użytek własny i oczywiście rodziny. Może to dlatego, że zawsze mi za mało wyzwań.

- Za to pełne ręce roboty.

- Nie mogę narzekać na nudę.



Wyszli z zagrody na drogę dojazdową. Przed oczami malowało mu się całe jego dalsze życie, aż po starość.

- Z tego, co wiem, wcześniej pracował pan w Waszyngtonie?

- I na Manhattanie. W branży finansowej.

- Skąd więc taka drastyczna zmiana? - zapytał Carter.

- Z czasem, prędzej czy później, popadamy w rutynę, a ja pragnąłem robić coś, na co mógłbym spojrzeć pod koniec dnia i pomyśleć sobie, że odwaliłem kawał dobrej roboty, zobaczyć jej efekt.

- Dobrze rozumiem pana nastawienie. - Carter raz jeszcze rozejrzył się po posiadłości. - Chce pan być z dala od zgielku i pozorów władzy i budzić się w takim miejscu jak to. - Nagle coś się w nim zmieniło, poczuł się tak, jakby tryby jakiejś układanki wskoczyły na swoje miejsce. Spojrzył ze zrozumieniem na Molly i Christophera. - To jest to, czego i ja potrzebuję, takiego miejsca i takiej pracy.

- Z pewnością znajdzie pan tu niejednego oferenta, ale nie polecam...

- Dlaczego? Sądzi pan, że nie dałbym rady poprowadzić takiej farmy?

- Nie jestem pewien, czy pan rzeczywiście tego chce, a nie jest to coś, co można robić połowicznie. Jeśli szuka pan po prostu domu na wsi, jest ich tu całe mnóstwo. Wystarczy mieć trochę grosza i można z łatwością sięgnąć po jeden z nich, posadzić sobie w ogródku pomidory i rozkoszować się świeżym powietrzem.

Carter potrząsnął głową.

- Nie mówiłem o emeryturze, lecz o zmianie. Nie jestem typem człowieka, który może przesiedzieć w kapciach cały dzień. Taka farma to wspaniałe pole do popisu.

- Przy całym szacunku dla pana, chyba pan nie wie do końca, w co się pan pakuje.

- I dopóki nie spróbuję, nie zrozumiem.

Christopher miał ochotę machnąć ręką i zostawić na pastwę losu Cartera z jego nowym pomysłem na życie. Ale gdy spojrzył na Molly, w której oczach

malowała się mieszanina zaciekawienia, niepokoju i... tak, uczucia, uznał, że nie może tego zrobić właśnie ze względu na nią. Carter był kimś ważnym dla Molly, a więc bez względu na abstrakcyjność jego pomysłu, musiał mu pomóc. Wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni i przez chwilę patrzył w dal.

- W porządku, jeśli rzeczywiście pan tego chce, pomogę panu, ale niech pan się na razie powstrzyma od kupna ziemi. Na początek zapraszam na staż do siebie. Pokażę panu wszystko, czego sam się nauczyłem, przynajmniej tak długo, na jak długo będę sobie mógł pozwolić.

- To znaczy?

- Czasami prowadzi się farmę, żeby spłacić rachunki, a czasami...

- Christopher, o czym ty mówisz? - spytała Molly zaskoczona.

- Nie kręci się to wszystko odpowiednio szybko, a pieniądze się rozchodzą, więc jeśli stracę płynność finansową... - Urwał nagle i zmienił ton. - Będzie pan mógł zostać u mnie na farmie tak długo, jak długo tu będę, a potem, w razie fiaska, musi pan sobie radzić sam. - Uśmiechnął się smutno. - Decyzja należy do pana.

Molly uścisnęła rękę Christophera.

- Tak mi przykro, nie mów tak, Chris.

- No cóż, bardzo się starałem, ale jeśli nie wyjdzie, wrócę do Waszyngtonu i może jeszcze raz spróbuję szczęścia w wielkim mieście. To zawsze jakieś wyjście.

- Znam jeszcze jedno - powiedział Carter i uśmiechnął się tajemniczo.

## Rozdział 9

Ojciec chyba kompletnie już oszalał, myślała Larkin, wchodząc ostro w zakręt drogi prowadzącej do Vermont. Pędziła wypożyczonym audi, żeby wybić Carterowi z głowy jego nedorzeczne pomysły. Nie można przecież przekreślić czterdziestu lat doświadczenia w biznesie, żeby osiąść gdzieś na końcu świata jako pastuch i hodowca kóz! Potrafiłaby to zrozumieć, gdyby chodziło o życie na jakiejś pięknej wyspie i grę w golfa. To owszem, ale żeby grzebać się w oborniku? Niech ten cały Trask wypcha się tymi swoimi pomysłami! I niech nie wciąga ojca w swój zakichany interes! I jeszcze miał czelność zgrywać urażonego, gdy posadziła go o to, że próbuje za jej pośrednictwem zbliżyć się do Cartera. Na samą myśl o tym wrzała jej krew w żyłach. Co za tupet i bezczelność! I jeszcze do tego śmiał ją tak całować. Wspomnienie jego ust do dziś przyprawiało ją o gęsią skórkę. Jak mogła być aż tak głupia i uwierzyć w tę grę? A on, korzystając z nadarzającej się okazji, bez skrępowań próbował sięgnąć łapą do kieszeni Cartera. Po jej trupie!

Na tablicy przy drodze widniał napis: Farma Doe Si Doe 400 m.

„Jeśli kiedyś będziesz w Vermont, odwiedź mnie”, przypomniała sobie słowa Christophera.

- Już lecę - wymamrotała pod nosem.

Asfalt lśnił w blasku porannego słońca. Owszem, zamierzała wpaść do Christophera Traska, ale tylko po to, żeby zdemaskować jego paskudne oszustwo. Nie zamierzała przyglądać się beczynnemu, jak jej ojciec pakuje się w kolejny związek bez przyszłości, który na dodatek pociąga za sobą współwłasność koziej farmy. Kozia farma, na miłość boską! Carter musiał zwariować.

Droga asfaltowa się skończyła i samochód zaczął kołysać się na koleinach. Już widziała Cartera w jego wystrzałowym garniturze, jak majstruje przy koziej zagrodzie. Jasne! Ciekawe, jakich metod użył ten facet, żeby tak zbajerować jej ojca? Hipnozy czy po prostu Molly Trask? Larkin energicznie wcisnęła hamulec. Przy

drodze żwirowej, wiodącej przez coś na kształt bramy, widniała tabliczka z nazwą farmy.

Wjechała na prowizoryczny parking w kompletnie inny świat. Nigdy wcześniej nie gościła na farmie, ale było tak, jak to sobie wyobrażała. Po jednej stronie stał piętrowy biały dom z zielonymi okiennicami i szeroką werandą na całej długości domu. Obok była duża drewniana stodoła z czerwonymi okiennicami i światłem wpadającym przez szczyt dachu. Pozostałe budynki gospodarcze wpisywały się w ten schludny schemat kolorów. Wokół porośnięte trawą pastwiska były niemal nienaturalnie zielone. Wszystko to razem miało zadziwiająco sielankowy, żeby nie powiedzieć uroczy wygląd. Oczywiście, o ile było się w odpowiednim nastroju.

Larkin wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Obcasy pantofli zapadały jej się w żwirze. Nieopodal słychać było okrzyki bawiących się dzieci. Jej oczom ukazała się jeszcze jedna stodoła, a obok niej stosunkowo niewielki trawnik i gdaczące kury, które dziobały wszystko, co napotkały. Wysoki, szczupły mężczyzna napełniał wiadro wodą z kranu. Postanowiła podejść do niego i zapytać o Christophera. Przechodząc koło kur, zmarszczyła nos. Niemiłosiernie śmierdziały.

- Christopher Trask - zaczęła.

- Nie, nazywam się Decke.

- Wiem - odparła rozdrażniona. - Gdzie on jest?

Mężczyzna poprawił nerwowo daszek czapki i nałożył ją na głowę.

- Właśnie poszedł doić, więc myślę, że jest... to znaczy, myślę, że on...

- Tutaj - usłyszała znajomy głos.

Larkin odwróciła się z furią i zamarła. Owszem, to był Christopher, ale nie taki, jakiego знаła z rejsu. Miał na sobie stare wytarte džinsy, koszulkę z krótkim rękawem i ciężkie skórzane buty, które uruchamiały kobiecą wyobraźnię. Nagle nie mało znaczenia, że dotąd gustowała raczej w dystyngowanych i eleganckich facetach. Zaskoczona, wlepiała szeroko otwarte oczy w Christophera, który niósł

duży metalowy kanister. Na jego rękach wyraźnie odznaczały się mięśnie. Siła i pewność siebie sprawiały, że wyglądał niezwykle seksownie. Gdy stanął tuż przed nią, coś krzyknęło w niej: dość! Nie mogła do tego stopnia poddawać się jego męskiemu urokowi. Poprzysięgła sobie, że zachowa zimną krew, choćby miała eksplodować.

Christopher odstawił kanister, który okazał się być bańką na mleko, i zmierzył ją taksującym wzrokiem.

- Gubernator? - zdziwił się, przyglądając się jej koszulce ze Schwarzenegerem.

Speszyła się.

Kiedy zadzwonił Carter, była akurat z koleżankami na koktajlu. „Przeprowadzam się do Vermont” powiedział ojciec, jakby nigdy nic. Zdenerwowana, pod wpływem impulsu wybiegła z lokalu i wskoczyła do samochodu jak stała. Dlatego miała na sobie tę kusą spódniczkę, a koszulka z podobizną gubernatora Arnolda Schwarzenegera była zakupem last minute, tak jak i szczoteczka do zębów.

- To taki błyskawiczny zakup... a ta moja podróż do Vermont to całkowicie spontaniczna akcja.

- Kiedy mówiłem, żebyś wpadła, nie miałem pojęcia, że pojawisz się tak szybko.

- Naprawdę? - powiedziała, robiąc niewinną minkę. - To bardzo dziwne, że się mnie nie spodziewałeś, biorąc pod uwagę, że naciągnąłeś mojego tatę na utopienie małej fortuny w twoich kozach.

Nie wiedziała, jak zareaguje na jej słowa, ale z całą pewnością nie spodziewała się, że się roześmieje.

- Przestań - syknęła.

- Nie znam nikogo, kogo byłoby trudniej naciągnąć niż twojego ojca.

- A więc uważasz, że miejsce Cartera Hayesa jest między kozami?

- Uważam, że miejsce Cartera Hayesa jest wszędzie, gdziekolwiek tego zapragnie. Poza tym, co cię to właściwie obchodzi? A wiem, wkurza cię, że zmniejsza się w ten sposób twój spadek?

- Wkurza mnie, że mnie okłamałeś.

- A niby kiedy cię okłamałem?

- Twierdziłeś z całym przekonaniem, że nie weźmiesz od niego pieniędzy.

- Nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek mówili o pieniądzach.

- Owszem - krzyknęła rozwścieczona - dałeś mi swoje słowo! Powiedziałeś...

Christopher przyciągnął ją do siebie, nie pozwalając jej dokończyć. Starła się odepchnąć od jego torsu, ale na próżno. To było jak walka z wiatrakami. Czuła zapach trawy, mydła, którego musiał użyć tego ranka, i świeżego powietrza.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej i w końcu przestała się wyrywać.

- Mówiłem ci, że to, co zaszło między tobą i mną nie miało żadnego związku z Carterem - powiedział łagodnie. - I taka jest prawda. - Nagle puścił ją i ruszył w kierunku stodoły.

Larkin ocknęła się po chwili i pobięła za nim.

- Gdzie jest mój ojciec? Chcę z nim porozmawiać - zawołała.

- Jest na Manhattanie. Wyjechał wczoraj, żeby pozalać jakieś interesy.

Powinien wrócić za jakiś tydzień.

- Żeby ratować ci tyłek!

Twarz Christophera drgnęła, ale zapanował nad sobą.

- Słuchaj, cokolwiek myślisz na ten temat, to nie był mój pomysł. -

Energicznym ruchem otworzył drzwi stodoły. W środku, w zagrodzie było kilka małych prosiąt, czarnych z białymi plamkami i różowymi ryjkami. Zaczęły przepychać się przy korycie, gdy Christopher otworzył metalową beczkę, by wrzucić im do środka coś, co Larkin zidentyfikowała jako karmę.

- Chcesz mi może wmówić, że nagle postanowił wyrzucić swoje dotychczasowe życie do kosza i tu przyjechać? - Nie odstępowała go nawet na krok.

- Najwyraźniej to jego pomysł na emeryturę.  
- Tak myślisz? Grzebanie się w oborze?  
- Najwyraźniej - rzucił, idąc w stronę wyjścia. - Choć on wcale nie przedstawił tego tak, jakby chciał wyrzucić swoje życie do kosza.

- Jasne, a im więcej forsy wpadnie przez to do twojej skarbonki, tym lepiej - dodała z wyrzutem.

Christopher odwrócił się raptownie.

- Już ci powiedziałem, to nie był mój pomysł. Wydaje się traktować tę zmianę w swoim życiu poważnie, to powinno przemawiać na jego korzyść. Czemu chcesz mu odebrać tę możliwość pokosztowania innego życia? Żałujesz mu?

- Nie żałuję jemu, tylko tobie! - powiedziała ze złością.

- Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o twojego tatę. Chce spróbować swoich sił dla odmiany w pracy fizycznej, uciec z biura, od tego nieustającego kołowrotu. Uwierz mi, wiem, co to znaczy, bo przez to przeszedłem. Gdybyś pracowała jak on, też byś rozumiała.

- Rozumiem, więc gdybym osiągnęła wyższy szczebel rozwoju, pragnęłabym jak on sprzątać stajnię.

- Do tego musiałabyś być naprawdę na wyższym szczeblu rozwoju. - Spojrzał na nią kpiąco. - Zdaje się, że twój ojciec chce się tym zająć na poważnie, podczas gdy ty nie wytrwałabyś nawet jednego tygodnia.

- A to co znowu ma znaczyć? - zawołała, wbiegając za nim na małe, otoczone płotem pastwisko. - Mówię coś do ciebie! - krzyknęła, nie mogąc nadążyć, bo złamał jej się obcas.

Christopher zatrzymał się raptownie, a ona zachwiała się i padła prosto w jego ramiona. Chwycił ją, chroniąc przed upadkiem na ziemię. Ich usta były bardzo blisko siebie. On jednak odsunął się, jakby nigdy nic, i pomógł jej stanąć.

- Widzisz, o tym właśnie mówiłem, to nie dla ciebie. Nie jesteś stworzona do ciężkiej pracy. Znacznie lepiej wychodzi ci wdziękowanie się do kamery i zabawa



Black Berrym. - Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. - A twojemu ojcu chodzi o coś więcej, niż tylko o obracanie pieniędzmi. Obiecałem mu, że pomogę mu się dowiedzieć, czy to jest to, czego szuka.

- Z dobroci serca, tak?

- A czy to ma znaczenie? Mam swoje osobiste powody, żeby to zrobić. Znasz chyba swojego ojca lepiej niż ja, a nawet ja widzę, że on rzeczywiście tego chce. Więc wracaj do swojej posiadłości, czy na żaglówkę, czy gdziekolwiek aktualnie przesiadujesz i pogódź się z tym. - Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

- Dobrze, pogodzę się, ale pod jednym warunkiem. - Pokuśtykała przez chwilę za nim, a potem zdjęła oba buty.

- Słucham?

- Nie wyjadę stąd, dopóki on nie wróci i nie porozmawia ze mną.

- To nie jest hotel, moja droga, to farma, na której się ciężko pracuje, i nie mam ani czasu, ani środków, żeby gościć tu kogoś, kto nie pracuje na równi z innymi.

- Skąd ta pewność, że nie umiem ciężko pracować? - zawołała rozzłoszczona i chwyciła za drut ogrodzenia. Z krzykiem cofnęła rękę. - Jest pod napięciem - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście że tak, jesteś w końcu na farmie i płoty nie są tu dla ozdoby, lecz po to, by nie uciekły zwierzęta i by nie dopuścić do nich drapieżników. - Obrzucił ją pełnym politowania spojrzeniem.

- Mam dość wysłuchiwanie od innych, na co mnie stać, a na co nie. Gdybym tylko chciała, dotrzymałabym kroku każdemu na tej farmie.

- A ja chciałbym to zobaczyć - powiedział Christopher, śmiejąc się jej prosto w twarz.

- Proszę bardzo! Uważasz, że nie wytrzymam tu nawet tygodnia? Więc zostanę dwa!



- Całe dwa tygodnie? - Znudzony i rozbawiony zarazem głos Christophera rozszłościł ją jeszcze bardziej. - Jestem więcej niż pewien, że już po godzinie zaczniesz rzucać mięsem, a po dwóch ostatecznie się poddasz.

- Chcesz iść o zakład? Dwa tygodnie! Będę pracować jak inni i robić to, o co poprosisz.

- W porządku - powiedział rozbawiony.

- Ale jeśli przetrwam te dwa tygodnie, odrzucisz propozycję finansową Cartera.

Christopher parsknął.

- Czemu miałbym to zrobić? Jeśli będę potrzebował pieniędzy, a zaproponuje mi je twój ojciec, to na pewno nie odrzucę takiej oferty tylko po to, żeby pomóc ci w pracy nad sobą, księżniczko.

- Księżniczko!?! - prychnęła Larkin rozwścieczona.

Dał się słyszeć cichy blues i Christopher wyjął komórkę.

- Przepraszam na moment.

Głos, który usłyszał w słuchawce, brzmiał znajomo.

- Dole White, Pure Foods.

Christopher wziął głęboki wdech i oddalił się o kilka kroków, usiłując stłumić swoją irytację.

- Cześć, jak się masz?

- Nie mogę narzekać, a ty?

- Dzięki, wszystko dobrze.

- No to będzie jeszcze lepiej - powiedział Dole. - Pamiętasz, na jakie utrudnienia napotkaliśmy, gdy chcieliśmy sprzedać twój ser do sklepów? Możliwe, że za kilka tygodni wszystko się zmieni.

- To naprawdę dobra wiadomość. - Starał się, aby jego słowa nie brzmiały cynicznie. Wiedział, że Dole chce kupić od niego ten ser, ale patrząc przez pryzmat niezliczonych rozmów, jakie prowadzili w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, szanse

były niewielkie. Zawsze obiecywał, że sukces zbliża się wielkimi krokami, ale nic jak dotąd z tego nie wynikło. - Może rozwiń nieco temat - poprosił, zastanawiając się, gdzie postawić nową szopę.

- No cóż. Nasza organizacja ogłosiła właśnie nową inicjatywę pod tytułem: jedz lokalne wyroby. Projekt rusza za kilka tygodni, a lokalni menadżerowie będą mieli za zadanie kupić co najmniej czwartą część żywności z okolicznych gospodarstw. Wchodzi w to mięso, wyroby mleczne i inne artykuły od miejscowych producentów.

- Dwadzieścia pięć procent? To sporo!

- Dokładnie.

Taka informacja pozwalała już na odrobinę euforii, przy założeniu, że jest prawdziwa.

- I będą podpisywać umowy na dostawę?

- Jak załatwią już całą robotę papierkową, tak, z pewnością. Nie mogę ci obiecać, że to będzie natychmiast, ale cała akcja zaczęła się już rozkręcać. Właśnie trzymam w ręku oświadczenie...

- W tym biznesie - wszedł mu w słowo Christopher - nauczyłem się jednej rzeczy, Dole, że nie ma tu czegoś takiego jak gwarancja.

- A więc znajdź sobie najbliższy możliwy odpowiednik dla tego słowa, przyjacielu.

- W porządku, dzięki za wiadomość - powiedział Christopher i się rozłączył. Nie do końca uwierzył oczywiście, że to się uda, ale wstąpiła w niego jakaś nowa nadzieja, a na jego twarzy widniał uśmiech. Propozycja Cartera, żeby trochę dofinansować farmę, by mogła tak długo funkcjonować, jak długo on będzie chciał odbywać na niej staż, była jakimś wyjściem, choć z dnia na dzień coraz mniej komfortowym. Natomiast interes z Pure Foods mógł go wyciągnąć z tych tarapatów.

Spojrzał na Larkin. Stała ze skrzyżowanymi rękami i zaciętą miną. Ściągnął brwi, zrobił poważną minę i podszedł do niej.

- Przepraszam, ale sama rozumiesz, wielkie sprawy świata koziarzy.
- Jasne, nie ma problemu.
- A więc, na czym to stanęliśmy?

- Na zakładzie. Zakładasz się czy nie? - spojrzała na niego zadziornie.

Podobało mu się, że jej pokaże, jak wygląda na co dzień jego życie, ale chodziło mu o coś jeszcze. Pewne sprawy między nimi nie były zamknięte.

Pomyślał, że ten zakład pozwoliłby mu upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Czy kiedykolwiek w życiu pracowałaś fizycznie? - zapytał, mierząc ją wzrokiem.

Larkin uniosła głowę.

- To nie twoja sprawa, liczy się zakład. Skoro jesteś taki pewny, że umoczę, to co cię powstrzymuje? Powiedz tak, jeżeli jesteś taki pewien swego. Ale stawka jest spora, przynajmniej jeśli wygrasz.

- A jeśli ty przegrasz, to co ja z tego będę miał?

Larkin, zniecierpliwiona, potrząsnęła głową.

- Cokolwiek będziesz chciał, to bez znaczenia. Nie zamierzam przegrać.

- Aha... Pozwól zatem, że podsumuję: będziesz pracować dwa tygodnie na farmie, robiąc to, o co poproszę i w godzinach, jakich będę wymagał - ciągnął Christopher z narastającym rozbawieniem i zadowoleniem - i do tego bez marudzenia i składania zażaleń... - Tu spojrzał na nią pytająco.

- Bez składania zażaleń - potwierdziła Larkin.

- Nawet na kozy?

- Nawet na kozy - przytaknęła - i na twoich warunkach, przez dwa tygodnie.

- Przez miesiąc - rzucił niespodziewanie.

- Przez... m... miesiąc? - zająknęła się.

- Mam wiele do stracenia, nie dziw się. Ale jak wytrzymasz miesiąc, dam ci słowo, że nie przyjmę żadnych pieniędzy od Cartera, nawet gdyby mnie błagał o to

na kolanach. Nie to, żebym miał się czym przejmować, bo nawet do głowy by mi nie przyszło, że dasz radę, ale przez miesiąc przynajmniej się czegoś nauczysz.

- Wspaniale! To kiedy zaczynamy?

Christopher taksował ją wzrokiem: spódniczka mini, cienkie rajstopki i umalowane usta.

- Może od zaraz? - powiedział rozbawiony.

## *Rozdział 10*

Larkin wciąż miała na sobie koszulkę ze Schwarzenegerem i spodnie, które pożyczyła od Christophera, chyba najstarsze, jakie posiadał, z paskiem wywiniętym na zewnątrz niczym papierowa torebka. Na nogach miała ciężkie kalosze nałożone na trzy pary skarpet. Włosy związała w kucyk, a na rękach miała znoszone rękawiczki.

- Gotowa do boju? - zapytał Christopher i ruszył, nie czekając na odpowiedź.

Nie to, żeby jej niepohamowany temperament po raz pierwszy wpakował ją w takie tarapaty, ale nigdy jeszcze nie było aż tak źle. Sielskie życie na wsi, to brzmiało naprawdę dobrze, zawsze jednak cieszyła się, że brud, smród obornika, zapachy stodoły i zwierząt nie są jej udziałem. Teraz jednak miało się to diametralnie zmienić. Ledwo pojawiły się na horyzoncie kozy, a już dało się słyszeć głośnie meczenie. Gdy weszli na pastwisko, natychmiast zaczęły biec w ich kierunku.

Larkin pomyślała, że te stworzenia o różnej maści śmierdzą i są naprawdę szkaradne, jakby kościste i żylaste zarazem, ale mimo to... dziwnie miłutkie. Miały trójkątne pyszczki z dużymi oczami, małe noski i klapiaste uszy, zwisające po bokach główki. Machały wdzięcznie swoimi krótkimi ogonkami, podekscytowane ich przybyciem i niemiłosiernie meczały. Z bliska wydawały jej się większe, niż się spodziewała, a na szyjach miały znakowane obroże, zupełnie jak zwierzęta domowe.

Niemniej, gdy ją tak otoczyły, trochę się spięła. Nie wykazywały jednak żadnej agresji i poczuła, stojąc w tym morzu kóz, że nerwy jej jakoś odpuściły. Tłoczyły się w końcu głównie do Christophera, to on był ich celem. Oczywiście, pomyślała, to przecież wszystko dziewczyny.

- Widzę, że twój urok działa nawet na nie...

- No cóż, mam naturalną charyzmę. Chodźcie tu, moje kochane, macie tu swoje nowe, obiecane pastwisko - przemawiał do nich, podchodząc do metalowej bramy.

Larkin również, jak całe stado, ruszyła za nim, ale tym razem starała się nie dotykać drutu. Patrzyła, jak pewna biała przebojowa koza przepycha się na sam przód, żeby wejść na pastwisko jako pierwsza. Miała uroczą, jedwabistą, białą bródkę. Cała reszta stada strumieniem podążyla za nią.

- Myślałam, że tylko kozły mają brodę.

- Nie gap się tak na nią, bo będzie zbyt pewna siebie. To nie Gildy wina, że ma problem z zarostem na twarzy.

- Gilda?

- Jest kozą alfa.

- Jako przywódczyni stada powinna mieć chyba dzwonek?

- Może miałaś na myśli krowy? Nie obchodzi ją przywództwo, jej priorytetem jest, że wszędzie musi być pierwsza.

- Dobrze sobie radzi.

- To prawda, żadna tu z nią nie zadziera.

Larkin poczuła uderzenie w nogę. Odwróciła się i zobaczyła płowożółtą kozę o trójkątnym pyszczku przyglądającą się jej swoimi dużymi brązowymi oczami. Przez chwilę jeszcze patrzyła na Larkin, a potem zaczęła ją podskubywać.

- Sprawdza, czy nadajesz się do jedzenia. Tak, Tallulah?

- Myślę, że trawa jest smaczniejsza ode mnie - powiedziała Larkin, czochrając kożę za uszami. W odpowiedzi na ten gest, koza zamknęła błogo oczy i przytknęła głowę do jej uda.

- Och! - wyrwało się Larkin, zaskoczony tą niespodziewaną czułością.

- Co, podoba ci się? Wygląda na to, że zdobyłaś nową przyjaciółkę - powiedział wesoło Christopher. - Potrzebuje przyjaciółki, bo jest mała i inne traktują ją jak popychadło.

- To bardzo nieładnie, że cię tak traktują twoje koleżanki, prawda Tallulah? - powiedziała do niej pieszczotliwie.

Ku jej zaskoczeniu, kózka wydała z siebie pomruk, jakby chciała jej przytaknąć.

- Theda jej czasem nieźle daje w kość.

- Theda?

- Tak, ta tam! - Christopher wskazał szarą kożę z białymi plamkami na uszach.

- A ta jak się nazywa? - Larkin pokazała na kożę w kolorze piasku.

- To jest Mabel.

- A tamta?

- Bette - odparł Christopher, głaszcząc po głowie Mabel.

Koza zabeczała wniebogłosy.

- Bette? - zdziwiła się Larkin.

- Tak, Bette Davies, nasza diva.

- To ty je wszystkie rozróżniasz?

- Oczywiście, są jak moje dzieci, wychowałem je przecież. Kiedy odstawione są od matki, karmię je dalej butelką.

- Jak mama.

- Można tak powiedzieć. Zacząłem od dziesięciu kóz, kiedy kupiłem tę farmę, a teraz jest ich ponad setka.

- Rozmnażają się jak króliki?

- Można powiedzieć, że Spike, Mike i Leroy entuzjastycznie podchodzą do swojej roli.

- Spike, Mike i Leroy?

- Tak, samce. Trzymam je na górnym pastwisku, mają oddzielną zagrodę. Żaden kojot nie ośmieli się z nimi zadrzeć. Ty też musisz się mieć przy nich na baczności.

- A co, będą chciały mnie...

- Nie, zazwyczaj są grzeczne, chyba że chciałabyś je zmusić do zrobienia czegoś, na co nie mają ochoty. Poza tym są niezwykle przyjacielskie i w tym cały problem...

- Jak to?

- Okropnie śmierdzą.

- To uroczo. - Larkin przewróciła oczami.

- Kozom to się podoba.

- Myślałam, że masz lepszy gust - powiedziała do Tallulah i podrapała ją pod brodą.

Koza z lubością poddawała się tym pieszczotom.

- Chyba się w tobie zakochała. Można by pomyśleć, że jesteś urodzoną koziarą.

- Carter zawsze powtarzał, że któregoś dnia z całą pewnością znajdę swoje miejsce na świecie.

Pomieszczenie do wyrabiania serów mogłoby spokojnie posłużyć za salę operacyjną, pomyślała Larkin. Na podłodze były białe, lśniące kafelki, a przy nieskazitelnie czystych stalowych stołach stał pracownik w bielusińskim fartuchu i nakryciu głowy. Na nogach miał ochraniacze.

Larkin spojrzała na Christophera, żeby sobie wyobrazić jak by wyglądał jako chirurg. Ale zamiast patrzeć na monitor z wykresem bicia serca, wzrok miał

wlepiony w termometr, który mierzył temperaturę mleka znajdującego się w sterylnej kadzi. Kiwając głową, wlewał coś powoli do zbiornika.

- Co robisz? - zapytała.

- Dodaję podpuszczkę. Dzięki niej mleko lepiej się zsiada. Weź mieszadło i szybko zamieszaj - powiedział.

Ku jej zdumieniu konsystencja mleka natychmiast zaczęła się zmieniać, w niepojęty sposób zagęszczając się na jej oczach. Wcześniej Christopher żartował sobie na temat jedzenia pochodzącego ze sklepów, ale tak naprawdę nigdy się nie zastanawiała, skąd to wszystko się bierze, jaką drogę przebywa, zanim wyląduje na talerzu. Ser jakby sam pojawiał się w jej sałatce czy na tostach. Ale było w tym coś fascynującego, gdy obserwowało się proces jego powstawania.

- I co teraz?

- Trzeba je odstawić na około godzinę, by się zsiadło do końca. W tym czasie zdążymy akurat wyjąć z suszarni ser, który zrobiłem wczoraj. - Odwrócił się i wziął z półki olbrzymią aluminiową tacę, na której leżały małe plastikowe foremki. Opróżniał je, jedną po drugiej, odwracając zgrabnym ruchem i wydobywając z nich serowe piramidki, które układał na tacy obok.

Larkin wyciągnęła rękę po jedną z foremek.

- Nie - zaprotestował Christopher, ale ona już odwróciła foremkę do góry dnem, tak jak robił to on, chociaż chyba nie do końca, bo tylko część sera wyszła z foremki, a druga część pozostała w środku.

- Ojej - jęknęła.

- To jakieś cztery dolary, które jesteśmy stratni - powiedział nieco sarkastycznie. - Umówiliśmy się, że robisz to, o co proszę, a nie to, co chcesz.

- Nie wiedziałam... nie chciałam... - jąkała się.

- Ale zrobiłaś. Odtąd za każdym razem, gdy zrobisz coś nieproszona, będzie cię to kosztowało pięć dolarów.



- Pięć dolarów? - uniosła się Larkin. - To chyba przesada. Chciałam tylko pomóc.

- Więc posłuchaj. Nie wszystko da się zrobić natychmiast, niektórych rzeczy będziesz musiała się nauczyć, a to wymaga cierpliwości. Ale i tego się nauczysz, zakładając oczywiście, że wytrwasz. - Spojrzał na nią z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy. - Zabiorę to do suszarni, a ty włóż te wszystkie foremki do zlewu w serowni. Trzeba je umyć.

- Mam je umyć?

- A czy widzisz tu kogoś jeszcze?

- A co ty będziesz robił?

- Muszę zejść do piwnicy i podwracać sery.

- Do piwnicy? Trzymasz w piwnicy ser?

Christopher roześmiał się.

- Jak się dobrze spiszesz, jutro cię tam zbiorę.

- Czemu nie teraz?

- Bo teraz trzeba umyć formy.

W domu nigdy nie zajmowała się takimi rzeczami. Miała pomoc domową, zmywarkę, a najczęściej i tak chodziła do restauracji.

- Myślałam, że mam tu się zajmować robieniem sera, a nie zmywaniem.

- Żartujesz? Dziewięćdziesiąt procent naszej pracy to sprzątanie.

- To cudownie...

- Czyżbyś już narzekała?

- Oczywiście, że nie. Mówię, że to cudownie, ponieważ lubię zmywać.

W oczach Christophera znowu pojawiło się to rozbawienie, choć się nie roześmiał. Ale i tak ją to rozdrażniło.

- Całe szczęście, bo sama wiesz, czym może się skończyć twoje narzekanie. - Zerknął na nią spod oka.

- Dobrze się bawisz, co?

- Oczywiście, chyba mnie za to nie winisz?

Larkin obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Gdzie jest płyn do zmywania?

- W szafce nad twoją głową. Znajdziesz tam też gumowe rękawiczki, na wypadek, gdybyś miała martwić się o swój manicure. Baw się dobrze. - Mrugnął do niej okiem i odwrócił się.

A wtedy Larkin szybko pokazała mu język.

- A co rąbanie drewna może mieć wspólnego z produkcją sera? - zapytała Larkin znad zlewozmywaka, spoglądając, jak Christopher rozwała siekierą kolejne szczapy na kawałki.

- Drewno jest potrzebne na opał, choćby do wędzarni - powiedział, opuszczając ze świstem siekierę. - Jak skończyłaś ze zmywaniem, możesz układać drewno na wozie. Część z niego sprzedaję.

Kolejną godzinę zajęło Larkin wrzucanie i układanie porąbanego drewna. Miała już naprawdę dosyć i z zazdrością patrzyła, jak Christopher biega między piłą łańcuchową a siekierą bez najmniejszych oznak zmęczenia. Widziała, jak mu pracują mięśnie pod koszulką.

- Nie jesteś zmęczony? - zapytała.

- Nie, a ty?

- Ja też nie - skłamała.

- To dobrze, bo przykro byłoby mi patrzeć, jak przegrywasz już pierwszego dnia - powiedział i rozplątał na dwie części wyjątkowo gruby pień.

- Nie zobaczysz, nie zrobię ci tej przyjemności.

Gdy Christopher zakończył rąbanie drewna, słońce stało już wysoko na niebie. Wczoraj jeszcze nie było mowy o pomocy przy rąbaniu drewna, lecz o wytwarzaniu serów, pomyślała Larkin. Ale zakład był zakładem i zamierzała go wygrać, robiła więc to, co jej kazał. Nie zamierzała jednak odmówić sobie przerwy w pracy, to przysługiwało każdemu. Chciała usiąść i napić się czegoś. Bolały ją plecy i nogi, ale

udało im się za to uwinąć z robotą i serownia była wysprzątana na wysoki połysk. Musieli już tylko nakarmić prosięta i kury. Pierwszy dzień już prawie za mną, pomyślała zadowolona z siebie. Wystarczy przetrwać jeszcze tylko kolejnych trzydzieści dni i sprawa będzie załatwiona.

- No, to tutaj już koniec - powiedział Christopher - chodźmy nakarmić zwierzęta. Potem zdążymy rozładować drewno, zanim trzeba będzie wydoić kozy.

- Wydoić kozy? Przecież doileś je rano.

- Zwierzęta doi się dwa razy w ciągu dnia. Nie możesz się przecież nudzić - dorzucił z rozbawieniem.

- Naturalnie, to miło, że tak dbasz o mnie - powiedziała z kamienną twarzą, mimo że marzyła jej się miękka sofa i lampka schłodzonego wina.

- Jesteśmy w pomieszczeniu, w którym pasteryzuje się mleko - zakomunikował Christopher.

Larkin rozejrzała się dokoła. Ze ścian wystawały rury, tworząc zawiłą plątaninę pod sufitem.

- Mleko dociera tu z dojami przez te rury i spływa do kadzi, ale przedtem trzeba je poddać dezynfekcji. Rury muszą być sterylne. - Podeszedł do ściany i zaczął majstrować przy rurach, w dziwny sposób łącząc je ze sobą.

Larkin próbowała śledzić jego ruchy, ale po chwili się poddała.

- Chyba nie oczekujesz ode mnie, że to wszystko zapamiętam? - zapytała, zrezygnowana.

- Oczywiście, że oczekuję, przecież widzisz, co robię.

- No tak, to faktycznie drobiazg - rzuciła ironicznie, patrząc, jak Christopher mocuje do rur pojemnik z cieczą dezynfekującą i przyciska jakiś guzik. Rury zaczęły niepokojąco drgać.

- W ten sposób dezynfekuje się je od wewnątrz, ale jeśli się to zrobi niewłaściwie, można zamiast rur odkazić podłogę.

- Miło mieć jeszcze jeden powód do zmartwienia.

Weszli do dojarni. Tu również ściany wyłożone były białymi płytkami, tylko podłoga była betonowa. Pośrodku znajdowały się dwie duże, niebieskie, metalowe platformy otoczone sztachetami. Wyglądały trochę jak zagrody na szczudłach.

- To są stanowiska do dojenia - powiedział Christopher. - Zwierzęta wchodzą kolejno przez klapę w ścianie i ustawiają się przy dojarkach. - Wskazał na płatanie kabli zwisających przy sztachetach, które prowadziły do sporej szklanej kuli w rogu sali.

- To pomieszczenie wygląda bardziej jak laboratorium chemiczne niż dojarnia - zdziwiła się Larkin.

- Coś w tym jest, to prawda. Sterylizacja jeszcze trochę potrwa, chodź, pójdziemy po dziewczyny.

Kozy były już w zagrodzie podzielonej na boksy. Wszystkie wyścielone były trocinami i słomą i dochodziły do wąskiego korytarzyka biegnącego wzdłuż ściany, który prowadził do dojarni.

- Pomóż mi z tą kratą - poprosił Christopher.

Larkin podeszła do niego i razem odsunęli kratę.

- Co to takiego? - zapytała.

- Tędy zwierzęta wychodzą po wydojeniu na pastwisko.

- Co za znakomita organizacja - dodała z nieskrywanym podziwem.

- Tak musi być.

W rogu tego pomieszczenia o betonowej podłodze stał niewielki zielony traktor, a u góry poukładane były snopy siana. Christopher w mgnieniu oka wszedł na drabinę.

- Uważaj! - zawołał, zrzucając snop na ziemię. - Porozrzucaj siano w korytach do karmienia, a ja je wpuszczę.

Po chwili Larkin usłyszała głośnie meczenie i dudniący po betonie stukot kozich kopyt. Zza rogu, przepychając się i podskakując, wbiegły zwierzęta. Niektóre wpadały w poślizg. W pośpiechu przekładały głowy przez metalowe pręty, rzucając

się łączywie na siano, jakby ktoś miał im je zaraz zabrać. Stały gęstym rzędem, poruszając z lubością szczękami. Larkin rozpoznała po chwili Mabel i Bette Davies, ale nigdzie nie mogła dopatrzeć się płowego, żółtego łebka. Podeszła bliżej, żeby rozrzucić im lucernę i dopiero wtedy dostrzegła, jak Tallulah mozolnie usiłuje przecisnąć się między pozostałymi kozami, żeby dostać się do jedzenia.

- A, tu jesteś, Tallulah - ucieszyła się Larkin. Koza uniosła bezradnie wzrok. Wtedy Larkin wzięła w ręce wiązkę siana i zawołała ją. - Chodź tutaj! - Kózka natychmiast pocwałowała na koniec korytarza. Może to tylko wyobraźnia Larkin, ale była w stanie przysiąc, że w spojrzeniu Tallulah ujrzała błysk wdzięczności.

- Widzę, że Tallulah rzeczywiście zdobyła przyjaciółkę - odezwał się Christopher za jej plecami.

- Nie mogła się dostać do jedzenia - powiedziała Larkin czując się trochę niezręcznie.

- To miło z twojej strony. - Christopher przejechał opuszką kciuka po jej brodzie. Poczowała, że dostaje gęsiej skórki.

- Jestem miła, przynajmniej dla tych, którzy na to zasługują. Tak jak Tallulah.

- Zapamiętam to sobie. A teraz chodźmy doić.

W sali pasteryzacji Christopher znowu wykonał jakiś dziwny manewr z rurami. Przyglądała się temu z dłońmi wspartymi na biodrach.

- Czy naprawdę musisz tak majstrować przy tych rurach, czy może robisz to specjalnie po to, żeby wprowadzić mnie w zakłopotanie?

- A jak myślisz?

- Nie zdziwiłoby mnie to.

- Jesteś cyniczna.

- Jestem realistką.

- W takim razie napełnij te pojemniki ziarnem, zanim wejdą tu kozy.

Z zagrody dobiegło stłumione dudnienie.

- Co to? - zdziwiła się Larkin, marszcząc z niepokojem brwi.

- To Gilda, przywódczyni stada, i reszta dziewczyn dają nam do zrozumienia, że mamy się wziąć za dojenie.

- Chcą tu wejść? - To urzekło Larkin. - Więc lubią, kiedy się je doi?

Christopher uśmiechnął się.

- Lubią jeść i tak długo, jak wiadra będą pełne, pozwolą zrobić ze sobą wszystko. Prawie jak ludzie.

- Cynik.

- Realista. Właściwie jesteśmy już gotowi, wystarczy tylko jeszcze odrobina muzyki i możemy je wpuszczać. - Odwrócił się i zaczął przeglądać stertę kompaktów.

- Nie wiedziałam, że kozy lubią muzykę. - Larkin była absolutnie zaskoczona.

- Wprost kochają, bez muzyki nie dają mleka. A najbardziej lubią bluesa i klasycznego rocka, za to nie cierpią klasyki.

- No, co ty powiesz... - Spojrzała na niego zadziornie, gdy w pomieszczeniu rozległy się pierwsze dźwięki muzyki. - Ty pewnie nie jesteś wielkim fanem bluesa i rocka, co?

- Ja? Ależ skądże, zdecydowanie wolę Mozarta - roześmiał się i chwycił za liny służące do otwierania klapy w ścianie.

Pierwsza wbiegła oczywiście Gilda, a za nią kilka innych kóz, zanim znowu opuścił klapę. Larkin wykonała ten sam manewr z drugim wejściem. Mabel prowadziła drugą grupę kóz, które od razu wsunęły łebki do wiader z ziarnem, wesoło merdając krótkimi ogonkami.

- Przecież dopiero co jadły - powiedziała Larkin, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- To była dopiero przystawka - wyjaśnił Christopher i uruchomił zapadki blokujące kozy na ich stanowiskach do dojenia. - Teraz jeszcze szybka dezynfekcja dla zachowania higieny - wyjaśnił. Podszedł po kolei do każdej kozy z naczyniem

wypełnionym roztworem dezynfekcyjnym, by odkazić im wymiona. - Świetnie, a teraz jeszcze musimy usunąć stare mleko z wymion.

- Musimy? Co masz na myśli?

- Utwórz z kciuka i palca wskazującego kółko. Świetnie, a teraz dokładnie to samo zrób na wymieniu, tylko dołóż jeszcze resztę palców.

Larkin wykonała jego polecenie, choć kosztowało ją to sporo emocji. Wymię było gładkie i ciepłe.

- Jeszcze wyżej, nie bój się, Mabel jest wyjątkowo potulna. Nie kazałbym ci doić Gildy.

Gilda, usłyszawszy swoje imię, wierzgnęła tylnym kopytem. Za to Mabel spokojnie przeżuwała i tylko odwróciła się i spojrzała na Larkin, jakby chciała zapytać, dlaczego to tak długo trwa. To zmobilizowało Larkin, która zacisnęła palce i patrzyła tryumfalnie, jak do kubka spływa mleko.

- Udało mi się - zawołała z dumą. Nigdy by się nie spodziewała, że ją, jako modelkę, po zaliczeniu znanych wybiegów i zdjęciach w magazynach mody, będzie tak ekscytować dojenie kozy.

- Dobra dziewczyna. - Christopher poklepał Mabel, idąc do drugiej grupy kóz.  
- Teraz drugie wymię, a jak skończysz, podłączymy dojarkę.

Patrzyła, jak zakłada na kozie wymiona przezroczyste przewody, przez które niemal natychmiast zaczęło płynąć mleko do szklanej kuli.

- Ale fajnie! - zawołała Larkin. - Popatrz tylko!

- Wierz mi, że gdy robisz to dwa razy dziennie przez pięć lat, przestaje to być aż takie ekscytujące.

- Ale czasem...

- Czasem może tak.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, a potem on niebezpiecznie blisko pochylił się nad nią.

- Nie musisz przypadkiem doić kóz? - spytała niewinnie.

- Tak, Tallulah czeka.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak zmęczona. Nigdy. Miała wrażenie, że od jej przyjazdu na farmę minęło już wiele tygodni. Jak na ołowianych nogach dotarła po schodkach do kuchni, potykając się w wejściu.

- Uważaj - podtrzymał ją Christopher.

- Musiałabym w tym celu otworzyć oczy, a nie jestem w stanie.

- A gdzie się właściwie zatrzymałaś?

- Nie mam pojęcia.

- Nie pomyślałaś o tym.

- Jakoś nie pomyślałam - powiedziała, ziewając - ale na pewno coś znajdę. A gdzie tu jest najbliższy hotel?

- W Montclair, ale w tym stanie nie możesz tam jechać.

- To będę spała w samochodzie.

- Zostaniesz tutaj, chodź ze mną - powiedział, zabierając jej z ręki torbę.

- Chyba poza pracą nie muszę ciebie słuchać jak niewolnica?

- Będziesz spać w pokoju gościnnym, a nie w moim łóżku. Nie molestuję śpiących kobiet, wolę, kiedy są w pełni świadome tego, co się dzieje.

Larkin chciała mu się jakoś odgryźć, ale nie miała siły się z nim kłócić.

- Zostanę tutaj, jeśli mi obiecasz, że będę mogła wziąć prysznic.

- Możesz wziąć nawet gorącą kąpiel, jeśli tylko nie zaśniesz po drodze.



## Rozdział 11

Ta robota nigdy się tu nie kończy, pomyślała zrozpaczona Larkin. Ledwo wydoiło się jedną grupę kóz, następne dobijały się już do środka.

- Robię, co mogę! - krzyknęła i podeszła, by otworzyć klapę i wpuścić do dojami kolejne kozy. - Staram się przecież pospieszyć - tłumaczyła im, ale kozy zignorowały jej słowa. Wpadły do środka, omal jej nie taranując, i pędem rzuciły się do wiader z ziarnem. Trudziła się z rurkami i węzami, a walenie w ścianę stawało się coraz głośniejsze. Po chwili, gdy uniosła wzrok, z przerażeniem stwierdziła, że ściana zaczyna falować, dał się słyszeć głuchy trzask i klapy odpadły z hukiem.

Ktoś głośno pukał do drzwi. Obudziła się.

- O rany... - mruknęła pod nosem.

Przez zmrużone oczy ujrzała światło dnia.

- Hej, księżniczko, pora wstawać! - rozległ się głos Christophera.

Jęknęła zrozpaczona. Miała ochotę go zamordować i powstrzymywały ją tylko dwie rzeczy: to, że musiałyby otworzyć oczy i że miała potwornie obolałe ciało.

- Nie mogę się ruszyć, musiałam sobie nadwreżyć mięśnie.

- Wcale nie wątpię, to był w końcu twój pierwszy dzień na farmie. Ale teraz pora już wstawać. Przyniosłem ci kawę. Im wcześniej się rozruszasz, tym lepiej. - Rzucił jakiś tobolek na jej łóżko.

- Co to takiego? - wymamrotała.

- Dżinsy, czysta koszula i skarpety.

W odpowiedzi Larkin naciągnęła kołdrę na głowę. Na dworze piał przeciągle kogut, któremu towarzyszył apodyktyczny kozi chór.

- Wstawaj, robota czeka - nalegał Christopher. - Jeżeli nie dotrzemy do zagrody w ciągu piętnastu minut, rozniosą ją.

- A gdzie jest Decke?

- Karmi świnie. - Christopher spojrział na Larkin podejrzliwie. - Masz ty w ogóle coś na sobie?

Larkin podciągnęła kołdrę aż po brodę.

- Żebyś mi tu tylko nie wpadał na jakieś głupie pomysły... Nie szukam towarzystwa.

- Świetnie - powiedział Christopher i jednym ruchem zdarł z niej kołdrę. - W łazience czeka czysty ręcznik i szczoteczka do zębów - oznajmił, po czym ruszył w stronę drzwi.

Larkin krzyknęła wkurzona.

- Ładne masz nogi - rzucił przez ramię, wychodząc.

Odburknęła mu pod nosem, że nikt go nie pyta o zdanie.

- Tylko bez narzekania, pamiętasz?

- To nie było narzekanie, tylko stwierdzenie faktu! - krzyknęła za nim.

Przynajmniej przyniósł jej kawę. Upiła duży łyk i powoli wypełzła z łóżka. Koszulka, w której spała, było o kilka numerów za duża. Schyliła się, by pozbierać ubrania z podłogi i zawyla z bólu. To dziwne, ale bolały ją mięśnie, o których istnieniu nawet nie wiedziała.

- Sadysta - wymamrotała.

- Słyszałem to! - krzyknął przez otwarte drzwi, a dopiero po chwili rozległy się na schodach jego kroki.

Czyżby ją podsłuchiwał?

Gdy Larkin chwiejnym krokiem weszła do kuchni, on kończył właśnie czytać gazetę.

- Kawy - westchnęła półżywa.

- Częstuj się. - Wskazał jej ekspres. - Chyba już trochę lepiej?

- Nigdy w życiu nie byłam taka obolała.

- Na kuchence masz jajka i tosty. - Już miał powiedzieć, żeby wzięła się w garść, bo drugi dzień jest zawsze najcięższy, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie

będzie jej tego mówił. Niech sama odkryje tę smutną prawdę. Patrzył, jak nieprzytomna podchodzi do stołu. Gdy usiadła, położył przed nią gruby katalog.

- Co to takiego?

- Lektura przy śniadaniu - odparł. - Moda dla farmerów, dostarczają towar z dnia na dzień.

- Nie lepiej, żebym pojechała coś kupić do najbliższego sklepu? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Nie ma na to czasu, trzeba wydoić kozy.

- A potem?

- A potem trzeba jechać na targ.

- Na targ?

- Tak, nie miałyby sensu robić sera bez możliwości sprzedaży. A teraz pospiesz się, musimy do ósmej zakończyć dojenie, inaczej cały plan weźmie w łeb. Masz pięć minut.

- Ale przecież miałam przejrzeć katalog i zamówić jakieś ciuchy.

- W takim razie zrobisz to wieczorem, są czynni dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pożyczę ci coś...

- Świetnie. A czy wiesz, że każdy pracownik ma prawo do dwóch przerw w ciągu dnia? Tym bardziej, jeśli pracuje czternaście godzin dziennie.

- Czy chcesz powiedzieć, że już zaczynasz narzekać?

- Nie, tylko żądam przestrzegania ogólnie przyjętych zasad. Nie powinieneś łamać prawa pracy.

- Chcesz tu robić za przedstawicielkę związków zawodowych? - Uśmiechnął się sarkastycznie.

Wstawiła talerz do zlewu, odwróciła się i skrzyżowała ramiona.

- Międzynarodowe Stowarzyszenie Dojarzy Kóz nie spocznie, nim jego członkowie nie będą sprawiedliwie traktowani.

- Albo się mylę, albo jęczysz.

- Wcale nie, to w twoim dobrze pojętym interesie. Jeżeli będziesz dbał o swoich pracowników, również kozy będą szczęśliwsze. A wtedy i ser będzie znacznie smaczniejszy i zdrowszy.

- Rozumiem. - Podeszedł do zlewu, by opłukać swój kubek po kawie. - Chcesz przez to powiedzieć, że szczęście moich kóz zależy od tego, czy zrobisz zakupy i kiedy rozpoczniesz pracę?

- Nic z tych rzeczy, kto tu mówi o takich ekstremach? - odparła z pokorą. - Chodzi tylko o to, żeby pracownicy mieli prawo do zaspokojenia swoich podstawowych potrzeb, jak na przykład przerwa na lunch, żeby mogli poskubać skórkę od chleba i zakupić jakieś łachy, w których będą mogli harować bez wytchnienia.

- Łachy? - Spojrzał zdziwiony na katalog.

- No, te tam, koszule flanelowe.

- W porządku, w takim razie pójdę już doić kozy, a ty będziesz miała chwilę na zamówienie ubrań. Ale za to ty dziś gotujesz.

- Mam gotować? - zapiszczała Larkin.

- Owszem, chodzi o kolację. Znasz takie słowo?

- Naturalnie, że znam, ale...

- Ale co? Zobowiązałaś się, że będziesz wykonywać moje polecenia. Już zapomniałaś?

- Wiem, ale na farmie - oburzyła się Larkin.

- A czy nie jesteśmy na farmie? - zapytał, wskazując przez okno pastwisko.

- Ale jestem tu gościem.

- Nie, stażystką i masz robić to, co akurat jest konieczne. Ja gotowałem wczoraj, więc dziś twoja kolej.

Targ to chyba niewłaściwe określenie, pomyślała Larkin. Przypominał bardziej kolorowy festiwal. To tak, jakby puste pole zastawiono kolorowymi straganami i w ten sposób zmieniono w olbrzymi bazar. Sprzedawcy oferujący

pomidory, paprykę i inne warzywa i owoce przeplatali się z kupcami wystawiającymi biżuterię, portfele i ręcznie wyrabiane dywany. Był tam nawet masażysta.

Na scenie muzycy stroili swoje instrumenty. Wszystko to jednak nic w porównaniu z tym, co dostrzegła dopiero teraz. Była to niewątpliwie najwspanialsza część tego targowiska: jej oczom ukazał się cały rząd stoisk sprzedających bosko pachnące potrawy. A więc nareszcie będzie mogła zjeść coś porządnego! Niektórzy sprzedawcy szczególnie starali się o wizerunek, prezentując swoje wyroby w przeszklonych ladach. Tu i ówdzie można było zobaczyć nawet ich stylowe wersje ze stalowymi okuciami i rzeźbieniami. Nie było tu zwykłych rolników, którzy sprzedawali swoje produkty w zwykłych skrzynkach czy łubiankach prosto z samochodu czy ciężarówki. Ten targ był prawdziwym wydarzeniem.

Christopher rozstawił swoje stoisko i przerzucił przez ladę baner z napisem: Doe Si Doe Farm. Miał jeden atut, którego nie miał nikt inny, a mianowicie Tallulah.

- To strażniczka dobrego imienia firmy - powiedział. - Dotrzyma ci towarzystwa. Tak się ze sobą zaprzyjaźniłyście, więc pomyślałem, że będziecie za sobą tęsknić, jak was rozdzielę. - Przywiązał kozę na grubym sznurze nieopodal stoiska i postawił przed nią miskę z wodą.

Tallulah potrzebowała zaledwie kilka minut, żeby wyjść całą trawę dokoła straganu. Musiała chyba dojść do wniosku, że stała się ulubienicą i rozentuzjasmowana przyglądała się, jak Larkin i Christopher wypakowywali słoiki z syropem klonowym i czymś tam jeszcze. Na wszystkich produktach widniał napis: Trask Farms.

- Te słoiki to od Jacoba? - zapytała.

- I od ciotki Molly. Bardziej opłaca nam się dzielić jedno stanowisko, niż wynajmować osobne. Co jakiś czas się wymieniamy. Służby sanitarne przywiązują tu bardzo dużą wagę do higieny, to jest do dezynfekcji rąk i używania jedno-

razowych rękawiczek, a ja bardzo dużą wagę przywiązuję do tej instytucji. Tak więc chciałbym być pewien, że stosujesz się do tych zaleceń.

Teraz przyszła kolej na sery, które miały kształt małych piramidek starannie opakowanych w folię z napisem Doe Si Doe. Były ich całe tuziny.

- Kiedy zdażyłeś to wszystko zrobić? - zapytała Larkin.

- Wczoraj wieczorem, kiedy ty już smacznie spałaś.

Na stół powędrowały porcjowane suszone owoce i orzechy.

Była już co najmniej dziewiąta wieczorem, pomyślała ze zdziwieniem Larkin, patrząc, jak on zwinnymi ruchami wyjmuje kolejne klonowe słodycze. Wolą jednak nie przyglądać się zbyt długo jego dłoniom, bo aż nadto dobrze pamiętała ich dotyk. Teraz była tu po to, by wygrać z nim zakład i nic poza tym. Wciąż jednak jej myśli krążyły wokół wydarzeń na statku.

- Mogłam ci przecież pomóc...

- Doszedłem do wniosku, że potrzebujesz snu. To był dla ciebie długi dzień.

Za to teraz mam z ciebie pożytek. - Uśmiechnął się.

- A dlaczego nie wzięłeś ze sobą Decke'a?

- Decke dobrze się spisuje na farmie, ale nie jest zbyt kontaktowy. Wydaje mi się, że miał kiedyś poważny problem alkoholowy. Wziął się w garść przed kilkoma laty, więc stwierdziłem, że dam mu szansę, zwłaszcza że moje stado zaczęło się ładnie rozrastać.

Decke nie miał więc za sobą wielkiego doświadczenia zawodowego, a jednak Christopher przymknął na to oko.

- To bardzo miło z twojej strony, niewielu by to zrobiło.

Christopher pochylił się, żeby przeszukać chłodziarkę.

Zupełnie jakby był zakłopotany, pomyślała.

- Ludzie potrzebują takiej szansy, żeby się zmienić. Poza tym udało się, zawsze mogłem na niego liczyć i tylko dzięki niemu możliwy był ten rejs.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad tym, jak mogłeś wypuścić się stąd na cały tydzień i zostawić wszystko na jego głowie, skoro od rana do nocy jesteś zajęty. Kiedy ostatnio byłeś na urlopie?

- Kiedy? Chyba na rok przed kupieniem farmy. Pojechałem wtedy na południe Francji i to tam zacząłem o tym wszystkim rozmyślać.

Ciekawe, czy sam, czy z kimś, przemknęło Larkin przez głowę. A co mnie to obchodzi, przecież to nie moja sprawa, ofuknęła się w duchu.

- W takim razie po pięciu latach takiej pracy bez wątpienia przydały ci się te wakacje.

- Właściwie to kompletny przypadek, wcale tego nie planowałem, ale żona mojego kuzyna zaszła w ciążę i nie mogli jechać, więc niespodziewanie zwolniło się miejsce.

Jakie wtedy wszystko byłoby inne, pomyślała Larkin, gdyby nie było na statku rodziny Trasków, ich przyjaznych twarzy i miłego towarzystwa, które pomogło zbliżyć się jej i Carterowi. I gdyby nie było Christophera Traska i jego pocałunków...

Teraz to jednak jest już całkowicie bez znaczenia.

Larkin z całą stanowczością odepchnęła od siebie te myśli, nie chciała się jeszcze bardziej denerwować. Prawdę mówiąc, powinna być teraz w LA, a nie stać na środku jakiegoś pola przy straganie i handlować płodami rolnymi. To przecież LA było jej prawdziwym światem, to tam było życie, które wybrała. A to życie, tutaj na farmie, było tylko jakimś krótkim i całkiem przypadkowym incydentem i nie należało o tym zapominać.

Christopher ustawił na straganie deskę ze szklaną kopułą i zaczął układać serowe piramidki.

- Żeby skutecznie sprzedać towar, trzeba go pozwolić ludziom spróbować. Mamy tu kozią fetę i dojrzały kozi ser przypominający ser brie, piramidki zwykłego sera koziego i tego z czosnkiem i estragonem.



- Z czosnkiem i estragonem? Ale wymyślne...

Christopher nałożył trochę zwykłego sera na krakers.

- Powinnaś wiedzieć, co sprzedajesz. Proszę, spróbuj - powiedział, wsuwając jej krakers do ust.

Ser miał podobny ostry zapach do tych, które znała ze sklepu, ale był od nich znacznie delikatniejszy w smaku, niemal jedwabisty. Ale Larkin odnotowała to tylko niemal w przelocie, bo tak naprawdę każda komórka jej ciała skupiona była na dotyku jego ręki, kiedy musnął palcami jej wargi, dając do spróbowania ser.

Christopher, biorąc kolejnego krakersa, patrzył na nią.

- Teraz spróbuj ten z czosnkiem i estragonem.

Tym razem dotknął opuszkami palców jej policzka. Zdażyła jednak zauważyć różnicę w zapachu sera. Miał delikatną nutę pieczonego czosnku i ziół. Larkin oblizwała wargi.

- A oto smak koziego brie.

Po chwili w jej ustach rozszedł się niepowtarzalny aromat i smak, ale to nie tego smaku pożądała. Wolałaby poczuć smak jego ust, jednak nie mogli przecież zacząć się całować tutaj, na środku targowiska. Dobrze o tym wiedziała. Nie powinna nawet tego chcieć.

On jednak musnął jej dolną wargę kciukiem, a drugą dłonią odgarnął kosmyki włosów, które opadły jej na czoło, po czym powoli pochylił się i złożył delikatny pocałunek na jej ustach. Zadrżała. Potrafił tak bardzo zawładnąć jej zmysłami, że wyłączała rozum i czuła się całkowicie bezbronna. Nie wykorzystywał tej sytuacji, był delikatny jak nikt dotąd. Więc jak to się działo, że czuła jego dotyk wszędzie, gdy on wciąż nie mógł oderwać się od jej ust. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, ale jego ręce były spokojne. Tak jakby myślał, że jest w stanie ją obezwładnić samym pocałunkiem wystarczała mu, aby czerpać rozkosz z tego, co się działo.

Larkin poczuła, jak wstrząsnął nim dreszcz.



Za ich plecami rozległ się dźwięk dzwoneczka zawieszzonego na szyi Tallulah.

- Potem dokończymy - szepnął i odsunął się.

Na targowisku zaczęli się kręcić pierwsi klienci i Larkin musiała nad sobą zapanować. Nie przyjechała tu przecież po to, żeby kontynuować romans, ale żeby ratować Cartera przed zrobieniem głupstwa.

Do ich stoiska podeszła kobieta.

- Poproszę ser z ziołami - powiedziała.

Larkin nie była wcale pewna, czy poradzi sobie lepiej niż Decke w kontakcie z klientami, ale gdy zaczęło napływać więcej ludzi, zaskoczyła samą siebie.

Christophera chyba też, bo z uznaniem w oczach przyglądał jej się, gdy sprzedawała produkty.

- Kiedy wykładaliśmy towar, byłam pewna, że przywiozłeś go o wiele za dużo, a teraz wydaje się, że jest tego za mało.

- Bo dobrze sobie radzisz z ludźmi i potrafisz ich zachęcić do zakupu - powiedział Christopher z zadowoleniem.

- Może byłabym jeszcze bardziej wydajna, gdybyś zatrudnił mnie na umowę, no wiesz, bardziej mnie zmotywował...

- A o jaką konkretnie motywację ci chodzi?

Oddychaj, głęboko oddychaj, powtarzała sobie w duchu Larkin.

- Mamo, piesek - zawołał mały chłopiec, który stanął przed Tallulah.

- To nie piesek - uśmiechnęła się do malca Larkin - ale kózka. Ma na imię Tallulah. Powiesz jej cześć?

Tallulah zameczała i chłopiec zaczął rozkosznie chichotać.

- Mama - zawołał - to kózka!

Jego mama, wysoka brunetka w szortach i sandałach, podała Christopherowi kilka banknotów i wsadziła ser do torby.

- Możesz ją pogłaskać, jeśli twoja mama się zgodzi - powiedziała Larkin, patrząc pytająco na kobietę.

A gdy ta kiwnęła głową, Larkin pierwsza pogłaskała Tallulah, a potem pogładził ją chłopczyk.

- Musimy już iść. - Mama wyciągnęła rękę do chłopca.

- Ale ja chcę do kózki...

- Następnym razem, ale teraz już chodź.

Mały jeszcze raz pogłaskał Tallulah i zawołał:

- Pa, pa, kózko! - i pomachał jej na pożegnanie.

- No i tak to się zaczyna - pokiwał głową Christopher. - Dzieciak już kupiony.

Teraz wyrośnie z niego koziarz bez grosza w kieszeni.

- Są na świecie gorsze rzeczy - powiedziała Larkin.

- Można spróbować tego serka? - rozległ się nagle znajomy głos.

- Dzień dobry, ciociu Molly - ucieszył się Christopher.

No tak, Molly Trask, pomyślała Larkin, powinnam była się spodziewać, że prędzej czy później ją tu spotkam. W końcu dzieliła stoisko z Christopherem. Mimo to nie zastanawiała się nad tym, co powie, gdy ją spotka. Rozmyślała raczej o tym, że jeśli Carter faktycznie postanowił wszystko rzucić, to powodem mogła być jedynie Molly Trask. W ten sposób stała się jedną z wielu w szeregu kobiet, którymi się interesował, odkąd zmarła jej matka, a jednak... A jednak w jakiś sposób lubiła tę kobietę, pomimo że z niepokojem patrzyła, jak Carter znowu zapędza się w ślepią uliczkę. Trudno jej było zrozumieć sprzeczne emocje, jakie budził w niej Christopher, więc tym bardziej nie wiedziała, co ma sądzić o Molly.

- Miałś sobie dzisiaj wziąć wolne - powiedział, gdy wydał klientowi resztę, a ten oddalił się. - Dziś przecież nasza kolej.

- Nie przyszedłam tu dziś do pracy, tylko na zakupy. - Uśmiechnęła się. -

Szukam ciekawych roślin do ogrodu. Poleć mi też jakiś dobry serek, bo będę miała gościa na kolacji. Dobry Boże - powiedziała nagle, dostrzegłszy Larkin. - To naprawdę ty?

Larkin poczuła zakłopotanie.

- Witaj, Molly, miło cię widzieć. - Pogłaskała jeszcze raz Tallulah i podeszła, żeby się przywitać.

- Ciebie również bardzo miło widzieć, chociaż muszę przyznać, że to niespodzianka. Czy twój ojciec wie, że tu jesteś?

- Jeszcze nie - powiedziała Larkin zmieszana. - Słyszałam, że wpadł tu z wizytą. - Przynajmniej nie tylko ja będę się rumienić, pomyślała, patrząc, jak twarz Molly nabiera kolorów.

- Tak, w zeszłym tygodniu - odparła Molly, bawiąc się paskiem od torebki. - To było dla mnie ogromnym zaskoczeniem...

Było coś uroczego w tej jej nieporadności.

- Słyszałam, że bardzo go urzekła ta okolica. - Z tobą na czele, dodała w myślach.

- Och tak, wciąż mówił o przeprowadzce i prowadzeniu farmy, ale chyba nie należy tego traktować zbyt poważnie. Przecież już ułożył sobie życie w mieście. Nie chodzi o to, żebym go miała zniechęcać do tej przeprowadzki, bo tu jest bardzo pięknie, ale nie wiem, czy Carter byłby tu szczęśliwy, bo nie wiem, czego on szuka na dłuższą metę. - Uśmiechnęła się niepewnie.

- Może trzeba mu pomóc to odkryć?

- To po to tu przyjechałaś? Rozumiem, chcesz mu pomóc podjąć właściwą decyzję. Chciałaś się z nim zobaczyć, a on ci uciekł do Nowego Jorku. Ale za to spotkałaś Christophera...

Larkin, coraz bardziej zakłopotana, zatrzepotała rzęsami. Była przyzwyczajona, że kobiety Cartera miały zawsze swój plan na przyszłość i dążyły do tego, żeby ją w jakiś sposób odizolować. Ale nie była przyzwyczajona do prowadzenia z nimi rozmów, wynikających z troski o niego.

- Właściwie chciałam porozmawiać z Carterem... - Choć nie była już niczego pewna. Może jednak chodziło jej cały czas o Christophera?

Na twarzy Molly pojawił się uśmiech.

- To miło wiedzieć, że pomagasz Christopherowi - powiedziała ciepło. - On bardzo ciężko pracuje.

- Proszę mi wierzyć, po dwóch dniach wiem już dokładnie jak ciężko.

- A gdzie się zatrzymałaś?

- U mnie w pokoju gościnnym - wyjaśnił Christopher.

- Och, czyż nie jest uroczy? Mieszkałam tam jakiś czas, jak u nas był remont.

To najładniejszy pokój w całym domu. I ta olbrzymia hortensja pod oknem...

- To ta olbrzymia roślina z niebieskimi kwiatami? - zapytała Larkin.

Molly rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Tak, potrzebują żelaza, żeby nabrały intensywnego koloru. Opiekowałam się ogrodem Chrisa przez ostatnich kilka lat. Mogę ci pokazać...

- Tu jest twój ser, ciociu Molly - przerwał jej Christopher. - Za godzinę kończy się targ, więc jeśli chcesz jeszcze coś kupić, nie masz zbyt wiele czasu.

Molly spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Cóż, Larkin, nie wiem, jak długo planujesz tu zostać, ale może któregoś dnia mogłybyśmy zjeść razem lunch. Z przyjemnością poznam cię nieco bliżej - powiedziała i serdecznie poklepała ją po dłoni.

- Ja również. - Larkin zdała sobie sprawę, że mówiła to szczerze.

- Wpadnij, gdy tylko będziesz miała ochotę. Cieszymy się, że jesteś tu z nami.

- Bardzo dziękuję, ja także się cieszę. - Znowu ze zdziwieniem zauważyła, że i to było szczerze.

- Ależ tam było dziś pełno! - powiedziała Larkin, gdy weszli do kuchni. - Zawsze tak jest?

- Na ogół tak, targ cieszy się dużą popularnością.

- Masz wielu stałych klientów, to musi być przyjemne uczucie.

Odstawili torby na kuchenny stół.

- To co jest dziś na kolację? - Christopher zajrzał do jednej z toreb. - Krem do ciasta? To chyba nie do chleba?

- No wiesz, kobieta ma pewne potrzeby, których mężczyzna nigdy nie zrozumie - powiedziała i wyjęła mu z ręki słoik z kremem.

Christopher raz jeszcze zanurzył rękę w torbie i tym razem wyciągnął jasnoniebieski szal z wyhaftowanymi kwiatami.

- To chyba też nie do jedzenia.

- To pożywienie dla ducha...

- Rozumiem, a czy mamy też jakieś całkiem konwencjonalne pożywienie?

Przecież ostatnie pół godziny spędziłaś na targu, żeby kupić coś na kolację.

- Oczywiście, że tak! - Larkin pokiwała entuzjastycznie głową.

Patrzył, jak wyjmuje z toreb kartony i aluminiowe opakowania.

- Co to takiego? - zapytał. - Miałas kupić coś na kolację.

- I zrobiłam to! Kupiłam tajske placuszki, ryż z muszlami, potrawę z kurczaka i na deser baklavę. Są też składniki na sałatkę.

Christopher z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Miałas kupić coś do ugotowania.

Larkin rozłożyła ręce.

- Sam mnie wysłałeś na zakupy. A ja jestem posłuszna i wykonuję zgodnie z naszą umową wszystkie twoje polecenia. Powiedziałeś: zrób zakupy na kolację? Tak czy nie?

- Tak, ale... - Christopher poddał się. - Powiedziałem.

- Super, a więc to są zakupy.

- Powiedz, czy kiedykolwiek ugotowałaś coś w swoim życiu? - zapytał, szczerze rozbawiony.

Larkin włożyła produkty do lodówki i uśmiechnęła się szeroko.

- Świetnie mi wychodzą dania na wynos. A teraz chodźmy doić kozy.

## Rozdział 12

Christopher otworzył bramę na najwyżej położonym pastwisku i przepuścił część stada. Dwa pastwiska poniżej to samo robiła Larkin. Jej włosy lśniły w promieniach słońca. Jeszcze kilka dni temu sądził, że Larkin zniknie stąd prędzej, niż się pojawiła. A tymczasem minęło już półtora tygodnia, a ona zrzuciła swoje modne pantofelki i sukienki dla roboczego kombinezonu, koszulek z krótkim rękawem, ciężkich skórzanych rękawic i, co więcej, kaloszy. Nawet teraz wyglądała pociągająco i seksownie. Jeśli miesiąc temu ktoś by mu powiedział, że Larkin Hayes przepracuje na jego farmie niemalże dwa tygodnie bez jęczenia, to pomyślałby, że ten ktoś zbyt długo siedział na słońcu. I gdyby ktoś powiedział mu, że będzie spała z nim pod jednym dachem, ale nie w jego łóżku, uznalby, że ten ktoś żarty sobie robi z niego.

Najwyraźniej tradycje rycerskie w Vermont miały się jeszcze dobrze, choć musiał przyznać, że czasami czuł się tak, jakby miał kamienie w żołądku. Z początku chciał znaleźć dla niej hotel, ale potem wydało mu się to bez sensu. Była na miejscu, zwłaszcza że tego miejsca było akurat dużo. Lepiej, myślał, żeby mogła zaraz po ciężkiej pracy wczołgać się do swojego łóżka. Wiedział, że na początku to nie jest bułka z masłem. Organizm musiał się przyzwyczaić do innego trybu życia i do wysiłku. A więc dla niej to bezsprzecznie lepsze rozwiązanie, ale dla niego...

Pożądanie nie opuszczało go ani w dzień, ani w nocy. Zawsze czekał, aż zaśnie, żeby przypadkiem nie zobaczyć jej prosto po kąpieli w kusej koszulce. Niewiele trzeba było, żeby zedrzeć z niej ten strój...

Poczuł, jak przeszywa go prąd i szybko cofnął ręce. Elektryczny pastuch wymagał choć minimalnego skupienia, ale trudno mu było nie myśleć o kobiecie, która wzbudzała w nim takie uczucia, skoro pracowała u jego boku od wschodu do zachodu słońca. A na dodatek z uporem i zacięciem wykonywała swoją robotę. Gdy tylko brał się za coś, natychmiast chciała robić to samo. Założył się z nią, bo był

przekonany, że ostatecznie zakończy to ich relacje. Nawet mu nie przyszło do głowy, jak mu to umili codzienność. To było coś więcej niż tylko kolejna para rąk do pomocy. Jej obecność oznaczała uśmiech na twarzy, optymizm i szczerzy zachwyty wszystkim, co ją otaczało. Kiedy była obok niego, nabierał całkiem innego, świeżego spojrzenia na farmę. Smakował każdy moment i czekał na każdy kolejny dzień. Nie powinien się do tego przyzwyczajać, bo niedługo jej ni nie będzie. Nie wolno mu było o tym zapominać.

Dobra manikiurzystka miałby tu co robić, pomyślała Larkin, pochylając się nad kopytem jednej z kóz. Co najwyżej nie mogłaby liczyć na napiwek i nie nasłuchałaby się ciekawych historyjek o złamanym sercu. Ale nie wszystkie kozy były potulne i miłe jak Tallulah i żeby oczyścić im kopyta potrzeba było kilku osób. Po trzech dniach tego koziego manikiuru Larkin przyłapała się na marzeniach na temat tipsów. Wyszła na podwórko i usłyszała coś, co przypominało krzyk czy śmiech dzieci, jaki zwykle dobiega z placu zabaw. Kątem oka dostrzegła, jak coś przelatuje po niebie. Owszem, była zmęczona, ale nie na tyle, żeby mieć omamy. To, co widziała, do złudzenia przypominało latającą kozę. Odwróciła na chwilę wzrok, a gdy spojrzała ponownie, znowu zobaczyła małą czarną kózkę szybującą w powietrzu i szykującą się do lądowania na trawie. Po chwili zobaczyła kolejną.

- Ale cyrk - wymamrotała pod nosem i zaczęła się głośno śmiać.

Kozy wykonywały skoki ze skały położonej na środku pastwiska, zupełnie jak dzieci na placu zabaw. Patrzyła zafascynowana, jak wdrapują się na skałę, przez moment rozkoszują się wysokością, a następnie radośnie rzucają się na dół. Przez chwilę leciały z wyprostowanymi nogami i ogonami, przypominając amatorów skoków narciarskich, tyle że bez nart. A najbardziej zabawne w tym wszystkim, co sprawiło, że śmiała się do łez, był fakt, że ustawiały się w kolejce do tej zabawy. Nie przepychały się i nie starały się udowodnić sobie nawzajem, która z nich jest najlepsza, tylko zwyczajnie stały grzecznie i czekały na swoją kolej.



- No i znowu uprawiają sporty ekstremalne - odezwał się Christopher zza jej pleców.

- Czyżbyś je trenował? - Larkin przetarła oczy.

- Skąd, to wszystko ich pomysły, a Rufus to kandydat do złotego medalu.

Myślałem, żeby go zgłosić w tym roku na prawdziwe zawody.

Przez chwilę patrzyli w milczeniu, jak niepozorna, pręgowana kózka skacze z nogami wyciągniętymi na wszystkie strony.

- To jest jak mała ekipa cyrkowych komediantów - powiedziała Larkin. - Wiedziałeś o tym, że one tak skaczą, zanim zająłeś się farmą?

- Nie do końca, bo jestem właściwie dzieckiem miasta. To moi dziadkowie mieli małe stado bydła na północ od Nowego Jorku. Zwykle odwiedzałem ich latem, aż do trzynastego roku życia. Zwierzęta były w tym wszystkim najfajniejsze.

- Ale czemu w takim razie wybrałeś akurat kozy?

- Bo chciałem robić ser, a poza tym doszedłem do wniosku, że łatwiej będzie zajmować się kozami niż bydłem.

- To bardzo praktyczne podejście - powiedziała.

- Trzeba myśleć praktycznie, jeśli chce się przetrwać w tym biznesie. Poza tym po prostu przepadam za nimi, to naprawdę mądre zwierzęta, reagują na swoje imię i są bardzo wytrzymałe.

Patrzyli, jak Rufus rzuca się ze skały, obracając się przy tym w powietrzu.

- Czasami są też szalone i to chyba podoba mi się w nich najbardziej. Kiedyś zostawiłem otwarte drzwi do ciężarówki i kilka z nich wdrapało się do kabiny po to, żeby popatrzeć sobie przez przednią szybę.

- Jak trzecioklasiści - zaśmiała się Larkin.

- Pierwszoklasiści - sprostował. - Musiałem przyciąć wiele drzew na łące, żeby nie było zbyt dużo rozwidleń. Inaczej, któregoś dnia, żadnej z nich nie znalazłbym na ziemi. Kochają wdrapywać się na drzewa.

- Faktycznie zupełnie jak dzieci.



- Tak, są jak kłown klasowy, który robi różne głupoty dla samej frajdy.

Dostrzegła w jego oczach błysk, którego nie umiała za bardzo zidentyfikować. Farma i toczące się na niej życie stały się jego rzeczywistością, to było oczywiste, i poświęcał temu całą swoją uwagę. Każde ze zwierząt stanowiło dla niego ważne indywiduum.

- Już chyba rozumiem, co cię w nich tak fascynuje - powiedziała. - Mają charakter i nie obawiają się go demonstrować. A do tego są naprawdę zabawne. To dziwne - Larkin spojrzała na niego uważnie - myślałam, że jesteś ekstrawertykiem. Jak w ogóle udało ci się przetrwać tyle czasu w Waszyngtonie?

- Może to właśnie te wszystkie lata tam spędzone sprawiły, że nie jestem zbyt towarzyski.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak się lansuje z ulizaną fryzurą i chytrym uśmiechem. Czy to możliwe, żeby człowiek mógł się tak bardzo zmienić?

- To zabawne, bo zawsze uważałam, że tak naprawdę ludzie się nie zmieniają.

- A ja myślę, że jest inaczej, tylko trzeba dokonać świadomego wyboru.

Zrobiłem to nie tylko ja, ale i Decke również. Z tego wniosek, że mogą i inni, na przykład twój ojciec. Moim zdaniem ten, kto sądzi, że jest w stanie zmienić kogoś, śni na jawie. Ale za to jestem przekonany o tym, że każdy z nas może zdecydować o własnym życiu, o tym, kim chce być i jak żyć.

- I ty postanowiłeś zmienić się w dżentelmena hodującego kozy?

Christopher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzę, że awansowałem w twoich oczach. Jeszcze kilka tygodni temu byłem po prostu pastuchem.

- No wiesz... - zawiesiła głos.

- Co takiego?

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie chciałam cię wcale urazić...

- Właśnie, nie powinienem tego brać wtedy tak poważnie. Nie chciałem, żeby ten wieczór tak się skończył...

To były proste słowa, a jednak przyspieszyły bicie jej serca. Mimo że czasem ścinali się, to jednak pomiędzy spojrzeniami, wypowiedzianymi słowami, każdym oddechem było między nimi to... coś.

- Zastanawiałam się nieraz, co by było...

- Ja również. - Christopher wpadł jej w słowo. Wyciągnął do niej rękę, wsunął palec w jedną ze szlufek w spodniach Larkin i przyciągnął ją bliżej. - Wiele razy się zastanawiałem, co by było, gdybyśmy się znaleźli w cichym, odosobnionym miejscu. Zastanawiałem się, jakby to było kochać się z tobą w promieniach słońca... pieścić każdy centymetr twojego ciała...

Larkin zaschło w gardle. Ucichły wszystkie odgłosy dobiegające z oddali. Słyszała już tylko własny oddech i czuła ciepło jego dłoni, spoczywających na jej biodrach. Myślała tylko o tym, jakby to było znaleźć się całkiem nago w jego objęciach.

- Decke gdzieś się tu kręci - powiedziała cicho.

Znowu więc nie było to właściwe miejsce i właściwy czas. Po raz kolejny musiał zatamować tę falę pożądania, które towarzyszyło mu bezustannie dniem i nocą. Chociaż wystarczyło przecież wejść do środka i ta natarczywa myśl nie dawała mu spokoju. Czy nie mógł choć ten jeden raz rzucić wszystkiego i zabrać ją na górę? Tam spędziliby upojne, rozkoszne chwile i...

Świdrujący dźwięk klaksonu przywołał go do rzeczywistości. Obejrzał się i gwałtownie odsunął się od Larkin.

- Kto to? - zapytała półprzymkniętymi oczami.

- Wygląda na to, że wrócił Carter.

- Jesteś stażystką? - zapytał, gdy weszli do kuchni.

- To długa historia - wymamrotała niechętnie.

- Ja się nie spieszę - powiedział i odsunął krzesło.

Przed oczami miała cały czas jego zdziwioną twarz, kiedy ją zobaczył. Zdziwioną i jakby przerażoną. Najwyraźniej Molly nie pisnęła mu o niczym ani słówka, co sprawiło, że nabrała jeszcze większego szacunku dla matriarchatu panującego w rodzinie Trasków.

- Czego się napijesz? - zapytała. - Wody, kawy, herbaty... a może...

- Może kawy. - Carter przyglądał się, jak Larkin krząta się po kuchni. - Widzę, że czujesz się tu jak u siebie...

Wzruszyła ramionami.

- Jestem tu od ponad tygodnia. - Ale czy rzeczywiście chodziło tylko o spędzony tutaj czas? Wydawało się jej, że jest tu już znacznie dłużej. To jej wcześniejsze luksusowe życie w LA jakby w ogóle przestało istnieć, zastąpione przez pracę fizyczną przeplatana śmiechem i przez tak wiele nowych doświadczeń, że nie sposób było je zliczyć. Starła się nie okazywać skrepowania. - Przyjechałam tu zaraz po twoim wyjeździe. Martwiłam się o ciebie, miałam nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać.

- O czym?

Przyleciała tu z drugiego końca kontynentu, pełna sprzecznych emocji, wyklócając się z ojcem w myślach, ale teraz po spędzeniu na farmie tych kilku pracowitych dni, właściwie nie wiedziała już, co chciała mu powiedzieć.

- Chyba miałam nadzieję, że po rozwodzie z Celine poświęcisz trochę czasu na przemyślenia, a ty rzuciłeś się od razu w nowy związek, przekreślając cały swój dotychczasowy dorobek. Trochę mnie to zaskoczyło i przerażyło, bo to olbrzymia zmiana.

- Może w wieku sześćdziesięciu lat właśnie takiej odmiany potrzebuję - powiedział Carter. - W jego oczach malowało się wyzwanie i dobrze jej znany upór.

- Pytanie tylko, czy to dla ciebie dobre? Jesteś pewien, że to cię uszczęśliwi?

- Jestem pewien, że wiem, co mnie nie uszczęśliwi - odparł Carter powoli. -

Poza tym aż tak bardzo się to nie różni od tego, czym zajmowałem się do tej pory.

Bo przecież do tej pory dotowałem nowe inwestycje, które miały szanse powodzenia. To też jest nowa inwestycja, choć może innego rodzaju, bardziej przyziemna, że się tak wyrażę.

- I to w sensie dosłownym. - Przypomniało jej się, jak poprzedniego wieczoru wydłubywała brud spod paznokci.

- Nie ma w tym chyba nic złego, choć twoje ręce wyglądają nieco inaczej... Nie używasz rękawiczek?

Larkin spojrzała na zadrapania i obłamane paznokcie. Dziwne, że ten widok jej nie odrzucił, co zapewne by się stało jeszcze tydzień temu.

- Owszem, noszę rękawiczki, ale niektóre rzeczy trzeba zrobić gołymi rękami.

- To czemu tak bardzo przeszkadza ci myśl, że miałbym się zająć farmerstwem, że aż chciało ci się przylatywać z drugiego końca Stanów? Jak sama się tym zajmujesz, wszystko jest w porządku, pomijając fakt, dlaczego to właściwie robisz?

- Bo nie inwestuję w to małej fortuny i nie rzucam wszystkiego, tak jak ty to robisz.

- Wcale nie planuję tego na zawsze, poza tym nie sędzę, żebym aż tak wiele tracił. - Carter zamyślił się. - Kiedy patrzę dzisiaj wstecz na swoje życie, to jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to to, że za długo zajmowałem się tym, czym się zajmowałem, i że tak naprawdę na Manhattanie nie ma ani jednej osoby, za którą bym tęsknił. To miejsce tutaj wydaje mi się prawdziwe i ludzie tutaj są prawdziwi... a Molly...

- Jest wspaniała - dokończyła za niego. - Wiem, też ją lubię. Ale czy nie uważasz, że trochę się z tym wszystkim pospieszyłeś? Znasz ją dopiero trzy tygodnie i już chcesz się tu sprowadzać?

- Wcale nie zamierzam. W odróżnieniu od ciebie zatrzymałem się w hotelu w Montclair. - Zmrużył lekko oczy, patrząc, jak Larkin wyjmuje z szafki dwie filiżanki.

- Tak wyszło, ale żebyś sobie nie myślał... mieszkam w pokoju gościnnym. Poza tym mam już dwadzieścia siedem lat, tato. Ale mimo to powiem ci, że możesz być spokojny, nie wdaję się Christopherem w żadne bliższe relacje, jak ty z Molly.

- Jesteśmy przyjaciółmi, nic ponad to.

- A więc tak jak ja i Christopher.

- Sądząc po sytuacji, w której dziś was zastałem, mamy całkiem odmienne definicje tego słowa.

- To nie jest tak, jak sądzisz, ale jeśli coś się zmieni, pamiętaj, jestem już dorosła...

- No tak, to się stało bez mego udziału - powiedział z niejakim rozżaleniem.

- Ale jest jeszcze wiele przed nami, spójrz na to w ten sposób. Otrzymałeś nową szansę, by poznać i pokochać mnie na nowo. - Nachyliła się i pocałowała go delikatnie w czoło.

Carter uśmiechnął się.

- Robiłaś to zawsze wtedy, kiedy chciałaś pieniądze na ciuchy, pamiętasz?

Larkin podała mu filiżankę z kawą i usiadła.

- Skoro już poruszyłeś ten temat, jest taki fajny kombinezon w katalogu L.L. Bean...

Molly stała przy zlewie i myła paprykę. Gdy usłyszała pukanie do drzwi, odwróciła się i zobaczyła Cartera.

- Proszę, proszę, kto to wrócił - ucieszyła się i wytarła ręce w ręcznik.

- Lepiej, żebyś zamykała drzwi, ktoś może tu wejść...

- Na przykład ty. Nie miałabym wtedy miłej niespodzianki, a poza tym przed kim mam się kryć?

- Jesteś zbyt ufna.

- I to mi bardzo odpowiada. Napijiesz się mrożonej herbaty? Może usiądź już sobie na werandzie, a ja zaraz do ciebie przyjdę.

Na obszernej werandzie, która rozciągała się na całą długość domu, było bardzo przyjemnie. Kiedyś chłopcy rozwieszali sobie na niej hamaki, by spać tam podczas upalnych nocy. Teraz stały tam już tylko wiklinowe fotele. Zbliżał się wieczór, ale powietrze wciąż jeszcze było ciepłe.

- Babie lato to chyba moja ulubiona pora - powiedziała Molly śpiwnie, wchodząc na werandę. - Obok wiosny, oczywiście, no i może złotej jesieni.

- To miło przebywać z kobietą, która tak dobrze wie, czego jej trzeba do szczęścia. - Carter zagłębił się w jednym z foteli i wziął od Molly kubek z herbatą.

- W końcu należę do rodziny Trasków i mam już swoje lata.

- Jesteś urocza. - Spojrzał na nią z nieskrywanym podziwem. - Po drodze zajrzałem do Christophera.

- Aha... - pokiwała głową.

- Zastałem tam Larkin. Jak sądzę, wiedziałaś, że tu jest. - W jego głosie dał się słyszeć wyrzut. - Wiele razy rozmawialiśmy przez telefon... Nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

- Nie. - Molly odstawiła swój kubek na stół.

- Dlaczego, jeśli mogę zapytać?

- Bo uważałam, że to nie moja sprawa - odparła pewnym głosem. - Sądzę, że gdyby Larkin chciała, sama by ci powiedziała.

- Mam przez to rozumieć, że masz przede mną tajemnice z moją własną córką?

Molly spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

- Carter, więzy rodzinne to często bardzo skomplikowana rzecz, a relacja między tobą i Larkin może bardziej jest skomplikowana niż w innych rodzinach - powiedziała z namysłem. - Nie moją rolą jest, by oceniać, co powinno pozostać tajemnicą, a co nie. Macie za sobą długi okres milczenia, musicie się nauczyć rozmawiać i sobie ufać.

Carter zacisnął palce na poręczy fotela.

- Chciałbym móc tobie ufać.

- I możesz, także w tym względzie, że nie będę wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Chciałbym ufać, że powiesz mi to, co powinienem wiedzieć - odbił piłeczkę.

Już w połowie zdania Molly zaczęła kręcić głową.

- Gdybym ci powiedziała, że jest u Christophera, pewnie natychmiast byś tu wrócił.

- No i co byłoby w tym złego? - W jego spojrzeniu manifestowały się upór i złość. - Nie powinna się do niego tak po prostu wprowadzać.

- Chyba nie wprowadziła się w tym sensie, w jakim myślisz, choć to nie moja sprawa. Ale czy naprawdę sądzisz, że możesz pojawić się w jej życiu po pięciu latach i sterować nią, jakby była małą dziewczynką? Ona jest już dorosłą kobietą i musisz nauczyć się traktować ją jak osobę dorosłą.

Carter zrobił zaciętą minę.

- Powiedziała mi dokładnie to samo.

- Masz bardzo mądrą córkę, powinieneś się z nią liczyć. - Molly zaczęła wodzić palcem wokół szklanki. - Co do nas, to nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi, że się tak poczułeś, jakbym cię zdradziła, ale nie mogłam inaczej postąpić. Drugi raz zrobiłabym tak samo. Nie chcę się mieszać w twoje sprawy rodzinne, zwłaszcza że my tylko...

- Co my? - Carter spojrzał jej prosto w oczy.

- Jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała.

W jego oczach pojawił się wyraz rozczarowania.

- Tak myślałem. - Carter zaczął nerwowo wystukiwać palcami rytm o poręcz fotela. - Gdy ujrzałem Larkin, zdałem sobie sprawę z pewnych rzeczy. Nie chciałem działać tak pochopnie jak dotąd. - Zaśmiał się nerwowo. - Nie mam raczej zbyt świetlanej przeszłości, jeśli chodzi o płęć piękną.

- Rozumiem. - Molly pokiwała głową. - Cóż, sądzę więc...

- Pozwól, proszę, że dokończę - przerwał jej Carter. - Policzek od kogoś, kto coś dla mnie znaczy, to uczucie, które było mi dane bardzo dobrze poznać. Na dobrą sprawę, tak naprawdę nigdy nie miałem nikogo oprócz Beth. Jedynie z nią założyłem prawdziwą rodzinę. - Ujął z czułością jej drobne dłonie. - Nie chcę być dla ciebie tylko przyjacielem, Molly, chciałbym być... - zawahał się - kimś więcej.

Molly siedziała przez chwilę bez ruchu. Potem odwzajemniła uścisk rąk i siedzieli tak w ciszy, patrząc na siebie.

- Skoro więc nie przyjacielem, to kim chciałbyś dla mnie być? - zapytała w końcu, przerywając milczenie. - Mężczyzną, który będzie ze mną prowadził długie rozmowy telefoniczne i czasem mnie odwiedzi na tym końcu świata?

- Owszem, to także.

- W takim razie - Molly wyswobodziła ręce z jego uścisku i wstała - może zechcesz zostać dziś na kolacji?



## Rozdział 13

Nieraz już przecież załatwiałem interesy z ojcem kobiety, z którą sypiałem, pomyślał Christopher, ale jeszcze nigdy żaden biznesowy partner nie przeszkodził mi, gdy trzymałem w objęciach jego córkę z intencją pójścia z nią do łóżka. Na szczęście mam czyste sumienie, bo podjąłem już decyzję niewdawania się z nim w interesy.

Christopher przechadzał się po swojej sypialni. Nie chciał pieniędzy Cartera i to od samego początku. Nie chciał czyichkolwiek pieniędzy, bo w jego mniemaniu odniesienie sukcesu w biznesie z cudzą pomocą było zwyczajną porażką. Dla Cartera nic to nie znaczyło, jeśli chodzi o finanse, ale dla niego pieniądze tego człowieka były ściśle związane z kobietą, która opanowała jego sny i marzenia. Zakład z Larkin nie przyszedł mu z trudnością, bo już wtedy podjął decyzję, że odrzuci propozycję Cartera. Telefon z firmy Pure Foods niewątpliwie ułatwił mu ten wybór. Problem w tym, że nie powiedział o tym Carterowi od razu i dopiero dzisiejszego popołudnia zdał sobie sprawę z popełnionego błędu.

Każdy, komu się udało zgromadzić milion dolarów, z pewnością opanował sztukę narzucania swoich reguł gry. Bez względu na to, jak potoczyła się jego rozmowa z Larkin, jej ojciec był na niego ewidentnie wściekły.

- To, co łączy ciebie i moją córkę podobno nie jest moją sprawą - powiedział ostro - ale nie wiem, czy zauważyłeś, że mieszasz swoje sprawy osobiste z naszymi planami finansowymi, a to mi się wcale nie podoba.

- Wystarczyłoby, gdybyś sprawdził stan swojego konta w banku, a przekonałbyś się, że suma, którą złożyłeś w postaci depozytu, wróciła dawno do ciebie - powiedział Christopher spokojnym głosem. Chciał od razu rozwiać wątpliwości Cartera, nim się obaj nakręcą.

Carter obrzucił go zdumionym spojrzeniem, jakby był przybyszem z innej planety.

- Zwrócone, ponieważ sypiasz z moją córką, czy może dlatego, że jesteś zbyt uparty, by przyjąć od kogoś pieniądze?

- Po pierwsze nie sypiam z pana córką, choć nie uważam, żeby to była pana sprawa. A na temat uporczywości akurat pan nie powinien się chyba wypowiadać - odciął mu się Christopher.

Carter odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał.

- Że co, że niby ja jestem uparty? Synu, twoje kozły mogłyby się niejednego od ciebie nauczyć. Wybacz, ale w tej sytuacji nie zamierzam robić z tobą interesów. Zaczynam mieć niejasne przeczucie, że mamy całkiem inne podejście do pewnych spraw. - Odwrócił się i ruszył w stronę swojego samochodu. - A skoro już mowa o uporczywości - rzucił niedbale przez ramię - to... do zobaczenia jutro rano.

No proszę, i samo wszystko dobrze wyszło, pomyślał Christopher. Tylko dlaczego w takim razie odczuwał ten dziwny niepokój? „Mamy całkiem inne podejście”... Nie da się ukryć, ale przecież on i Larkin nie załatwili jeszcze swoich spraw. Wszystko powinien rozwiązać ich zakład. Miał nadzieję, że dowie się dzięki niemu, czy Larkin jest kobietą, która go sobą zmęczy po krótkim czasie, czy raczej narkotykiem, który uzależnia, gdy się go raz spróbuje. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, to poczucie, że złapano go w sidła, obojętne, kto by je miał zarzucić. Było mnóstwo powodów, dla których powinien zachować większy dystans, mnóstwo powodów, dla których dłuższy związek z Larkin nie wchodził w rachubę. Znał to na wylot i miał dość kłopotów. W zaistniałej sytuacji najmądrzejszą rzeczą byłoby anulować zakład. Wystarczyło jej powiedzieć, że oddał Carterowi pieniądze i ją odprawić. Przecież nie musiał iść z nią do łóżka, bez względu na to, jak bardzo tego chciał.

Spojrzał na zegarek. Rano, gdy się zbudzi, porozmawia z nią i sprawa będzie załatwiona. Ciekawe tylko, czy zmruży dzisiejszej nocy oko? No tak, miał w końcu dużo papierkowej roboty, najlepszy lek, żeby zabić czas. Obok komputera uzbierała się już cała sterta. Włożył dzinsy, wyszedł na korytarz i ruszył do biura.

Niespodziewanie jednak zderzył się z Larkin, która właśnie opuściła łazienkę. Trzymała w rękach stertę ubrań, które upadły na podłogę, a ona zachwiała się lekko i oparła o ścianę. Miała na sobie kuse jedwabne wdzianko przewiązane paskiem. Nie zauważył żadnych guzików, co zasugerowało mu, że wystarczy pociągnąć za zwi-  
sający koniec, by...

- Wybacz - przeprosił.

Larkin kucnęła, żeby pozbierać rzeczy z podłogi. Próbował nie patrzeć ani na jej zgrabne nogi, ani na dekolt, który po przykucnięciu stał się jakby głębszy. Schylił się i podniósł jej dzinsy, lecz kątem oka obserwował, jak Larkin podnosi swój stanik. Po chwili odkrył na podłodze niewielki trójkątny kawałek materiału z koronką. Był jedwabisty w dotyku, a jego czerń była tak głęboka niczym kolor nocy i grzechu. Jej skóra musiała być tak gładka jak ten miękki skrawek materiału. Wyobraził sobie, jak ponętnie wygląda, mając go na sobie, a potem, jak zsuwa go centymetr po centymetrze. Czuł, jak pulsują mu skronie, jak łomoczące serce rozrywa mu klatkę piersiową.

- Jeszcze to - powiedział zniżonym głosem i wręczył jej tę maleńką część garderoby.

Ich palce zetknęły się na moment i przeszył ich prąd. Przez chwilę patrzyli na siebie zadziwieni, po czym jednocześnie podnieśli się do góry. Jeszcze kilka sekund wytrzymali to napięcie, ale już po chwili poczuł jej ciepłe, ponętne ciało. Znowu ubrania posypały się na podłogę, ale żadne z nich nie schyliło się, by je podnieść. Usta przy ustach, ciało blisko ciała...

Przez całe tygodnie igrali z tym ogniem, aż w końcu nie wytrzymali. To było pożądanie w czystej formie. Jeszcze parę minut temu Christopher był pewien, że uda mu się bez większego trudu wybrnąć z tej sytuacji, ale teraz wiedział, że nie jest to już możliwe. Czuł na sobie rozgorączkowane i spragnione usta Larkin, łapczywie chłonał ich żar, całując jej wargi, szyję, wdychając jej słodki zapach.

Gdy westchnęła cicho z rozkoszy tuż przy jego ustach, miał wrażenie, że za moment eksploduje. Czuł każde zaokrąglenie jej ciała przeżące się pod jedwabistym materiałem, jakby była całkiem naga.

Larkin przejechała dłońmi po jego nagich plecach aż do nasady dżinsów, po czym wsunęła palce pod pasek jego spodni.

- Widzę, że nie nosisz bielizny? - zapytała zmysłowym szeptem.

Odwzajemnił się jej tym samym, unosząc do góry miękki skrawek materiału i gładząc jej jędrne pośladki.

- Zupełnie jak ty. - Przesunął dłonie wzdłuż jej ciała i dotknął piersi, najpierw jednej, potem drugiej. - Boże, tak bardzo cię pragnę - wyszeptał ochryple.

Larkin bez słowa pocałowała go namiętnie w usta. Pocałunek ten mówił więcej niż wszystkie słowa świata. Odwzajemnił go i, unosząc ją lekko do góry, ruszył do sypialni. Dawno już stracił kontrolę nad sytuacją. Pod stopami czuł, jak twarde deski podłogi przechodzą w miękki dywan. Postawił ją na podłodze przed łóżkiem i zrobił to, o czym marzył już od dłuższego czasu: pociągnął za pasek okalający jej biodra i wsunął ręce pod materiał wdzianka. Już przez materiał dotyk jej skóry podniecał go, ale teraz widok jej nagiego ciała i aksamitność skóry, która lśniła w przytłumionym świetle nocnej lampki, sprawiły, że bliski był eksplozji. Pragnął jej do obłędu, chciał ją poczuć pod sobą, poczuć, jak oplata nogami jego ciało.

Spojrzenie Larkin pociemniało, a jedwabisty materiał okalał teraz jej stopy. Mógłby przysiąc, że za chwilę stanie mu serce. Była tak cudownie smukła i piękna, tak delikatna i ponętna w przytłumionym świetle, że aż trudno było uwierzyć, ile tkwiło w tym filigranowym ciele siły i determinacji. Nie mógł pojąć, jakim cudem był w stanie czekać na ten moment tak długo.

Drżącymi rękami rozpięła mu dżinsy, które z cichym szelestem zsunęły się na podłogę. Wtedy uniósł ją do góry i już po chwili leżała na łóżku, przyciśnięta przez jego muskularne ciało. Zupełnie ją to uczucie obezwładniło, a jednak pragnęła

jeszcze więcej, jeszcze bardziej go poczuć. Jej dłonie niecierpliwie gładziły prężne ciało Christophera, wyrzeźbione ciężką pracą, a nie bezsensownymi treningami na siłowni. Zaczął całować ją łapczywie wzdłuż szyi, po ramionach, po piersiach i coraz niżej i niżej, wprawiając jej ciało w delikatne drżenie. Nigdy w życiu nie była tak świadoma swojego ciała. Czowała się tak, jakby rzeźbił ją dotykiem. Kiedy dotknął ustami jej sutka, odrzuciła głowę do tyłu i głośno jęknęła, zaciskając w dłoni prześcieradło. Miała przyspieszony oddech. Gdy lekko ugryzła go w ramię, czując między udami coraz większy żar, Christopher wyszeptał półprzytomnie:

- Jesteś cudowna. - Nie był w stanie oderwać ust od jej skóry. Gładził opuszkami palców jej płaski brzuch coraz bliżej tego miejsca, które pożałowało go najbardziej.

Jeszcze, jeszcze, powtarzała w myślach, pieść mnie. Pragnęła poczuć go tam, w tym jednym miejscu. I wtedy jego ręka wdarła się między uda Larkin, a ona krzyknęła z rozkoszy. Była rozpalona i gotowa. Oboje nie mieli cierpliwości, by dłużej czekać. Rozchylił jej uda, a ona szepnęła rozpalona:

- Tak, wejdź we mnie, chcę cię poczuć, proszę, wejdź...

- Już, słodka, już... - Wśliznął się pomiędzy jej uda i poczuł wilgotne ciepło, które przyprawiło go o rozkoszny dreszcz.

Jej skóra od wewnętrznej strony ud przypominała aksamit. Jednym zdecydowanym ruchem wszedł w nią i oboje głośno jęknęli. Ich ciała były splecione jak dwie liany i nie potrafił powiedzieć, czy bicie serca, które czuł, było jego własnym czy może jej. Ten mocny przyspieszony puls wyznaczał rytm jego ruchów, rytm, w którym zanurzał się w niej do końca, rytm, który był teraz całym ich światem.

- Nie wytrzymam - szeptała - nie wytrzymam ani chwili dłużej - pragnąc jednocześnie, by trwało to wiecznie.

Jej urywany szept mieszał się z jego coraz bardziej przyspieszonym oddechem, gdy razem zbliżali się do celu, który nie był jakimś konkretnym

miejszem, lecz czuciem w czystej formie. I wtedy ona zadrżała, pochłonięta przez falę rozkoszy, a on wydał z siebie ostatni chrapliwy jęk i bezsilnie opadł na plecy tuż obok niej.

Christopher patrzył w sufit. Larkin, pogrążona we śnie, leżała obok z głową na jego torsie. Czuł jej jednostajny oddech. Czuł też bicie jej serca. W domu panowała absolutna cisza. W ciemności nocy widać było zielonkawe światło budzika, zwiastujące nadchodzący poranek. Poranek, kiedy to miał powiedzieć Larkin, że zakład jest już nieważny. Sądził, że będzie na tyle mądry, by uniknąć niebezpieczeństwa. Myślał, że to błaha, przejściowa fascynacja kolejną kobietą i że ona, Larkin, bez względu na to, jak bardzo będzie nią zafascynowany, pozostanie nieprzystępna do samego końca. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że to nie było tylko błahе zauroczenie, że tak naprawdę jest to wielkie uczucie.

Teraz wydawało mu się zupełnie niemożliwe, że zaledwie kilka godzin temu planował powiedzieć jej o anulowaniu zakładu i odesłaniu jej do domu, chciał zakończyć to wszystko, zanim zabrnę za daleko. Zdziwiło go, że jeszcze parę godziny temu nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo siedzi w tym wszystkim po uszy. Czuł, że był dotąd zbyt ostrożny, żeby nie powiedzieć cyniczny, by postępować spontanicznie i pozwolić wybierać sercu. Wprost przeciwnie, cały czas koncentrował się na tym, by uchronić się przed tym uczuciem. Tymczasem ona pokonała ten opór i wkradła się do jego serca niepostrzeżenie. Jak na ironię, nie zwabiły go wcale jej wysokie obcasy i niewiarygodnie seksowna sukienka, lecz Larkin w dżinsach i kaloszach, zadziorna dziewczyna, która ciężko pracowała u jego boku. Był w niej naprawdę zakochany i nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Pogładził jej plecy, a ona westchnęła przez sen i jeszcze mocniej się do niego przytuliła. Wszystko między nimi się zmieniło, choć z drugiej strony wszystko było jak przedtem. Wciąż miała dom gdzie indziej, życie i karierę oddaloną o lata świetlne od jego farmy, tego domu i łóżka, w którym teraz oboje leżeli. Jedyna rzecz, która trzymała ją przy nim, to ich zakład.

Leżał w ciemności wpatrzony w sufit, dobrze wiedząc, że już wkrótce będzie musiał jej powiedzieć o pieniądzach, które oddał Carterowi, choć jednocześnie oczywiste było, że nie chce jej o tym powiedzieć ani jutro rano, ani następnego dnia, ani jeszcze następnego. Zdawał sobie sprawę z tego, że w chwili, kiedy się o tym dowie, zniknie z jego życia, a tego by nie zniósł.

## *Rozdział 14*

Larkin nigdy nie spała dobrze w obcym łóżku, gdy ktoś leżał obok niej. Dlatego zwykle unikała zostawiania na noc u swoich facetów. Bardzo nie lubiła niezręcznej atmosfery następnego dnia rano, więc łatwiej było ubrać się i po prostu zwać. Zawsze przecież mogła ciągnąć dalej taką znajomość, umawiając się kilka dni później w neutralnym miejscu, jak choćby w restauracji, kiedy już nie była naga, lecz chroniona przez zbroję ubrania. Skąd więc dzisiaj to błogie uczucie po przebudzeniu na miękkich puchowych poduszkach obok ciepłego ciała Christophera? Zamyśliła się. Odkąd go poznała, wciąż po głowie krążyły jej dziwne myśli. Jak by to było, gdyby z nim została? Carterowi powiedziała, że łączy ich jedynie przyjaźń, ale wtedy nie podjęła jeszcze żadnej decyzji i nie miała pojęcia, że nagle wszystko tak się odmieni. Nie rozumiała, co czuje. Ale to uczucie chyba było w niej, odkąd tylko przyjechała na tę farmę. Jej najśmielsze marzenia stały się rzeczywistością, przez co wszystko strasznie się skomplikowało.

Rozległo się pianie koguta i do pokoju wdarły się pierwsze promienie porannego słońca. To nie fair, pomyślała Larkin, nie była gotowa, by rozpocząć kolejny dzień. Chciała tak leżeć w półśnie w objęciach tego mężczyzny i chłonać jego ciepło. Ten nieprzyjemny dyskomfort związany ze zbliżającą się pobudką, ostatecznie ją ocucił. Poczowała muśnięcie ust na swoim ramieniu i aż podskoczyła.

- Nie powinnaś się tak spinać, kiedy cię całuję - usłyszała zniżony, lekko zachrypnięty głos.



- Spałam i dlatego się przestraszyłam.

- Kłamiesz - powiedział z uśmiechem i pochylił się nad nią. Pocałował ją czule. - Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Jak spałaś?

- Dziękuję, dobrze. - A właściwie powinna powiedzieć, że wspaniale, choć dziwiło ją, że w ogóle udało jej się zasnąć.

- A jak podoba ci się twój awans? - zapytał z szelmowskim uśmiechem i błyskiem w oku, wodząc palcem wzdłuż jej szyi.

- Ale jaki awans? - zapytała trochę zmieszana.

- Z pokoju gościnnego do mojej sypialni?

- Nawet całkiem zadawalający. Muszę powiedzieć, że personel był bardzo troskliwy - przyznała.

- To nasza specjalność, oferujemy tutaj pełen serwis ze śniadaniem włącznie. Ale to później... - Przewrócił się na plecy i pociągnął ją na siebie. - Czy możemy się pani spodziewać dziś wieczorem?

Minę miał śmiertelnie poważną, choć w jego oczach dostrzegła szelmowski błysk. Nie można było temu nie ulec.

- Co wieczór, aż do końca miesiąca - odparła.

- Wspaniale. - Christopher pogładził ją po pośladkach. - Czy coś jeszcze możemy dla pani zrobić? Może chciałaby pani dowiedzieć się czegoś więcej na temat oferowanych przez nas zabiegów SPA? Stosujemy kilka innowacyjnych technik masażu.

Znowu poczuła na piersiach jego gorące usta, co sprawiło, że zapragnęła poznać te niecodzienne techniki.

- Domyślałam się, że są całkiem wyjątkowe - wyszeptała uwodzicielsko, czując pożądanie i może, ale tylko może, odrobinę nieskomplikowanego szczęścia.



Olbrzymi rustykalny stół w kuchni Christophera zastawiony był pudełkami. Obok leżały owinięte folią piramidki koziego sera, papier do pakowania i taśma klejąca. Był to dzień realizacji zamówień wysyłkowych z całego tygodnia. Karty zamówieniowe ułożone były na kupce na pudełkach ze styropianu z suchym lodem. Musieli to jak najszybciej wysłać do adresatów.

- Wiesz co, chyba źle się do tego zabraliśmy - powiedziała Larkin, wsuwając jeden z serów do styropianowego opakowania.

- Co masz na myśli? - Christopher uniósł wzrok znad kartonu.

To niesamowite, potrafił doprowadzić jej krew do wrzenia jednym tylko spojrzeniem.

- Bo każdy z nas robi wszystko po kolei.

- No tak - przytaknął, naklejając etykietę na paczce.

- A szybciej by szło, gdyby każdy z nas robił tylko jedną określoną rzecz.

Taka praca jak przy taśmie w fabryce. - Uśmiechnęła się.

- Tak sądzisz? - Zaszedł ją od tyłu, objął czule, a potem pogładził po pośladkach.

- Sądzę, że to by było bardziej efektywne - odparła w końcu, gdy emocje trochę opadły.

- Bardzo prawdopodobne. Ja mógłbym wkładać ser do pudełka ze styropianu - powiedział, sięgając po styropianowe pudełko - a ty pakować pudełka do kartonu i zaklejać.

- Cały czas jednak bardziej był skupiony na niej niż na tym, co mówił. - Czy to miałaś na myśli? - zapytał, pochylając się nad nią.

Poczuła jego oddech na szyi, a zaraz potem gęsią skórę na całym ciele.

- Nie trzeba by było chodzić tam i z powrotem, no i szybciej byśmy skończyli...

Usta Christophera rozgrzewały ją coraz bardziej.

- Jest tylko jeden problem - wymamrotał.

- Jaki?

- Podoba mi się to ciągle chodzenie, bo ładnie kręcisz tyłeczkiem.

- Ale to nam nie ułatwi pracy - powiedziała, obejmując go za szyję.

Położył jej ręce na biodrach i przyciągnął do siebie.

- Ale sprawia przyjemność - wyszeptał, całując ją.

- Powinniśmy to najpierw skończyć. - Mówiła z coraz większym trudem, czując, że płaczą jej się słowa. Najchętniej poddałaby się jego kuszącym zalotom.

- Ale zostało nam już niewiele, a kurier nie zjawi się tu raczej prędko. - Lekko ugryzł ją w szyję i poczuła, jak jej miękną kolana. - Mamy mnóstwo czasu.

- Ale przecież Decke i ojciec się tu kręcą - próbowała jeszcze oponować, choć nie było to łatwe, bo on szukał już dłońmi jej piersi.

Wtedy zza okna dobiegł ich warkot silnika.

- Widzisz, już jest ciężarówka - wyszeptała speszona.

Ale to nie był wcale kurier, tylko Molly, która rozpromieniona wysiadła ze swojej małej ciężarówki w ślicznej błękitnej bluzce, podkreślającej kolor jej oczu.

- Upiekłam chleb cukiniowy i pomyślałam, że podrzucę wam kawałek.

Oboje zeszli do niej po schodach.

- Wspaniale - powiedziała Larkin. - Nigdy jeszcze nie jadłam chleba cukiniowego.

- Jak dobrze pogrzebiesz, znajdziesz jeszcze parę ciasteczek. Może ci się uda chociaż skosztować, zanim dobierze się do nich Christopher.

- W takim razie się o nie pobijemy - roześmiał się Christopher.

Larkin szturchnęła go łokciem.

- Widzisz, już się zaczyna.

- Wspaniale wyglądasz - uśmiechnęła się Molly. - Pobyt na farmie dodał ci jakiegoś niezwykłego blasku.

- Też jej to powtarzam.

Nagle od strony pastwiska dobiegł ich jakiś dziwny hałas. Wszyscy, jak na komendę, spojrzeli w tamtym kierunku. Z góry schodził Carter, a za nim biegly dwie kozy. Miał na sobie dzinsy i koszulę z podwiniętymi rękawami, a do tego robocze buty i czapkę z daszkiem.

Roześmiana Molly podeszła do płotu.

- Gdyby zobaczyli cię teraz twoi koledzy z giełdy! - powiedziała, otwierając furtkę i przytrzymując kozy, żeby nie wdarły się na podwórko.

Carter zdjął rękawice i wsunął je do tylnej kieszeni.

- Gdyby widzieli mnie teraz koledzy z giełdy, zzielenieliby z zazdrości, bo mam przed sobą nieporównanie miłszy uśmiech, aniżeli zgryźliwe uśmieszki konkurentów na giełdzie w Nowym Jorku.

- Lepszy nawet niż rosnące na wykresach ceny złota?

Ujął ją za ręce i ucałował na powitanie.

- Ty jesteś moim szczerym złotem.

Molly trochę się speszyła.

- Mówić umiesz naprawdę ładnie. - Odsunęła się o krok.

- Miło mi, że to zauważyłaś.

- Wiele zauważam - powiedziała nieco tajemniczo.

- Naprawiliśmy płot - zwrócił się do Christophera. - Decke mi pomagał. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wezmę sobie teraz parę godzin wolnego? Jest coś, co muszę załatwić z Molly.

- Za kilka godzin będzie pora dojenia. My się już tym zajmujemy, możesz więc wziąć sobie dzień wolny.

- Wspaniale, a więc do zobaczenia w domu, Molly - ucieszył się i wskoczył do swojego sportowego samochodu.

Molly też się pożegnała i szybko odjechała swoją małą ciężarówką.

Christopher kątem oka cały czas obserwował Larkin i miał jakieś dziwne przeczucie, że coś tu nie gra. Była jakaś spięta i obca.

Podszedł do nich Decke.

- Płot jest w porządku - wymamrotał.
- Świetnie, to nakarm teraz prosięta i kury, i rzuć kozom snopek siana.

Decke kiwnął głową i po chwili zniknął w szopie.

- Larkin, albo mi się wydaje, albo coś jest nie tak - powiedział.
- Nie, dlaczego, wcale nie, a czemu pytasz?
- Bo wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.
- Nic mi nie dolega, chodź, musimy skończyć pakować zamówienia.

Christopher chwycił ją za rękę.

- Zostało nam jeszcze tylko kilka paczuszek, powiedz, co się dzieje?
- Nie na forum publicznym.

Decke wyszedł właśnie z szopy, żeby nakarmić kury.

- Więc chodźmy na dół. - Pociągnął ją za sobą do piwnicy, w której dojrzewały sery. Masywne drzwi wystawały z trawiastego krajobrazu i wyglądały niczym wejście do jakiegoś tajemniczego tunelu. Wewnątrz panował chłód i było słychać szmer klimatyzatorów. Aż po sufit sięgały drewniane regały wypełnione większymi i mniejszymi krążkami dojrzewających serów.

- Czemu mnie tu ciągniesz? - Obruszyła się i wyrwała mu rękę.
- Chcę z tobą porozmawiać, a jedynie tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Powiedz, co się dzieje.

- Nie zrozumiesz...
- Może jednak warto chociaż podjąć taką próbę.
- Pomyślisz, że jestem głupia. - Rozejrzała się dokoła. - Po tak długim czasie

nie powinno robić już to na mnie wrażenia, a jednak robi... Chodzi o Cartera.

Spotyka kobietę, zakochuje się w niej po uszy i zaraz bierze z nią ślub, by wkrótce potem złożyć wniosek o rozwód.

To wiele tłumaczy, pomyślał Christopher.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nastąpi to również z moją ciotką?

- Przecież sam widziałeś ich razem, tak to właśnie wygląda na początku.

Przechodziłam to już wiele razy. Do dwunastego roku moje życie było jak z bajki, Carter i mama szaleli za sobą i byliśmy wspaniałą rodziną: zawsze razem, zawsze uśmiechnięci i szczęśliwi...

Przepełniony tęsknotą wzrok Larkin sprawił mu prawdziwy ból.

- I co się stało z twoją mamą?

Larkin patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziała:

- Zginęła w wypadku. Zabił ją pijany kierowca. Zmarła na miejscu.

Christopher objął ją czule. Wtuliła się w jego tors i próbowała rozluźnić.

- To musiało być dla ciebie straszne. - Pocałował ją delikatnie we włosy.

- Straszne, to jest dobre słowo, także dla Cartera, a może nawet jeszcze bardziej dla niego niż dla mnie. Ale dziwnie szybko się z tym pogodził i w sześć miesięcy później miałam już macochę.

- Sześć miesięcy? - Christopher odsunął się o krok i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Tylko się uśmiechnęła w odpowiedzi, choć nie był to wesoły uśmiech.

- Carter nie potrafi być sam - westchnęła.

- Przecież nie był sam, miał ciebie.

- Właśnie, ale nie miał pojęcia, co ze mną zrobić. Może miał nadzieję, że nowa żona będzie wiedziała.

- I wiedziała?

Larkin wyswobodziła się z jego uścisku i podeszła do drzwi.

- Wyszła za niego dla pieniędzy - wydusiła z siebie i uderzyła pięścią w ścianę - a nie dla dwunastoletniej dziewczynki. Gdybym była meblem, miałabym dla niej większą wartość. Tak było na początku...

- A potem coś się zmieniło?

- W pewnym sensie, bo w końcu znalazłam sposób, żeby przyciągnąć jej uwagę, a raczej ich obojga.

- Niech no zgadnę... problemy w szkole?

- Też, ale zawsze kręciłam się blisko niej, co doprowadzało ją do szału.

- Najważniejsze, że osiągnęłaś swój cel.

- Nie musiałam się zbyt długo starać, bo Carter i tak większość czasu spędzał w pracy, a Michelle marzyły się wystawne kolacje, bankiety i przyjęcia. Z trudem wytrwali do pierwszej rocznicy. Pamiętam, że w czasie tej uroczystości omal nie wydrapali sobie oczu. No i już wkrótce było po wszystkim.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Czternaście. - Wtedy dałaby sobie głowę uciąć, że wszystko wróci do normy, że ona i Carter znowu będą rodziną, jaką byli, zanim zmarła mama; że Carter znowu będzie poświęcał jej więcej czasu i uwagi, i skupi się na jej potrzebach. Ale to, czego potrzebował Carter, daleko odbiegało od jej dziecięcych wyobrażeń. Nie zajęło mu dużo czasu znalezienie kolejnej żony. - Niespełna rok później poślubił następną kobietę, Kaylę. Lubiła konie i antyki...

- Ale nie dzieci, czy tak? - zapytał z wyraźną troską w głosie.

- Owszem, ale swoje własne, miała dwóch synów, a ja byłam tylko przeszkodą, wrogiem numer jeden w przypadku, gdyby miało dojść do sprawy spadkowej. Starła się usuwać mnie z drogi i unikać, jak tylko mogła, ale ja cały czas próbowałam walczyć o miejsce dla siebie u ich boku.

- I zabiegałaś usilnie o to, żeby cię przypadkiem nikt z nich nie przeoczył?

- Chciałam, żeby przynajmniej ojciec mnie zauważał. - Zbyt dobrze pamiętała te okropne lata, kiedy opiekuńczość Cartera przybierała formę jedynie uwag i pouczeń oraz grózb. - Zawsze to lepsze niż nic.

- Mogłaś się chociaż dogadać ze swoim przybranym rodzeństwem?

- Masz na myśli synów Kayli? Starszy, Joshua, był okropny. Wciąż mi dokuczał. John był nieco lepszy, ale niewiele...

- Jak długo byli małżeństwem?

- Bez awantur wytrwali chyba ze dwa lata, a potem znowu zaczęło się...  
Rozwiedli się chyba po trzech latach z okładem, ale wtedy wyjechałam już do college'u, a zatem żonę numer cztery znałam tylko bardzo pobieżnie. Tej piątej nie widziałam nawet na oczy.

- Nie zaprosił cię na ślub?

- Zaprosił i właśnie dlatego przestaliśmy się do siebie odzywać. Rozeszli się chyba jakoś na początku tego roku, tak przynajmniej słyszałam. Miałam nadzieję, że chce dać sobie trochę czasu, zamiast rzucać się znowu w wir kolejnego związku. Ale to niepodobne do Cartera... No i spotkał twoją ciocię. - Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Christophera. - Nie zrozum mnie, proszę, źle, naprawdę lubię Molly. Tutaj nie chodzi o nią, może nawet nie o Cartera, ale bardziej o mnie. Ciężko mi na to patrzeć, bo nie wyobrażam sobie, żeby miało to potrwać dłużej niż jego poprzednie związki.

- Dobrze cię rozumiem, bo doskonale pamiętam, jak się czułem po rozwodzie.

Po rozwodzie? Słowa te przeszły ją niczym piorun. Tak mało o nim wiedziała.

- Nie wiedziałam, że byłeś żonaty. Długo?

- Trzy lata.

Z Larkin jakby zeszło całe powietrze. Zupełnie jak Carter, pomyślała osłupiała.

- Co się stało? - zapytała, ale w sumie, jakie to miało znaczenie.

- Najkrócej mówiąc, mieliśmy różne oczekiwania... Poznaliśmy się na Manhattanie. Nie wyobrażała sobie życia na farmie... Kiedy zaproponowałem jej całkowitą zmianę stylu życia, kategorycznie odmówiła.

- Naprawdę przykro mi - powiedziała i mimo uczucia niepokoju, faktycznie mu współczuła.



- Właściwie to była ulga - powiedział. Trzy lata wyjęte z życia, przemknęło mu przez głowę. - Moi rodzice byli razem przez czterdzieści dwa lata i zastanawiam się, jaki tkwi w tym sekret, ale myślę, że... - Zawiesił głos.

- Powiedz, co myślisz?

Christopher obejrzał się za siebie.

- Ciii... Słyszałaś to? Ktoś jęczy...

Przez chwilę nasłuchiwali, po czym szybko wybiegli na podwórko.

Rzeczywiście, od strony stodoły dobiegał głośny, rozpaczliwy jęk. Christopher spojrzał z niepokojem na Larkin i czym prędzej zaczął biec. Był już w środku, kiedy ona wpadła przez otwarte drzwi. Kiedy przekroczyła próg, zobaczyła coś, co spowodowało, że strach zasznurował jej gardło. Christopher siedział na ziemi pochylony nad Decke'em, który leżał półprzytomny z nogą wykrzywioną pod niewiarygodnym kątem.

- Podjedź tu moją ciężarówką - powiedział, rzucając Larkin pęk kluczy. - Szybko.

- Na pewno wygląda gorzej niż jest. - Christopher próbował pocieszyć Decke'a.

- Chciałem ściągnąć z góry snopek siana - powiedział, wykrzywiając twarz - i jakoś straciłem równowagę. Boli jak... cholera.

- Następnym razem nie rób mi tego, stary, tuż przed porą dojenia. - Zarzucił sobie jego rękę na bark i pomógł mu wstać.

Larkin otworzyła drzwi i cienka strużka światła wpadającego do wnętrza stodoły rozszerzyła się do świetlistego trapezu. Zaraz przy wejściu stała ciężarówka z włączonym silnikiem i otwartymi na oścież drzwiczkami. Dobra dziewczyna, pomyślał Christopher. Podbiegła, by podtrzymać Decke'a z drugiej strony.

- Postaraj się myśleć teraz o czymś przyjemnym - powiedziała, gdy ruszyli powoli w stronę samochodu. - Teraz dopiero Christopher zda sobie sprawę, ile roboty tu odwalasz i może będziesz mógł liczyć na podwyżkę.



Za wszelką cenę starała się go rozbawić. Jej głos był wesoły, ale oczy zatroskane. I stało się coś, co wydało mu się niewiarygodne - Decke zaczął się śmiać.

- Nie sądzę, to taka sknera...

- Dla ciebie pan - poprawił go Christopher, pomagając mu wsiąść do ciężarówki.

- Ty tu jesteś szefem - skwitowała krótko Larkin - ale my mamy prawo narzekać, co nie, Decke?

Jego twarz była biała jak kreda, mimo to udało mu się ponownie uśmiechnąć.

- Jasne, że tak - wymamrotał i z wdzięcznością uściśnął jej dłoń.

- Zabieram go prosto na ostry dyżur - rzucił Christopher, wskakując za kierownicę. - Zostań i przywitaj godnie kuriera. Zagoń do domu stado, jak wrócę, wydoję kozy.

- Bóg jeden wie, kiedy to będzie. Już ja to zrobię, jedź spokojnie...

- Nie dasz rady wydoić setki kóz.

- Jasne, że dam radę, robię to przecież dzień w dzień od trzech tygodni. Nie trać już czasu, tylko jedź, o resztę będziemy się martwić później.

Problemem nie była wcale setka kóz, ale to, że trzeba było obsłużyć dziesięć na raz. Larkin zdążyła już przeprowadzić dezynfekcję i zmienić połączenie rur. Teraz czekała ją najtrudniejsza część. Otworzyła furtkę, by wpuścić kozy do zagrody z korytem. Gilda była oczywiście na czele stada. Wtedy dopiero zauważyła, że popełniła pierwszy błąd, zapomniała wyłożyć siano. Szybko pobiegła na drugi koniec stodoły. Kozy zdążyły dopchać się do kraty i ich łebki wystawały w oczekiwaniu. Rozglądały się zirytowane i pewne, że sąsiadka obok dostała jedzenie. Rozległo się głośnie meczenie.

- Cicho już! - krzyknęła na nie Larkin.

Wzięła duży snopek siana i pobiegła z powrotem do swoich podopiecznych, które natychmiast opuściły łebki i zaczęły przeżuwać. Jedzenie było dla nich całym

światem. Całe szczęście, sytuacja opanowana, pomyślała z bijącym sercem. Czym prędzej powróciła do dojrni i rozwiesiła wiadra z karmą, choć żeby było szybciej, nie używała już miarki. Sypała prosto z worka i trochę ziaren rozsypało się na boki. Pewnie Christopher nie byłby tym zachwycony, ale przynajmniej robota była wykonana na czas. Nie mogła teraz zająć się sprzątaniami.

Dobra, co dalej, zastanawiała się, mamrocząc pod nosem. Przypomniały jej się słowa Christophera: „Rób wszystko w tej samej kolejności”. Świetnie, a więc co teraz? Już wiem, strzeliła palcami i podeszła do odtwarzacza. Muzyka! Nie rock, dzisiaj potrzebowała czegoś spokojnego. Za klapą rozległy się hałasy. Kozy zaczęły się niecierpliwić i dobijały się do środka. Wreszcie natrafiła na coś odpowiedniego: Sarah McLachlan. Bardzo dobrze, pomyślała, to właśnie to, czego mi trzeba. Wszystko będzie dobrze, dam radę.

- Teraz wpuszczam kozy - powiedziała sama do siebie.

Podeszła do liny i podciągnęła klapę. Pierwsza grupa z Gildą na czele wpadła do środka. Gilda rozejrzała się podejrzliwie po pomieszczeniu i spojrzała na nią jakby pytająco.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Larkin. - Czy coś jest nie tak?

Mabel stała z uporem przed drugą klapą, blokując sobą wejście.

- No chodź - powiedziała. - Na co czekasz? - Pozostałe kozy zaczęły napierać na nią z całej siły, ta jednak wbiła kopyta w ziemię i nie chciała się ruszyć z miejsca.

- Kolacja! - zawołała Larkin, potrząsając wiadrem z karmą. - Wchodź! - W końcu podeszła do Gildy i pociągnęła ją w stronę stanowiska do dojenia. Koza otrząsnęła się buntowniczo i dalej stała jak wryta. Z zagrody w stodole dobiegały coraz głośniejsze pomruki zniecierpliwienia. - O co wam chodzi? - krzyknęła Larkin z rozpaczą. - Drzwi są otwarte, macie wasze żarcie, leci wasza muz... - No tak, Christopher mówił przecież wyraźnie, że w rachubę wchodzi tylko blues i rock.

Larkin szybko podbiegła do odtwarzacza i przełączyła na płytę, którą puszczał ostatnio Christopher. Gilda i Mabel natychmiast wbiegły w podskokach do środka, a

za nimi reszta kóz. Larkin zamknęła kłapy i odetchnęła z ulgą. Za plecami znowu jednak usłyszała hałasy. Odwróciła się, żeby sprawdzić, o co chodzi i zobaczyła Gilde, która zablokowała przejście, pchając się do rozsypanego na podłodze ziarna, zamiast grzecznie udać się na swoje stanowisko.

Kilka kóz poszło w jej ślady i Larkin bezskutecznie szamotała się z kozami, żeby przywołać je do porządku. Dopiero gdy wyjadły wszystkie ziarenka leżące na podłodze, pospieszyły do wiader napęcznionych karmą.

- No wreszcie - sapnęła ledwo żywa.

Wzięła do ręki kubek z jodyną i podchodziła kolejno do kóz, które jakby nigdy nic z wielkim zapalem pochłaniały zawartość wiader.

Na dworze panowała już całkowita ciemność. Christopher zatrzaskał drzwiczki swojej ciężarówki i wszedł do domu pogrążonego w mroku. Wiele godzin spędził z Decke'em w szpitalu. Długo czekali, zanim przyszedł chirurg, a po wykonaniu zdjęcia okazało się, że to paskudne złamanie z przesunięciem. Dopiero gdy Decke bezpiecznie leżał po zabiegu w swoim szpitalnym łóżku, Christopher mógł wreszcie wrócić do domu. Był pewien, że Larkin już dawno śpi, i że czeka go jeszcze dojenie do późnej nocy. Takie już były uroki pracy na farmie. Ale gdy wszedł do salonu, stanął jak wryty. Larkin, ubrana od stóp do głów, siedziała na kanapie pogrążona w głębokim śnie. Domyślił się, że wykończyła ją praca, i nie miała już siły, żeby się rozebrać i położyć do łóżka. Na stoliku obok niej leżała jakaś kartka.

„Było blisko katastrofy, ale udało się. Sam możesz sprawdzić, ale nie pominęłam żadnej z twoich podopiecznych. To było naprawdę szalone popołudnie. L.

PS. Żądam podwyżki."

Christopher uśmiechnął się pod nosem, a potem pochylił, by ucałować ją w czoło. Larkin otworzyła oczy.

- O, cześć - powiedziała lekko zachrypniętym głosem.

- Cześć.

Ziewnęła, zakrywając usta.

- I co z Decke, wszystko w porządku?

- Tak. - Christopher kiwnął głową. - Pora iść spać.

- Gilda jest okropna - pożaliła się Larkin.

- Wiem - powiedział z czułością i wziął ją na ręce. - Jutro opowiesz mi o wszystkim.

- Pewnie potwornie śmierdzą kożą - wymamrotała zażenowana, wtulając w niego nos.

- Pachniesz bosko i jesteś chodzącym ideałem - szepnął całując jej włosy.

## Rozdział 15

- Więc mówisz, że kochają muzykę... - powiedział Christopher, podchodząc do stołu.

Larkin siedziała w swoim satynowym szlafrocuku, a jasne jedwabiste włosy opadały jej na ramiona. Spojrzała na talerz, który przed nią postawił i rozpromieniła się.

- Widzę, że tu rzeczywiście oferuje się pełen serwis.

- Jestem ci to winien. - Rano sam zajął się wydojeniem kóz i dopiero potem przyszedł, żeby ją obudzić.

- Tak, bez swojego rocka nie zrobią ani kroku w dojami. Poza tym rozrabiały jak nieboskie stworzenia. Gilda wskoczyła na przykład na siedzenie w traktorze i miałam wrażenie, że jeszcze chwila, a uruchomi silnik. Przysięgam, ta koza to wcielone zło.

- Chyba przesada, po prostu czuje się niezrozumiana w swoich potrzebach.

- No nie wiem, ale niech ci będzie.

Christopher spojrzał na Larkin z rozbawieniem.

- Widzę, że ci ostro zalazła za skórę. Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co wczoraj zrobiłaś.

- Nawet nie wiesz, jakiego miałam stracha, ale zawzięłam się i pomyślałam sobie, że muszę dać radę. I wtedy jakoś wszystkie zaczęły współpracować...

- Poczuły twoją żelazną determinację.

Larkin parsknęła śmiechem.

- Chyba raczej czystą furię. Ależ mnie wkurzyły...

- Samemu wydoić takie stado, to nie lada zadanie, zwłaszcza dla kobiety.

Nawet ja byłbym wykończony. Jesteś naprawdę wspaniała. - Pochylił się i pocałował ją.

- Miło mi, że to zauważyłeś.

O tak, zauważył, i to już dawno temu. Musiał przyznać sam przed sobą, że znaczyła dla niego bardzo wiele i jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie ją nawet błagał, żeby z nim została.

- Jestem żałosny.... - wymamrotał pod nosem.

- Co takiego?

- Ach nic, już nic, jeszcze raz dziękuję ci za twoją nieocenioną pomoc. Kiedy wracałem do domu, byłem pewien, że co najmniej do północy będę doił kozy. Tymczasem ta karteczka, którą dla mnie zostawiłaś, to chyba najlepsza wiadomość, jaką otrzymałem od lat. - Nalał jej do filiżanki kawę i postawił obok talerza.

- Dziękuję. Pomyślałam, że będę miała na ciebie niezłego haka... -

Uśmiechnęła się zaczepnie. Przeszła wczoraj przez prawdziwe piekło, ale mimo wszystkich kłopotów i wpadek, które jej się przytrafiły, udało jej się. To było naprawdę miłe uczucie. Czy nie nazywał jej wcześniej księżniczką? Chyba najwyższa pora, żeby zmienić zdanie. - Przyznasz chyba, że twoje wyobrażenie na mój temat nie do końca było słuszne?

Przez chwilę patrzył na nią z uwagą.

- Mam wrażenie, że bardzo się zmieniłaś.

- Jeśli wygram ten zakład, to uważam, że naprawdę na to zasłużyłam.

No tak, zakład...

- Dziś jest niedziela, możesz sobie wziąć dzień wolny i odpocząć, a wieczorem pójdziemy na kolację, zgoda? Ja powinienem odwiedzić Decke'a w szpitalu. Chyba że chcesz jechać ze mną.

- Umówimy się na randkę? - Larkin przechyliła zalotnie głowę.

- Jeśli tylko zechcesz. - A kiedy wrócimy do domu, powiem jej, co i jak, zdecydował.

- Wspaniale - ucieszyła się. - Ale co ja zrobię z taką ilością wolnego czasu? Może wybiorę się na zakupy, tak, to mi się przyda, skoro wybieram się na randkę. Ale nie bój się, nie zostawię cię samego na cały dzień.

- Spokojna głowa, dam sobie radę.
- Carter ci nie pomoże.
- Nie musi, bo nic takiego nie zamierzam dzisiaj robić, co wymagałoby pomocy. Chyba zabiorę moje pupilki na wycieczkę.
- Co takiego, pójdziesz z kozami na wycieczkę? - Larkin zrobiła wielkie oczy.
- No, tak. - Christopher kiwnął głową.
- W takim razie będę musiała wcześniej wrócić, nie mogę przepuścić takiej okazji.
- Dlaczego zabierasz swoje kozy na spacer? - zapytała Larkin.

Stali przy pastwisku, na które Christopher wypuścił kilkadziesiąt kóz. Nie miała pojęcia skąd, ale dobrze wiedziały, co je czeka, i rozemocjonowane machały ogonkami, przepychając się do niego. Wszystkie oprócz Tallulah, która od razu pobiegła do Larkin.

- A to Zdrajczyni - powiedział Christopher.
- Ma po prostu dobry gust - uśmiechnęła się Larkin, czochrając Tallulah za uchem.

Nachylił się, by ją cmoknąć, ale skończyło się to długim pocałunkiem, od którego Larkin zakreśliło się w głowie.

- One też lubią, kiedy je głaskać i tak naprawdę wcale nie chodzi im tylko o przeżuwanie trawy. Gustują również w gałęziach, korze drzew, chaszczach. Zaraz sama zobaczysz - powiedział i ruszył przed siebie w kierunku lasu znajdującego się na końcu pastwiska. Kozy przepychały się jedna przez drugą, płacząc mu się pod nogami niczym zwierzęcy fanklub.

- A więc idziemy na kozi piknik! - roześmiała się Larkin.
- Serdecznie zapraszam, jeśli tylko masz ochotę.

Larkin nie mogła się nadziwić. Kozie przyjaciółki Christophera wcale nie były rozbisurmanione, całkiem inaczej niż w stodole. Dreptały grzecznie, trzymając się nadspodziewanie blisko swego pana. Jeżeli się oddalały, to tylko na krótką chwilę,

żeby skubnąć lub obwąchać jakąś kępkę trawy. Wydawało się jednak, że cały czas obserwują go kątem oka, żeby przypadkiem zbyt daleko im nie uciekł. Kiedy cała ich gromadka weszła do lasu, słońce przedzierało się poprzez liście nad ich głowami. Szli leśną ścieżką pokrytą sosnowymi igłami. Najwyraźniej dobrze ją znały. Niektóre z nich zatrzymywały się dosłownie przy każdym krzaczku, inne podbiegały tylko do niektórych, być może ulubionych, i podgryzały liście lub gałęzie. Tallulah z błogą miną delectowała się młodym klonem.

- Nie tylko one cię polubiły, Decke również, a to już naprawdę rzadki przypadek - powiedział Christopher.

- A polubiły mnie?

- Chyba nie masz co do tego wątpliwości? Ale Decke to co innego, przyznam, że mnie trochę zaskoczył. Zwykle Decke potrzebuje około roku, żeby z kimś nowym porozmawiać, a co dopiero spojrzeć na tę osobę. - Ujął ją za rękę. - Chyba go oczarowałaś, co zresztą doskonale rozumiem.

Trudno jej było udawać, że jej ten komplement w ogóle nie ruszył. To fakt, przywiązała się do nich wszystkich i przebywanie w ich towarzystwie było dla niej prawdziwą przyjemnością. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co to będzie, gdy zabraknie ich w jej życiu. Ale szybko przypomniła sobie, co Christopher opowiadał o swoim małżeństwie. Dwa różne style życia... Zbliżał się koniec jej pobytu na farmie, jeszcze tylko trochę, lecz nie chciała teraz o tym rozmyślać. Nie chciała psuć sobie dobrego humoru. Z przyjemnością przyglądała się, jak Tallulah żuje liść klonowy.

- Więc to wszystko jest twoja posiadłość? Czy ona nie ma końca?

- W każdym razie stąd go nie widać. Jak daleko okiem sięgnąć, wszystko tu jest moje.

- Poważnie?

- Poważnie.



Szli, trzymając się za ręce, wciąż dalej przed siebie, w słońcu sączącym się przez gałęzie drzew i przy akompaniamencie cykad. Nie było widać końca tej leśnej ścieżki, jego ścieżki, pomyślała i ogarnęła ją dziwna duma. Było coś szczególnego w mężczyźnie stąpającym po swej własnej ziemi, coś pociągającego.

- Dobrze rozumiem, czemu kochasz to miejsce - powiedziała jakby mimowolnie.

Christopher zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Rozumiem, dlaczego to tak wiele dla ciebie znaczy. - Zatoczyła ręką krąg, wskazując na las, pastwiska, farmę i stado, które dreptało za nim krok w krok. - I rozumiem, dlaczego nie chciałbyś go opuścić.

- Chcesz przez to powiedzieć, że przekonałaś się do życia na farmie? - zapytał, a w jego głosie pobrzmiewała wesołość, ale także coś jeszcze.

Trochę się speszyła, odniosła wrażenie, że może powiedziała zbyt wiele.

- Nie śmieję się ze mnie - obruszyła się i odeszła kilka kroków od niego.

Ale on ją dogonił, odwrócił do siebie, po czym ujął jej twarz w ręce i pocałował.

Ten pocałunek był zupełnie inny niż wszystkie dotąd, jakby nie było już jego i jej, lecz jakby stanowili jedną całość, a czas zatrzymał się w miejscu. Po chwili spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem i wyszeptał poważnie:

- Muszę ci coś powiedzieć, Larkin.

Ta niezwykła dla niego powaga sprawiła, że poczuła niepokój.

- Musisz mi coś powiedzieć? - spytała ze strachem. - To brzmi tak poważnie, że mnie przeraża i wcale nie wiem, czy chcę to usłyszeć.

- To nic złego, tylko trzeba to właściwie zrozumieć.

- Czyli jednak coś złego... - A może nawet bardzo złego. - Dobrze, więc powiedz.

Christopher odetchnął głęboko.

- Oddałem Carterowi pieniądze.

To były ostatnie słowa, jakich się spodziewała. Spojrzała na niego z niedowierzaniem spod przymrużonych powiek.

- Co takiego zrobiłeś?

- Oddałem mu jego pieniądze.

Na moment wszystko w niej zamarło. To koniec, pomyślała, i powinna poczuć ulgę. Dostała przecież to, czego chciała jeszcze przed upływem miesiąca, czyli zakład jest już nieważny, przemknęło jej przez myśl, a to oznaczało tylko jedno: nadszedł czas, żeby spakowała rzeczy i odeszła. Powinna się ucieszyć i z ulgą powrócić do poprzedniego trybu życia, a jednak już nie mogła. Nie! Coś w niej zaprotestowało z porażającą intensywnością. Zauroczyła ją ta farma i praca na niej, i on, który to wszystko stworzył. Ją, która przez całe życie unikała zależności emocjonalnej jak ognia, która doskonale wiedziała, czym kończą się takie związki, ją, która lepiej wiedziała niż ktokolwiek, jak bolesny jest upadek, gdy zabraknie dystansu. A jednak dała się w to wciągnąć i nie miała pojęcia, co będzie dalej.

- Oddałeś mu pieniądze? - Słowa z trudem przeciskały się jej przez gardło. - Kiedy? - Poczowała, jak jej ciało oblewa wszechogarniający chłód, jak zaciska jej się żołądek. - Kiedy to zrobiłeś? - Chłód, który zawładnął jej ciałem słyszalny był również w głosie.

- Zaraz ci powiem, ale daj mi szansę, żebym ci wszystko wytłumaczył - poprosił Christopher, widząc tę przemianę.

- Nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień. - Starła się panować nad głosem. Już się zaczęło to, czego się tak bardzo zawsze obawiała: niedomówienia, kłamstwa i wykręty. Wiedziała, że jest to nieunikniona konsekwencja otwarcia się przed inną osobą. - Chcę wiedzieć, kiedy oddałeś Carterowi pieniądze, a innymi słowy, kiedy zakończył się nasz zakład, bo chyba w tej sytuacji nie ma sensu go kontynuować, prawda?

- I o to właśnie chodzi, bo dla mnie w tym zakładzie wcale nie chodziło o pieniądze Cartera...

- Jasne - powiedziała ironicznie Larkin.

W jego spojrzeniu pojawiła się złość.

- Nigdy nie zależało mi na forsie twojego ojca, nie prosiłem go o nią i żałuję, że dałem mu się w to wszystko wciągnąć.

- Och tak - powiedziała z przekąsem - pewnie cię do tego zmusił, wykręcił rękę i pogroził palcem.

- Posłuchaj, pojawił się tu z Molly i był cały napalony, żeby kupić kawałek ziemi i zabawić się w farmera. Ja mu to wręcz odradzałem.

- Ale postanowiłeś wziąć jego pieniądze, żeby go uchronić przed niekorzystną inwestycją na innej farmie. Bardzo sprytne.

- Nie, zgodziłem się, aby pozostał tu i pracował tak długo, aż nauczy się, jak przetrwać w takim miejscu nie tylko kilka tygodni. Inaczej mówiąc, żeby uchronić go przed bezsensownym utopieniem kilku milionów. Problem w tym, że jestem na skraju bankructwa, więc zaoferował mi te pieniądze, żeby uratować farmę na okres, w którym będzie się uczył. Nie sądziłem, że to urośnie do takiego problemu, co więcej, byłem przekonany, że po tygodniu będzie miał dość i że wtedy oddam mu depozyt, który złożył w banku i będzie po krzyku. No, ale wtedy zjawiałaś się ty z furą zarzutów i pomówień, więc zakład wydał mi się całkiem dobrym pomysłem, bo po tobie też się nie spodziewałem, że sobie poradzisz. Wszystko więc wyszło zupełnie inaczej, niż się spodziewałem...

- Człowieku, co ty mi chcesz powiedzieć? Zresztą, nie o to tu teraz chodzi.

- Właśnie o to - podkreślił Christopher.

- Posłuchaj, zadałam ci proste pytanie, kiedy oddałeś pieniądze mojemu ojcu...

- Ale jakie to ma...

- Kiedy? - powtórzyła.

- Dwa tygodnie temu. - Spojrzał na nią z powagą.

- Dwa tygodnie... - wydukała. - Dwa tygodnie? I pozwalałeś mi pracować po czternaście, a nawet piętnaście godzin dziennie, wiedząc, że robię to tylko po to, by

zmusić cię do czegoś, co już dawno zrobiłeś? A może uważasz, że oddałeś mi jakąś przysługę, pozwalając mi tu pracować? Myślisz, że się dobrze bawiłam?

Christopher zbladł. Nie spodziewał się takiego ataku.

- Więc co miałaś na myśli, mówiąc dosłownie przed chwilą, że mnie rozumiesz? Powiedziałaś tak, bo uważałaś, że to dobrze zabrzmiało? Sądziłem, że coś tu razem tworzymy...

Okłamał ją i nie chciała teraz o niczym innym myśleć. Lekkomyślnie pozwoliła sobie na zauroczenie się nim i już wszystko toczyło się zgodnie z tym, czego się najbardziej obawiała.

- Oczywiście, że coś stworzyliśmy: dzięki twojemu kłamstwu świadczyłam ci niewolnicze usługi.

- To nie była praca niewolnicza.

- A co w takim razie? Dobra zabawa w doborowym towarzystwie? Nie... -  
Chwyciła się za głowę.

- Co nie?

- O nie, ty draniu! Chodziło ci o to, żeby się ze mną przespać. Tak, o to ci chodziło! Chciałeś przedłużyć zakład w nadziei, że mnie zaciągniesz do łóżka!

- Nie chodziło mi o łóżko.

Chciało jej się płakać. Poczula się zraniona do żywego. Otworzyła się przed nim, a w zamian otrzymała tylko ból i rozczarowanie.

- Cholera, Larkin, co ty znowu wymyślasz! - krzyknął zdenerwowany. - Nie chodziło mi wcale o seks, pozwól mi wreszcie się wysłowić i nie obrzucaj mnie błotem. Chcesz wiedzieć, dlaczego ci nie powiedziałem? Bo wiedziałem, że gdy tylko to zrobię, spakujesz manatki i nie zostaniesz ani chwili dłużej, bo nie będzie już ku temu powodu. A chciałem spędzić z tobą jeszcze trochę czasu, zanim odejdiesz. - Nabrał powietrza w płuca i spojrzał na nią z powagą. - Chciałem, żebyś została, bo się w tobie zakochałem.

Nienawidziła go w tej chwili za radość i nadzieję, jakie w niej wzbudzał. Sprawiały, że czuła się bezbronna. Ale on przecież kłamał!

Znowu powróciła jej złość.

- Powiedz, jak to jest, że wam się zawsze wydaje, że słowo Kocham jest w stanie usprawiedliwić każde kłamstwo?

- Ależ Larkin...

- To niczego nie naprawi - przerwała mu - bo to nie jest magiczne zaklęcie. Nie zapominaj, w jakich okolicznościach wyrastałam. Tak się zawsze zaczyna... Klótnie i kłamstwa, a potem to magiczne słowo, żeby wszystko zatuszować. Za każdym kolejnym razem cios jest trochę mocniejszy, a plaster z napisem „kocham cię” coraz mniej skuteczny. Mówisz, że mnie kochasz, a tymczasem cały czas ukrywałeś przede mną coś bardzo ważnego! - krzyknęła. I co gorsze, sprawiłeś, że i ja się w tobie zakochałam, dodała w myśli. - A teraz, kiedy to wszystko się skończy, odczujesz tylko ulgę... Tak jak po rozwodzie z twoją byłą żoną. Wybacz, ale to nie dla mnie!

Gilda i Mabel wszczęły bójkę za plecami Larkin. Christopher patrzył to na nie, to znowu na Larkin.

- Nie możesz tak po prostu odejść od tego wszystkiego...

- Nie ma żadnego „wszystkiego”.

- Tak uważasz? Jeszcze nie zakończyliśmy tej rozmowy.

- Powiedz to tym kozom, one są jeszcze młode i niedojrzałe i może ci uwierzą - powiedziała z wyrzutem, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w dół.

Gdy wrócił do domu, Larkin już spakowana czekała na podwórzu. Miała na sobie ubranie, w którym przyjechała. Christopher poczuł bolesne ukłucie.

- Dlaczego wyjeżdżasz? - zapytał.

Twarz Larkin była blada, a oczy nienaturalnie jasne.

- Zakład skończony, więc odchodzę. Czy nie tak się umawialiśmy?

Poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Padło wiele słów - powiedział - rozumiem, że jesteś podenerwowana i przygnębiona, ale nie rób tego, nie odchodź tak po prostu. Porozmawiajmy jeszcze, Larkin.

- Nie chcę słuchać, co masz do powiedzenia, nie pojmujesz? Znajdź sobie kogoś innego do swoich gier.

Podejrzewał, że ten jej chłodny ton jest zamierzony i celowo chce go zranić, a jednak udało się jej go dotknąć.

- Gierki? Czy naprawdę tak to odebrałaś, kiedy spędziliśmy ze sobą noc? - Słyszał własne bicie serca.

- Przestań już!

- Ale ja mówię szczerze. Jesteś wkurzona, sfrustrowana, masz prawo czuć się oszukana, ale nie mów mi, że nie połączyło nas coś szczególnego. - Podeszedł bliżej.

- Nie pamiętasz już, jak było?

- To nie było prawdziwe - powiedziała Larkin z rozpaczą w głosie.

- Właśnie było i wtedy zdałem sobie sprawę, co do ciebie czuję.

- Kiedy mnie okłamywałaś?

Christopher nagle zrozumiał.

- Nie chodzi ci wcale o to kłamstwo, prawda? - powiedział, powoli cedząc słowa. - Tu chodzi o twój lęk przed związkiem, przed otwarciem się na coś prawdziwego...

- W tym nie ma nic prawdziwego. Takie związki nie trwają długo, sam to powiedziałaś.

- Wcale nie musi tak być.

- Nie musi tak być? Więc jak? Jak mogłeś żyć z kimś przez trzy lata, a potem powiedzieć, że rozstanie przyniosło ci ulgę? Jak możesz mówić tak o małżeństwie?

- Bo nie było między nami więzi i porozumienia, i wierz mi, nigdy w życiu nie czułem do nikogo tego, co do ciebie.

- Słowa, słowa, słowa - powiedziała z kpina, potrząsając głową, jakby nie chciała ich do siebie dopuścić.

Christopherowi odeszła cała złość.

- Zrozum, czułem, że to jedyny sposób, by cię tu zatrzymać, i dopiero teraz widzę, jak bardzo miałem rację.

## *Rozdział 16*

Ucieczka. To jedyna rzecz, o której mogła teraz myśleć: wsiąść do samochodu i jechać stąd jak najdalej i jak najszybciej.

Skupiała się na zakrętach, na wyprzedzaniu innych samochodów, na czarnym asfalcie. Byle nie myśleć, nie czuć, nie rozpamiętywać. Jej serce było niczym bańka mydlana, która za moment miała się rozprysnąć. Nie chciała pamiętać ani twarzy Christophera, ani jego słów.

Gdy dotarła na lotnisko w Bostonie, zadzwoniła do Cartera.

- Witaj, Larkin, jak się masz?

Jak się mam? Nie ma odpowiednich słów, żeby to opisać, pomyślała.

Określenie „złamane serce” w żadnym stopniu nie oddawało tego, co czuła, tej mieszanki emocji, złości, poczucia zdrady i straty zarazem, tęsknoty i bezradności.

- W porządku - westchnęła. - A u ciebie?

- Wspaniale!

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem na lotnisku i wracam do domu.

- Czy coś się stało? - zapytał z niepokojem.

- Nie.

- A co z Christopherem? Przecież Decke jest w szpitalu, chyba nie powinnaś go teraz zostawiać samego na farmie?

- Ty mu pomożesz. Poza tym dotąd jakoś sobie radził.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, jestem po prostu bardzo zmęczona.

- To przykre, że tak nagle musiałaś wyjechać. A kiedy wracasz?

To pytanie ostatecznie uświadomiło jej, że ma złamane serce.

- Tato, nie wracam, mój pobyt na farmie się skończył raz na zawsze. - I

romans z Christopherem też, dodała w myślach i nie była pewna, czy to zniesie. - Jesteś tam jeszcze? - zapytała.

- Jasne, ale jestem trochę zaskoczony, że wyjechałaś, bo byłem pewien, że między tobą i Christopherem wszystko się dobrze układa. Przykro mi, że nie będę już was widywał razem. Mógłbym się przyzwyczaić do tego widoku.

- Ja też zaczęłam to lubić. A może mnie kiedyś odwiedzisz, jak już wrócę?

- Skąd wrócisz?

- Na początku z Paryża, a potem może z Amsterdamu? Potrzebuję zmiany scenerii.

- To nie brzmi, jakbyś do czegoś się spieszyła, ale raczej przed czymś uciekała.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przepraszam, ale muszę już kończyć, jestem na terminalu. Będziemy w kontakcie. Masz mój numer i mam nadzieję, że zrobisz z tego użytek.

Christopher stał przy ciężarówce i patrzył, jak ziarno przesypuje się do jego silosów.

- To by było na tyle, Chris - powiedział nagle Jim.

- Jak to, czemu tak mało, miała być przecież tona?

- Przykro mi, ale na tyle dostałem zlecenie.

- Możesz mi powiedzieć prawdę, Jim?

Jim odchrząknął zakłopotany i poprawił czapkę.

- Nie możemy dać ci więcej na kredyt. Przywiozłem tyle, ile mogłem.

Naprawdę mi przykro.



- Nie musi ci być przykro, spodziewałem się tego.  
- Nie myśl, że mi z tym dobrze - dodał Jim.  
- Nie przejmuj się, jesteś w porządku. - Christopher poklepał go po ramieniu i patrzył, jak Jim wraca do samochodu, siada za kierownicę i odjeżdża.

Powoli wypuszczał strumień powietrza. A więc nadszedł ten moment, pomyślał przygnębiony. Trzeba było być kompletnym idiotą, żeby mieć pieniądze na wyciągnięcie ręki i ich nie przyjąć, będąc w tak trudnej sytuacji. A jeszcze gorsza była świadomość, że odrzucił propozycję pożyczki ze względu na kobietę. Chciał jej udowodnić, że źle go oceniła. Kobieta ta zmieniła całe jego życie, a potem odeszła. Został z niczym. Bez ukochanej kobiety i bez pieniędzy. Życiowy bankrut.

Christopher ruszył na górne pastwisko, na którym pasły się kozy. Większość z nich stała na wzgórzu i tylko jedna biegła mu naprzeciw, mecząc radośnie i machając ogonkiem. To Tallulah. Stała przy płocie, wspięła się na sztachety i skierowała na Christophera pytające spojrzenie.

- Nie, nie ma jej - powiedział.

Koza zameczała żałośnie.

- Przykro mi, ja też nie jestem szczęśliwy z tego powodu, ale to prawda, oboje będziemy musieli się do tego przyzwyczaić. - Rada była niezła, choć wiedział, że będzie mu trudno się do niej zastosować.

Einstein miał rację, wszystko jest względne, również czas. Larkin spędziła z nim na farmie zaledwie dwa i pół tygodnia, a wydawało mu się, że to całe jego życie. A teraz nie było jej już trzy tygodnie, a on wciąż tęsknił za nią, jak pierwszego dnia, kiedy odeszła. Tymczasem tu, na farmie, wszystko mu ją przypominało, gdzie nie spojrzeł, widział ją i to, co razem robili, stworzyli, przeżyli... Niby wszystko było tak samo, kiedy odeszła Nicole, a jednak całkowicie inaczej, bo do momentu, w którym rozstali się z Nicole, ich uczucie zdążyło się wypalić. Nie mówiąc już o tym, że nawet w chwili największego rozkwitu nie

mogło się równać z tym, co czuł do Larkin. A czuł tak wiele, że nie potrafił w sobie tego zabić.

Z kieszeni spodni dobiegł go dźwięk dzwonka komórki.

- Tak, słucham? - odezwał się.

- Christopher? Witaj, tutaj Dale White z Pure Foods. Jesteś może gdzieś koło swojego biura?

- Nie, jestem na pastwisku.

- Więc idź do siebie i obejrzyj faks, który ci wysłałem.

- A co to takiego?

- Czeka tam na ciebie twoje pierwsze zlecenie.

Pierwsze zlecenie, powtórzył w myślach Christopher. To deska ratunku, o jakiej mógł tylko pomarzyć. Powinien poczuć ulgę, a jednak zawładnęło nim inne uczucie. Zawsze uważał, że w życiu niczego nie należy żałować, bo to tylko strata czasu i energii. Nie można było zmienić przeszłości, więc jaki był sens czegoś żałować. A jednak czuł głęboki, przejmujący żal. Gdyby to się stało trochę wcześniej, te głupie cztery tygodnie, jego życie byłoby dziś zupełnie inne. No tak, tylko że problem nie leżał przecież w pieniądzech, ale w Larkin. Jakim był idiotą... Wsunął komórkę do kieszeni i spojrzał na Tallulah.

- Nic tu po tobie, biegnij na górę.

Koza obrzuciła go raz jeszcze rozczarowanym spojrzeniem i zaczęła się wdrapywać na wzgórze, gdzie pasło się stado.

Larkin wróciła do LA i rzuciła się w wir niekończących się imprez, bankietów i towarzyskich spotkań. Nalegała, by menadżer załatwił jej jak najwięcej kontraktów. Ale gdy stała za kulisami na pokazach mody, gdy słyszała rozanielony świergot pozostałych modelek, czuła się kompletnie nie na swoim miejscu. Brakowało jej farmy, pracy w otoczeniu przyrody, nawet jeśli pod koniec dnia zmęczona padała na łóżko. Tęskniła za zwierzętami, do których się przywiązała, za

ich figlami, a szczególnie brakowało jej Tallulah. Najbardziej jednak tęskniła za Christopherem. Było to pierwsze uczucie, które pojawiało się każdego ranka zaraz po przebudzeniu. Były takie momenty, że tęsknota ogarniała ją bez reszty. Wtedy skrywała twarz w dłoniach, czując jedynie bezradność i rezygnację. Musiała to wszystko jakoś przeczekać, kiedyś to wreszcie minie, pocieszała się.

Znowu rozległ się dzwonek. Sięgnęła z niechęcią po Black Berry'ego.

- Witaj, córeczko, co u ciebie?

Więc jednak zadzwonił.

- W porządku, a u ciebie? - zapytała, siląc się na beztroski ton.

- Jestem w LA. Może wpadniesz i zjesz lunch ze swoim staruszkiem?

Po raz pierwszy, odkąd opuściła Vermont, szczerze się uśmiechnęła.

- Przyjechałeś do LA? To wspaniale. Daj mi pół godziny, zaraz będę.

Spotkali się w „Chop-house”, ulubionej restauracji Cartera specjalizującej się w stekach. Krzesła i ławy były tu pokryte czarną skórą nabijaną ćwiekami, martini idealnie schłodzone, a steki nieskończenie soczyste. Larkin ucałowała ojca w czoło i usiadła naprzeciw niego.

- Powiedz, co cię sprowadza? - zapytała. - Wracasz do swoich interesów, czy chcesz zostać obieżyświatem?

- Nic z tego. Wciąż pracuję na farmie u Christophera. Dostał duży kontrakt z Pure Foods i ma sporo pracy. Każda pomoc mu się przyda, nawet moja.

- To dobrze, że ma ciebie.

- Cóż, nie potrwa to już zbyt długo, szykują się kolejne zmiany. - Jego oczy lśniły emocjami.

Larkin poczuła ukłucie w sercu. Za dobrze znała ten wzrok.

Carter pociągnął drinka i skrzyżował ręce.

- Molly i ja pobieramy się.

Nic nie odpowiedziała, tylko poprawiła sztućce na stole.

- Rozumiem, że tego nie pochwalasz. - Bacznie się jej przyglądał.

- Uważam, że Molly to wspaniała kobieta, tylko... chyba miałam nadzieję, że tym razem dasz sobie trochę więcej czasu, żeby ją poznać.

- Ależ ja ją znam!

- Zawsze tak uważałeś. Tato, minęły dopiero dwa miesiące, więc jak możesz ją znać? - Równie dobrze i ona mogłaby powiedzieć, że zna Christophera, a przecież wcale go nie знаła.

- To jest to, Larkin - powiedział z głębokim przekonaniem. - Tym razem się nie mylę.

Tyle razy już to słyszała.

- Skoro to jest to, to czemu nie chcesz dać temu czasu? W przyszłym roku to wciąż jeszcze będzie to i w następnym też. Przecież dopiero co się rozwiodłeś. Kiedy to było, w styczniu? Czy nigdy nie może upłynąć choćby rok, nim znowu wyrecytujesz przysięgę małżeńską?

- A może nie chcę czekać? - Oczy Cartera nadal błyszczały tym samym blaskiem.

- Naprawdę cię nie rozumiem - powiedziała z narastającą frustracją. - Żenisz się raz za razem, choć dobrze wiesz, że to nie wypala. Jak możesz po takim złym doświadczeniu mieć tak dogłębne przekonanie, że to jest to? Przecież za każdym razem uważasz, że to jest ta jedna jedyna i za każdym razem okazuje się, że się myliłeś, a potem i tak robisz znowu to samo.

- Jestem ci wdzięczny, że mi o tym przypominasz i że tak się o mnie troszczysz - odparł Carter, choć w jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie.

- Nie chcę cię urazić, tato, ale zupełnie tego nie rozumiem. Cztery razy pod rząd ci się nie udało, jak możesz popełniać znowu ten sam błąd?

- A ja nie pojmuję, że dotąd ani razu nie spróbowałaś. Nie mówię już nawet o małżeństwie, ale o jakimś stałym dłuższym związku.

- Masz na myśli taki związek jak twój z Michelle, Celine i z Kaylą, tak?

- Nie, mówię o związku z twoją matką.

Zapadła cisza. Carter powoli wypuścił powietrze.

- Popeliłem błędy, Larkin, przyznaję, wciąż szukałem czegoś, co mogłoby zapłacić lukę w moim życiu, jaka powstała po odejściu Beth, bo gdy raz zasmakujesz czegoś tak wspaniałego... - przełknął nerwowo - trudno sobie potem bez tego poradzić. Nie winię siebie za podejmowanie kolejnych prób, natomiast żałuję, że efekty moich poszukiwań do tego stopnia cię przerażyły, że boisz się wszelkiego zaangażowania, nawet najmniejszej próby.

- To nieprawda - zaprzeczyła Larkin, choć wiedziała, że tak właśnie jest.

- Próbowałem sobie wmówić, że jesteś jeszcze za młoda, ale miałem w duchu nadzieję, że przez te pięć lat, kiedy się nie widzieliśmy, znalazłaś sobie kogoś bliskiego. A potem, kiedy poznałaś Christophera i kiedy zobaczyłem was razem pracujących na farmie... - Carter zawiesił głos. - Wiesz, jak dorobiłem się swoich pieniędzy? - ciągnął po chwili dalej.

Zaskoczyła ją ta nagła zmiana tematu.

- Co masz na myśli?

- Podejmowanie ryzyka, kontrakty z niewiadomą, w których nie da się przewidzieć przyszłości i nie ma żadnych gwarancji, a do tego trzeba szybko podejmować decyzje. Jestem gotów na to, aby podjąć to ryzyko z Molly i przykro mi, że nie byłaś w stanie zaryzykować z Christopherem.

Znała to na wylot, zawsze tak było: zaczynało się od jego kolejnego małżeństwa, a kończyło na niej, na jej życiu osobistym.

- Co ty wiesz o mnie i Christopherze?

- Wiem tyle, że najpierw zgodził się po długich namowach wziąć ode mnie pieniądze ratujące jego farmę, a potem zjawiałaś się ty i wszystko mi oddał. To wyjaśnia aż za wiele, bo nie jest tak, że nie potrzebuje tych pieniędzy. Po prostu nie chciał ich łączyć z tobą i wybrał to, co było mu najdroższe, wybrał ciebie.

- Okłamał mnie...

- Za bardzo się do ciebie zbliżył, bez reszty otworzył się przed tobą i to cię przeraziło.

- To nie... tak... - Chciała powiedzieć, że to nieprawda, ale słowa ugrzęzły jej w gardle, bo to była prawda. Nagle zrozumiała, co straciła. - Masz rację. Bałam się... Postąpiłam jak ostatnia idiotka.

- Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Ludzie popełniają błędy, sęk w tym, żeby umieć się do tego przyznać.

- Chyba masz rację... Przepraszam, ale nie dokończę z tobą dziś lunchu. - Wstała.

- W porządku, dokończymy, jak spotkamy się w Vermont.

Christopher przyglądał się, jak kozy brykają radośnie po lesie, podgryzają gałęzie i żują trawę. Wiatr szumiał wśród drzew, które zrzucały pierwsze liście, tworząc pod nogami kolorowy dywan. Jesienne barwy mieniły się w promieniach słońca. Christopher cieszył się tą zmianą pory roku, ponieważ otaczająca go przyroda zaczynała wyglądać inaczej niż wtedy, gdy była tu Larkin. Dzięki temu ból wydawał mu się trochę mniejszy.

Podeszła do niego Tallulah i przytknęła mu łebek do nogi. Poczochrał ją za uszami, jak robiła to kiedyś Larkin.

- Wciąż jej nie ma... - wyszeptał.

Tallulah zameczała żałośnie.

- Nie wiem, co ci mam powiedzieć, chyba tylko tyle, że będziesz musiała się z tym pogodzić.

- Może jednak niekoniecznie...

Christopher odwrócił się powoli. Stał przez chwilę, nie wierząc własnym oczom. Ale to była ona. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, jak dawniej, a jej włosy tańczyły na wietrze. Wyglądała bardzo młodo i ponętnie. W rękę obracała gałązkę. Tallulah pierwsza podbiegła do niej w podskokach i nadstawiła łebek do głaskania.

- Zawsze się dziwiłam, że kiedy szliśmy z kozami na wycieczkę - zaczęła Larkin śpiewnym głosem - wszystkie trzymały się blisko ciebie, zamiast uciekać gdzieś do lasu, ale dziś już to chyba rozumiem. Wiedzą, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo, a przy tobie są bezpieczne. Pewnych zachowań trudno się oduczyć.

Christopher wyprostował się.

- Pamiętasz, jak prosiłeś mnie ostatnio, bym ci pozwoliła coś wyjaśnić? Teraz ja cię o to proszę.

- W porządku - odparł przez zaciśnięte gardło.

- Miałeś rację tamtego dnia... Bałam się podjąć ryzyko, bo przez wiele lat byłam świadkiem wydarzeń, które mnie nauczyły, że związek między kobietą i mężczyzną to rzecz bardzo niepewna. Ale twoje kozy pupilki pomogły mi zrozumieć, że najbezpieczniej jest trzymać się ciebie. Jesteś dla nich całym ich światem. Kiedy obudziłam się po naszej pierwszej wspólnej nocy, poczułam dokładnie to samo.

Christopher czuł każde pojedyncze uderzenie swojego serca. Milczał, bo słowa, które przychodziły mu na myśl, wydawały mu się nieodpowiednie.

- Chcę... - Larkin zwilżyła usta - chcę spróbować, chcę być blisko ciebie, mieszkać tu, na farmie, i z tobą pracować. Pragnę tego bardziej niż cegokolwiek innego i wiem, że już właściwie wszystko zepsułam, ale byłam przerażona. Może to się jeszcze powtórzy, ale błagam, powiedz, że dajesz nam szansę...

Christopher ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie.

- O niczym innym nie marzę.

Larkin wtuliła głowę w jego ramiona.

- Pamiętasz, kiedy mówiłam, że rozumiem, dlaczego kochasz takie życie? Zapytałeś mnie wtedy, czy to tylko słowa. - Potrząsnęła głową. - Nie, ja naprawdę to rozumiem. Na początku nie mogłam tego pojąć, to fakt, ale potem pokochałam takie życie. Kocham to, co tu stworzyłeś i... kocham ciebie.

Te słowa zawisły w powietrzu niesione przez wiatr. Christopher przez chwilę napawał się nimi, a potem, gdy chciał coś powiedzieć, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Powiedz coś - szepnęła.
- Powtórz to, proszę, jeszcze raz.

Larkin uśmiechnęła się zalotnie.

- Kocham cię!
- Jeszcze!
- Kocham cię, Christopher.

W odpowiedzi pocałował ją, gorąco i żarliwie.

- To świetnie się składa, bo ja szaleję za tobą, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Myślałem, że zwariuję tu sam, bez ciebie.

- Wybacz mi, potrzebowałam trochę czasu, żeby to wszystko zrozumieć.
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że warto było czekać.
- Każdego dnia będę się starała to ci wynagrodzić. - Spojrzała mu prosto w oczy i zanurzyła dłonie w jego włosach.
- Ja też będę się starał nie mniej niż ty.
- Jesteś pewien - uśmiechnęła się zaczepnie - a może chcesz się założyć?



## Epilog

Wesele było białą symfonią, jak wszystkie wspaniałe wesela. Białe róże, białe jedwabne wstążki, biały tiul, którym przyozdobione były okna oranżerii hotelu Mount Jefferson's. Także góry dokoła pokryte były zwartą warstwą nieskazitelnie białego śniegu, który kontrastował z błękitem nieba, jakby specjalnie na tę okazję.

- Spójrz, Carterze, ja płaczę - uśmiechnęła się przez łzy Molly.

- Czy to przypadkiem nie jest typowa reakcja kobiet na ślubach? - zapytał i wyciągnął z kieszeni białą bawełnianą chusteczkę.

- To był naprawdę cudowny ślub - powiedziała do Larkin, która stała obok w prześlicznej sukni z białej satyny, Molly ujęła jej dłoń. - Wyglądasz naprawdę cudownie.

- Powiedziałem jej to samo - rzucił z uśmiechem Christopher. - Prawda, pani Trask? - i pocałował swoją żonę.

Larkin roześmiała się.

- Faktycznie, teraz nazywam się Trask - powiedziała jakby ze zdziwieniem.

- Tak i będziesz się tak nazywać do końca świata, jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia.

Larkin uścisnęła Molly.

- Wasz ślub też był cudowny.

Molly, nieco zawstydzona, opuściła wzrok.

- I naprawdę nie uważasz, że czerwone róże w wiązance to nie przesada?

- Nie, przecież ja też miałam czerwone róże. - Na dowód uniosła do góry swoją wiązanekę. - Są przecież walentynki!

- No właśnie, powiedziałam już Carterowi, że pewnie jedynym powodem, dla którego chciał wziąć ślub w walentynki, to ten, że łatwo mu będzie zapamiętać, kiedy mamy rocznicę.

- Żartujesz chyba - wtrącił się Carter. - Będzie jeszcze trudniej zapamiętać.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Molly.

- Bo z tobą każdy dzień jest jak walentynki - rzucił szarmancko i ucałował ją w policzek.

- Ach, jesteś taki miły...

Christopher objął Larkin i podeszli do okna, z którego widać było ośnieżone góry.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptała mu do ucha i patrząc mu prosto w oczy, dodała: - To jedna z tych chwil, które zapierają dech w piersiach. Patrzymy z boku na swoje życie i z niedowierzaniem myślimy sobie: jak cudownie, że to przytrafia się właśnie nam.

- To prawda, najdroższa, to najcudowniejsza chwila w moim życiu i naprawdę zapiera mi dech w piersiach - powiedział, po czym delikatnie ujął jej twarz w dłonie i złożył na jej ustach gorący pocałunek.

